

KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI

NA WODACH AMAZONKI

1938
WARSZAWA

KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI — NA WODACH AMAZONKI

KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI

NA WODACH AMAZONKI

1938
WARSZAWA

KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI — NA WODACH AMAZONKI

WOJSKO POLSKIE
1 Warszawski Pułk Zmotoryzowany
Pontonowo - Mostowy
Nr. .....
"_____" 194__ r.

NA WODACH AMAZONKI



2 50.

KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI

NA WODACH AMAZONKI

691

WOJSKO POLSKIE
JEDNOSTKA WOJSKOWA
Nr. 3136 194_ r.

SZANUJ KSIĄŻKĘ

WARSZAWA 1938
WYDAWNICTWO LIGI MORSKIEJ I KOLONIALNEJ
SKŁAD GŁÓWNY: INST. WYDAWN. „BIBLIOTEKA POLSKA" S. A. W WARSZAWIE

918; 884-4.



691.

Drukiem
Zakładów Graficznych
„Biblioteka Polska"
w Bydgoszczy

31771/2

WOJSKO POLSKIE
JEDNOSTKA WOJSKOWA
Nr. 0133 194__ r.

Odrodzone Państwo Polskie w szeregu zadań, wysuniętych przez życie, przejęło troskę o zdobywanie terenów dla naszej ekspansji gospodarczej i ludnościowej. Prąd emigracyjny, który rozwinął się w ostatnim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia i w latach przed wojną, wzmagał się coraz bardziej. System paszportowy wywołany wojną, ograniczenia imigracyjne państw, do niedawna chłonących bez utrudnień cały nadmiar przyrostu naturalnego Europy, nakazywały wyszukanie zawczasu takich terenów, gdzie istniały jeszcze wolne przestrzenie, których własny przyrost naturalny nie mógł zaludnić.

Tym się tłumaczy, dlaczego częściowo z własnej inicjatywy, częściowo z polecenia Rządu Polskiego zwiedzałem rozmaite kraje Ameryki Południowej i dlaczego znalazłem się na pokładzie „Aidana", dążącego z Liverpoolu ku ujściom Amazonki, której górne dopływy postanowiono zbadać pod względem klimatycznym i terenowym.

Wbrew utartym opiniom i uprzedzeniu dość powszechnemu do krajów podzwrotnikowych, należało naocznie przekonać się o użyteczności dla nas tego olbrzymiego terytorium. Zachętą były rezultaty badań szeregu wybitnych podróżników, między innymi Humboldta, który, tak powściągliwy zazwyczaj, nie wahał się prorokować, że w niedalekiej przyszłości nastanie era rozkwitu dla dorzecza Amazonki.

Jako bodziec służyły mi również wspomnienia z mej podróży do terenów nad górnym biegiem Amazonki w Andach i zalesionych ich podnóży po stronie zachodniej nad Huallagą, dokąd dotarłem od strony Oceanu Spokojnego.

Dla człowieka, który, jak ja, przeżył blisko pół życia w Brazylii i miał okazję poznać ją dość szczegółowo, a zwiedzał prócz tego rozmaite inne kraje Ameryki Południowej, jak Argentynę, Urugwaj, Chile, Peru i Ekwador, nawet pobieżne zapoznanie się z dorzeczem Amazonki pozwoliło wysnuć zachęcające wnioski

co do użyteczności tego terytorium dla nas. Niezaprzeczona urodzajność gleby, bogactwo flory, zupełnie znośny klimat z punktu widzenia dawnego osadnika brazylijskiego, oraz olbrzymia pojemność obszaru stanowiły wystarczającą zachętę do przeprowadzenia bliższych i szczegółowszych badań.

Praca niniejsza ze względu na popularny kierunek wydawnictwa nie ma pretensji do charakteru naukowego. Są to wrażenia spisane z notatnika z pewną ilością szczegółów, tak pożądanych w każdym opisie podróżniczym. Opisuję Amazonkę tak, jak ją moje oczy widziały i z tymi uwagami, jakie nastręczyły rozmowy z poznawanymi w tym czasie ludźmi.

AUTOR



Komunikacja podczas przyboru na mniejszych dopływach środkowej Amazonki

W UJŚCIU KRÓLOWEJ RZEK

Nadchodził wieczór. Parowiec szedł przyspieszonym tempem, jakby w pościgu za tarczą słoneczną, która lada chwila miała zniknąć za linią czarnych chmur, groźnie odcinających się na horyzoncie.

Trzeba było przed nocą znaleźć się u wejścia do kanału, gdzie przypływ piętrzył w tym czasie wody i ułatwiał przebycie mielizn i ławic, tworzących się jak zwykle w ujściu wielkiej rzeki.

Z lewej strony majaczył już od dłuższego czasu ląd. W miarę zbliżania się ku niemu ukazywała się linia odległego lasu. Bliżej jasna zieleń niższych znacznie skupień roślinności zapowiadała jakieś plantacje. Po kwadransie wyraźnie zarysowały się pióropusze palm kokosowych, którymi usiany był brzeg aż po widnokrąg. Szeroka plaża, poprzecinana gdzieniegdzie płytkimi strumieniami płynącymi z głębi odległych lasów, bieliła się w ukośnych promieniach słońca.

Jak okiem sięgnąć, toczyły się ku brzegowi szeregi fal, by na mieliźnie już, spiętrzone przez uciekające od lądu wody, rozpaść się z groźnym hukiem w kaskady bryzgów i piany, a w chwilę potem, kolistymi zasięgami lizać pieszczotliwie twardy, ubity piasek wybrzeża.

Pomimo sapania maszyny i gwaru na statku słychać było wyraźnie jakby odległe grzmoty zlewające się chwilami w jeden przeciągły poszum morza.

Byliśmy już blisko brzegu, ale kapitanowie statków wolą trzymać się jak najdalej od prądu idącego z Amazonki, w obawie przed zniesieniem na tworzące się tu ustawicznie nowe mielizny.

Od pół godziny przeszło, na rei przedniego masztu powiewał łopocąc w silnej morce przybrzeżnej sygnał wzywający pilota.

WOJSKO POL
CZYTELNIA WOJSK
Nr. 2196 19

Parowiec zwolnił biegu. Na mostku kapitańskim wypatrywano przez lornetki, czy nie zbliża się znajomy kuter; to samo robiła znaczna część pasażerów i załogi. W pewnej chwili maszyny stanęły, dalsze posuwanie się byłoby niebezpieczne.

Setki mew, towarzyszących nam już od rana, zakołowały szybciej w powietrzu, jakby zaniepokojone; to oddalały się, to nagłym błyskawicznym rzutem wracały, by zawisnąć na chwilę o parę metrów nad parowcem, kręcąc ciekawie głowami na wszystkie strony. Ostre, przejmujące, a jednocześnie jękliwe ich głosy mąciły ciszę pogodnego wieczoru i napełniały serca smutkiem i niepokojem.

Na mostku zrobił się ruch. Ktoś z załogi, bosman zdaje się, z pokładu na dole wskazywał ręką w stronę prawej burty.

Rzeczywiście z prawej strony, nieco z tyłu, w oddaleniu dwu może kilometrów, szedł pod pełnymi żaglami dwumasztowy kuter służby pilotów, czerwono-biała flaga świadczyła o jego charakterze.

Oczekiwano nas widocznie znacznie bardziej na północ; zadźwięczał telegraf okrętowy, ruszyły maszyny i parowiec zaczął opisywać ogromny łuk na prawo, ażeby przyśpieszyć spotkanie. Po kilku minutach maszyny znów stanęły; mieliśmy kuter o 300 metrów od burty; spuszczono na nim żagle i podciągnięto łódź, którą prowadził ze sobą; wsiadło do niej czterech ludzi. Ruszyli. Ujrzałem ze zdziwieniem, że wiosłują krótkimi, prawie okrągłymi wiosłami, pomalowanymi na czerwono; takim samym wiosłem operował marynarz, siedzący na rufie. Była to łódź indyjska, zaopatrzona oczywiście w sprzęt miejscowy.

Po paru minutach łódź dobiła do naszej burty. Siedzący pośrodku pilot chwycił za spuszczoną drabinkę sznurową i szybko wspiął się na pokład; odbywała się sakramentalna prezentacja; po chwili pilot objął komendę na mostku. Zadźwięczał telegraf; maszyny ruszyły. Wyrównano kurs i parowiec zaczął oddalać się od kutra, gdzie ponownie naciągano żagle; po kwandransie znikł nam z oczu.

Byliśmy w południowym ujściu Amazonki.

Ujście to nie byle jakiej jest szerokości, wynosi ono bowiem 70 kilometrów. Razem zaś z deltą, którą tworzy tu wyspa Marajó, ma 300 kilometrów. Jest to najszersze ujście na świecie, co nie wyda się dziwne, gdy przypomnimy sobie, że Amazonka daje przy ujściu 100.000 metrów sześciennych wody na sekundę, czyli tyle, co Kongo, Missisipi, Yang-tse i Nil razem; a podczas przyboru ilość ta wzrasta do 200.000 metrów [1]). Pamiętać wszakże należy, że basen Amazonki obejmuje około 6 milionów kilometrów kw. powierzchni, t. zn. $^3/_4$ powierzchni Europy. Główny nurt Amazonki na kilka tysięcy kilometrów w górę posiada średnio od 25 do 45 metrów głębokości, a koło Obidos, przeszło o tysiąc kilometrów od ujścia, głębokość głównego kanału wynosi 83 metry. W miejscach, gdzie rzeka płynie między obu widocznymi brzegami, to znaczy nie jest przedzielona wyspami, szerokość jej wynosi jedenaście kilometrów; tam zaś, gdzie utworzyły się liczne wyspy, przeszło 30 kilometrów. Koło Iquitos w Peru, o 4.600 kilometrów od ujścia, głębokość jej w porcie wynosi jeszcze 20 metrów, w kanale zaś 40. Są na Amazonce miejsca, gdzie sonda wskazuje ponad 150 metrów głębokości, a do wspomnianego Iquitos dochodzą swobodnie parowce transatlantyckie o 6.000 tonach pojemności. Mogłyby tam dochodzić największe olbrzymy morskie, gdyby nurt był wyznaczony.

Muł, który w ciągu roku spłynie wraz z Amazonką do Atlantyku, może przykryć przestrzeń 10 tysięcy hektarów warstwą wysokości 10 metrów. Okoliczność ta utrudniałaby niesłychanie komunikację z Amazonką, szczęściem jednak istniejący u brzegów Ameryki Południowej prąd morski, idący z południa na północ, odnosi większą część mułu dalej w głąb oceanu. Pomimo to woda w oceanie w odległości 300 kilometrów od ujścia jest jeszcze słodkawa.

Długość Amazonki nie jest ustalona; niektórzy geografowie podają 5.500 kilometrów. Byłaby w takim razie pod względem długości trzecią rzeką na świecie, ustępując pierwszeństwa Missisipi i Nilowi.

---

[1]) Wisła średnio daje 1.120 metrów na sekundę.

Nie jest to zupełnie ścisłe. W Peru bowiem, gdzie Amazonka bierze swój początek, panował zwyczaj ustalania nazwy po zlaniu się dwu rzek razem. I tak po połączeniu się Sta Anny i Paucartambo nazywają rzekę Urubamba, po zlaniu się Tambo i Urubamby rzekę nazywają Ucayali i tak dalej. Na tej zasadzie musielibyśmy np. Wisłę nazywać tak tylko od miejsca połączenia się jej z Sanem, górna zaś jej część otrzymałaby już inną nazwę. Przyjąwszy jeden z górnych dopływów Ucayali za jego początek, a samo Ucayali za początek Amazonki, musielibyśmy do uznanej jej długości dodać około 1.000 kilometrów. Cóż więc dziwnego, że wpływając do tej królowej rzek świata, czuje się człowiek trochę oszołomiony.

Po godzinie zaczęły majaczyć na prawo odległe jeszcze brzegi wyspy Marajó; wyspa ta ma 49 tysięcy kilometrów kwadratowych, jest więc większa od całej Szwajcarii.

Południowe ujście Amazonki, znacznie płytsze od północnego, służy prawie wyłącznie do komunikacji z rzeką; północne bowiem stwarza dla żeglugi niezwykłe utrudnienie w postaci tak zwanej *pororoca*. Jest to zjawisko specjalnie charakterystyczne dla Amazonki. Potęga wód tej rzeki przy ujściu odrzuca wody oceanu na wiele kilometrów. Nawet podczas przypływu woda morska nie dostaje się do koryta. Jednakże na kilka dni przed nowiem i w kilka dni po nowiu, silniejsze przypływy oceanu spiętrzają wody Amazonki odpychając je jakby z powrotem. Dzięki temu powstają trzy czy cztery olbrzymie, wysokie na kilka metrów fale, które idąc w odwrotnym kierunku do biegu rzeki zalewają i niszczą wszystko po drodze. Fale te na głębszych miejscach rzeki zniżają się jakby i rozpływają w olbrzymiej masie wody; na miejscach płytszych wyrastają w sposób fantastyczny tworząc nieraz wał wodny wysokości 10—12 metrów. Najwyższe napięcie tego zjawiska ma miejsce w dwie, trzy godziny po rozpoczęciu przypływu. Wody rzeki zostają w ten sposób zrównane z poziomem oceanu i z tą chwilą zaczynają stopniowo ustępować. Działanie *pororoci* dociera blisko na 200 kilometrów w głąb Amazonki utrudniając żeglugę i stwarzając niebezpieczeństwo przede wszystkim dla statków zakotwiczonych. *Pororoci*,

jak już powiedzieliśmy, prawie zupełnie nie odczuwa się w kanale południowym, gdzie woda piętrzy się zaledwie na dwa metry.

Rozmyślania moje przerwała burza. Zerwała się nie wiadomo skąd. Niebo pokryło się w mgnieniu oka chmurami, a wiatr przyniósł gwałtowny poszum idącej na nas ulewy. W parę minut potem polały się potoki wody, jakie oglądać można jedynie pod zwrotnikiem. Trwało to godzinę. W końcu musiały się wyczerpać upusty niebieskie. Ulewa urwała się raptownie. Tymczasem zapadła noc. Chmury gdzieś znikły. Niebo się roziskrzyło. Mijaliśmy pływającą latarnię morską.

Przed świtem byliśmy na redzie Belém, stolicy stanu Pará i głównego portu Amazonki. Parowiec rzucił kotwicę, miał tu oczekiwać na wizyty władz sanitarnych i portowych. W oddali migotały jeszcze światła nad miastem.

BELÉM

Rozwidniało się powoli. Pierwsze promienie wschodzącego słońca przeszyły powietrze. Zagrały barwy; zaszkliły się w znikających oparach spokojne wody rzeki. Zasnute mgłą ukazywało się miasto. Bliżej, widnokrąg zamykały wyspy, pokryte zwartą, bujną gęstwiną leśną, która odtąd ciągnąć się będzie nieprzerwanie aż po stoki Andów, na tysiące kilometrów wzdłuż i wszerz kontynentu amerykańskiego.

O ósmej w oddali ukazały się motorówki wiozące władze. Godzinę trwały formalności. Ruszyliśmy wreszcie w stronę granitowego nabrzeża, przy którym było przycumowanych kilka parowców transatlantyckich. Dwa holowniki odciągały w tej chwili sprzed oddziału pasażerskiego komory celnej ogromny parowiec rzeczny, należący do Amazon River Co., ażeby dać miejsce naszemu „Aidanowi". Musieliśmy znów stanąć, by doczekać się końca manewru. Wokoło stało na kotwicach kilka parowców rzecznych tejże kompanii, dwa z nich przygotowywały się do odejścia. Między parowcami kręciły się motorówki i ślizgowce; kilka z nich popisywało się sprawnością i szybkością zrywając ogromne fale i rozpryskując swymi dziobami wodę. Tłumy publiczności i robotników portowych zalegały nabrzeże.

Ponieważ mieliśmy płynąć „Aidanem" dalej do Manaos, i formalnośći w komorze celnej nas nie dotyczyły, mogliśmy od razu wyjść na miasto.

Mijamy szeroki bulwar, gmach zarządu kompanii portowej, i wydostajemy się na główną ulicę, która prowadzi do dzielnicy reprezentacyjnej. Jakieś kluby, teatr, muzeum miejskie, dwa największe hotele Belém, duży nieuporządkowany, ale za to otoczony wspaniałymi figowcami plac, kościół. Stąd możemy

przejść do szczelnie zabudowanej o wąskich ulicach dzielnicy handlowej, lub też skierować się do innej części miasta o charakterze zupełnie odmiennym. Ulice tu są szerokie, ozdobione drzewami, domy niskie, o frontach szerokich, niekiedy odsunięte w głąb, otoczone ogrodami. Śródmieście ma bruk z kostki lub nawierzchnię asfaltową. Dalsze ulice albo całkiem bez bruku albo pokryte ogromnymi płaskimi głazami, ułożonymi dość luźno; szczeliny zarasta trawa.

Dziwi nas ruch nieoczekiwany w rannych godzinach pod równikiem. Jakieś kolorowe postacie przesuwają się pod ścianami; z bocznej uliczki wypada grupa pierrotów i domino. Zapomnieliśmy o karnawale. Przecież to ostatnia niedziela przed postem, stąd tłumy na wybrzeżu. Przed hotelami szeroki chodnik zastawiony stolikami. Kilka masek; są to pierwsze jaskółki. Prawdziwa zabawa rozpocznie się po południu. Corso o czwartej.

W Brazylii karnawał jest świętem narodowym. Bierze w nim udział cała ludność. Maski, domina i kostiumy równają wszystkich. Można dać upust swym nastrojom demokratycznym, lub przeciwnie przebrać się za królowę czy granda hiszpańskiego, wybrać towarzystwo, jakie się komu podoba. Bawią się wszyscy i starcy i dzieci z przejęciem, z namiętnością — na ulicy, w domach prywatnych, w klubach lub w hotelach.

Brazylianie przejęli zwyczaje karnawałowe od Włochów, ale wkładają w nie znacznie więcej zainteresowania i pieniędzy. Do niedawna sprzyjała temu duża zamożność przeciętna ludności. Robotnik, chłopak od szewca, panienka z magazynu — każdy mógł sobie pozwolić na trochę szmatek i szminek, na tuzin „biznag" tzn. tubek szklanych, napełnionych rzekomo perfumami, pachnących eterem, na kolekcję serpentyn i kolorowych confetti. Podczas corso nawet niezbyt zamożna rodzina wynajmowała sobie auto na kilka godzin. Ludzie zamożniejsi zamawiali pojazdy na trzy dni od razu, o ile nie mieli własnych. Wreszcie liczne kluby wynajmowały wiele samochodów, w których mogli paradować członkowie.

Dni te w Brazylii można raz na zawsze wykreślić z kalendarzyka terminowego. Nic się nie załatwia w tym czasie prócz spraw karnawałowych.

Pomimo niesłychanego podniecenia, pomimo gorących temperamentów karnawał upływa tu na ogół bez zamieszania i sporów. Ludzie uzbrajają się na trzy dni w większą jeszcze niż zwykle uprzejmość i wyrozumiałość. Nawet policjanci z rzadka rozstawieni na skrzyżowaniach ulic, dają się unosić ogólnemu nastrojowi i dobrodusznie patrzą na wylewy uczuć usiłując kierować wzrastającym co chwila potokiem ludzi i samochodów. Żadnych zatargów i nieporozumień. U nas dni świąteczne i tzw. zabawy ludowe cechuje przede wszystkim wzmożona rubryka wypadków, wykroczeń policyjnych i rozpraw nożowych; tu, przeciwnie, rubryka ta zamiera; nikt też nie szuka sztucznej podniety do zabawy, podczas gdy gdzie indziej wszystko zaczyna się i kończy alkoholem.

Część handlowa miasta ciągnąca się wzdłuż rzeki, nosi charakter wybitnie portugalski. Te same wąskie domy, wchodzące głęboko w środek posesji, z szeregami wysokich, otwartych drzwi o kamiennych obramowaniach, ścianach wyłożonych majoliką, kryte dachówką, bez żadnych pretensyj do architektury. Brak stylu cechuje i resztę miasta. Nawet bardziej nowoczesne gmachy odznaczają się pospolitością formy i szczegółów. Kościoły nie mają również żadnego stylu, a wnętrzom ich brak gustu i jakiegokolwiek polotu.

Miasto zwane w starych kronikach i dokumentach — Santa Maria de Belém de Grão Pará, leży w oddaleniu 120 kilometrów od oceanu nad zatoką Guajará rzeki Pará, jak nazywają tu południowe ramię Amazonki. Niektórzy twierdzą, że ramię to jest dalszym ciągiem rzeki Tocantíns, uważając ją nie za dopływ Amazonki, ale za niezależną rzekę. Wątpliwości te wynikają z ogromu i jednej i drugiej, który utrudnia w wysokim stopniu orientację.

Brazylianie obecnie nazywają miasto — Belém (Betleem), Anglicy upierają się przy nazwie Pará, ponieważ jest ono stolicą stanu tej nazwy. Dobrze jest pamiętać, że stan ten posiada

1.350.000 km² powierzchni, czyli jest blisko cztery razy większy od Polski. Belém ma około 250.000 ludności. Założone w roku 1616, rozwijało się ono powoli. Na początku naszego stulecia liczyło 100.000 ludzi. Dalszy szybszy swój wzrost zawdzięcza eksportowi kauczuku, na który przez długie lata posiadało monopol. Z powstaniem plantacyj kauczukowych na Dalekim Wschodzie i upadkiem jego eksploatacji w basenie Amazonki znaczenie Belém, jako głównego dostawcy kauczuku, upadło. Dziś jest ono głównie portem tranzytowym i ośrodkiem administracyjnym olbrzymiego terytorium, którego jest stolicą.

Liczne są tu szkoły, wysoko stoi szpitalnictwo. Miasto posiada jedyne poważniejsze w tej strefie muzeum etnograficzne i przyrodnicze im. Goeldi, przy nim niewielki ogród zoologiczny i botaniczny. Przemysł słabo reprezentowany — browar, olejarnia, fabryka lodu, stocznia dla rzecznych parowców. Reszta to właściwie warsztaty. Port rybacki, zatłoczony kutrami żaglowymi, zaopatrzonymi przeważnie w pomocnicze motory. Spore hale targowe pełne są nieznanych Europejczykowi owoców, jarzyn i frutti di mare. Maty, koszyki, wyroby z orzechów kokosowych lub tykw, prymitywna ceramika; trochę broni indyjskiej. Przy brzegu szereg mniejszych łodzi żaglowych, pełnych pomarańcz, bananów, ananasów oraz orzechów amerykańskich zwanych tu *castaña do Brazil*.

Belém do niedawna wywoziło ogromne ilości skór wszelkiego rodzaju. Ale podaż zaczęła przerastać popyt, sklepy zawalone są towarem, który nie może znaleźć zbytu. Można tu oglądać okazy imponujące rozmiarami, szczególnie wśród skór krokodyli i węży. Sześciometrowe krokodyle i dziesięciometrowe węże nie są rzadkością.

Miasto rozciąga się na równinie. Najwyższy punkt koło katedry leży o 11 metrów nad poziomem morza. Okolica od strony lądu przedstawia bagnistą nizinę porosłą trzciną i krzakami. Od zachodu prawie bezpośrednio zaczyna się las, silnie przetrzebiony na początku, pocięty licznymi rzeczkami, nad którymi powstały osiedla czystej krwi Indian i mieszańców,

trudniących się rolnictwem, hodowlą nierogacizny i ptactwa domowego. Gospodarstwo jest tu jeszcze prymitywne.

Wieczorem jem kolację na esplanadzie przed hotelem. Jest kapitan, lekarz okrętowy i agent naszej linii. Jasno — Brazylianie nie żałują elektryczności. Corso jeszcze się nie skończyło. Zabawa w całej pełni. Naprzeciwko na drewnianej platformie gra muzyka. Wokoło na placyku, między stolikami, na ulicy nawet kręcą się pary. Kobiet jest mało, gdyż panie z towarzystwa wolą przyglądać się zabawie z samochodu, mężczyźni więc tańczą ze sobą. Zaczyna to być nudne, tym bardziej, że powtarza się wciąż jedna i ta sama piosenka karnawałowa tzw. „*Ze Pereira*".

Wieczór jest chłodny. Jestem w zwykłej marynarce i nie marznę. Ale moi Anglicy ustroili się w białe ubrania kolonialne i teraz muszą się rozgrzewać za pomocą whisky. Nie bardzo wierzę w skuteczność tego środka, zwłaszcza, że w dzień widziałem, jak w ten sam sposób ochładzali się tym samym z powodu upału. No, ale Anglik musi pić whisky. A według tradycji należy pod równikiem chodzić w białym komplecie i używać kasku tropikalnego, chociaż publiczność patrzy na tę swojego rodzaju maskaradę ironicznie. Ludzie tutaj nic sobie nie robią z geografii.

Oto grupa kupców. Jasne marynarki, miękkie kołnierzyki, zbyt barwne krawaty. Wszyscy są w żółtych butach i w słomkowych płaskich kapeluszach. To jest moda większości. Obok stolik wyższych urzędników państwowych, czy polityków. Czarne żakiety, białe kamizelki pikowe, lakierki i czarne meloniki na głowach. Siedzą poprawnie i sztywno, chociaż dyskusja jest ożywiona. O dwa kroki od nas — rodzina. Pan w żakiecie. Pani omal że nie w sukni balowej. Panienki ubrane niestosownie do swego wieku. Asystuje kuzynek, bo ciągle słychać: *prima* i *primo*.

Przy naszym stoliku toczy się rozmowa o obecnym kryzysie. Towarzysze moi to stali bywalcy w tych stronach, pamiętają czasy, gdy pławiono się tu w szampanie, a najprostszy tzw. *seringueiro* — zbieracz kauczuku nosił na palcach brylanty po osiem karatów każdy. Ludzie starali się jak najprędzej

wydawać pieniądze i trzeba przyznać, robili to dość niemądrze. Nastroje te porywały i cudzoziemców. Stawali się mniej oszczędnymi i mniej przewidującymi. Niejeden wspomina czasy te ze wstydem — co by to się za te pieniądze dało zrobić teraz...

Nie tylko Polak jest mądry po szkodzie. Ale fortuna kołem się toczy. Przyszła nieoczekiwanie. Wytrąciła ludzi z równowagi i odeszła tak samo nagle, jak przyszła.

Z czasów tych pozostały wspomnienia o rozmaitych potężnych firmach. Stosy niewykupionych weksli po bankach, olbrzymie składy wszelakiego rodzaju towarów dziś już niepotrzebnych nikomu, gdyż wyszły z mody lub użycia; są one obecnie utrapieniem właścicieli, bo obciążają pasywa, a nie dają się zlikwidować. Taki sam, niedający się zlikwidować majątek, stanowią dziesiątki parowców rzecznych. Kupowano je w pośpiechu, bez zastanowienia. Potrzebne były do wywożenia kauczuku z głębi kraju. Każdy był dobry. Byle by chodził i mógł unieść ładunek, lub holować szkutę. To też flota Amazonki poza parowcami Amazon River Co., jest osobliwego rodzaju. Spotkamy się tu z najrozmaitszymi nieudanymi często typami parowców pochodzącymi bodajże od czasów samego Fultona. Jedne zaopatrzone w olbrzymie koła boczne wyglądające jak wiatraki, które w pojęciu konstruktora miały przyśpieszyć bieg parowca; inne mające tego samego rodzaju koła tylne. Spotykamy kadłuby wąskie, o głębokim zanurzeniu, nie mogące utrzymać się w równowadze bez przytroczonej z boku szkuty; inne o tak niskiej burcie, że przy każdym prawie ruchu woda dostaje się do wnętrza, a najmniejsze nachylenie grozi zalaniem palenisk i wywróceniem. Wszystkie mają źle zbudowane maszyny, kotły o niskim ciśnieniu, a więc wysoce nieekonomiczne, kadłuby za słabe, obszycie zbyt cienkie. Nadbudówki są za wysokie, co grozi niebezpieczeństwem równowadze statku. Nieoszczędne maszyny zmuszają do spalania ogromnych ilości drzewa, to też pokłady parowców zawalone są zwykle materiałem opałowym, tak że pozostaje niewiele wolnej przestrzeni na towar i pasażerów. Stąd zwyczaj zabierania ze sobą zawsze jednej lub dwu szkut przytroczonych z boku nie tylko dla

bezpieczeństwa; mają one służyć do przewożenia towarów nie mieszczących się na pokładzie. Zmniejsza to szybkość parowca, która i bez tego pozostawia wiele do życzenia.

Kilka odległych grzmotów przypomina nam, że jesteśmy oddaleni od równika o niecałe 2 stopnie i że deszcz wieczorem lub w nocy jest prawie nieunikniony. Tłumy zaczynają się przerzedzać. Uciekamy i my, aby dostać się na parowiec przed nadciągającą nawałnicą. Zaledwie zdążyliśmy dobiec do trapu, gdy spadły pierwsze krople deszczu, ogromne i ciepłe. W chwilę potem lunęły potoki wody. Pokład zalało po kostki. Parę minut spóźnienia i musielibyśmy nocować w hotelu. Nawałnica jest zjawiskiem charakterystycznym nie tylko dla strefy amazońskiej, ale i dla całego prawie pobrzeża atlantyckiego Brazylii. Większość deszczów przypada na godziny wieczorne i nocne; są one obfite i gwałtowne. Trwają przeważnie krótko. W rannych godzinach deszcze nie padają prawie nigdy; w dzień rzadko. Ma to duże znaczenie dla gospodarstwa, ponieważ nawet w porze dżdżystej pozwala na prowadzenie rozmaitych prac w rolnictwie i leśnictwie, co jest prawie niemożliwe w Afryce. Nawiasem mówiąc, pora dżdżysta przypada tu na lato, gdy słońce praży silniej. Wieczorne opady obniżają temperaturę w nocy, co pozwala na spokojniejszy sen i wypoczynek. Obfitość wilgoci powoduje silne parowanie, dzięki czemu niebo w dzień jest przeważnie zamglone i działanie promieni słonecznych nie pociąga za sobą zabójczych skutków, tak jak np. w Afryce.

Długoletnie obserwacje meteorologiczne pozwoliły ustalić, że najwyższa temperatura nie przekracza tu nigdy 39 stopni [1]). Średnia roczna — 27 st. C. Minimum absolutne 18 st. C. Średnia roczna opadów w dolnym biegu Amazonki dochodzi do 2.600 mm, w górnym — do 2.000 mm [2]).

---

[1]) Najwyższa temperatura zanotowana w Belém 30 paźdz. 1910 r. — 36,6° C; w Obidos 26 paźdz. 1903 r. — 39,2° C., gdy w Biskrze maksimum dochodzi do 43° C., w Kairze — 45° C., na Laghouat, Massaouch — 50° C.

[2]) W Afryce zachodniej na Wybrzeżu Kości Słoniowej — 6.270 mm, w Indiach pn. u stóp Himalajów 14.000 mm.

Znaczny wpływ na klimat mają wiatry południowo-zachodnie. Nad dolną Amazonką dają się one mniej odczuwać, pochodzą bowiem ze stosunkowo nieznacznej wyżyny Matto Grosso. Natomiast strefa górnej Amazonki, zwłaszcza górne biegi jej dopływów południowych, jak Madeiry, Purús, Ucayali nawiedzane są silnymi wiatrami, idącymi od śnieżnych szczytów Kordyliery Andyjskiej, które obniżają częstokroć temperaturę do 11 st. powyżej o.

Toteż klimat strefy amazońskiej można uznać za zupełnie znośny dla Europejczyka, który przyzwyczaja się do niego względnie łatwo i jest w stanie pracować fizycznie bez żadnych szkodliwych dla siebie następstw.

Warunki klimatyczne w znacznej mierze wpływają na stan zdrowia mieszkańców dorzecza Amazonki. Wbrew utartym poglądom nie jest to bynajmniej jakieś zielone czy wodne piekło, w którym ludność żyje pod grozą epidemii i jest dziesiątkowana tysiącami. Panuje tu wprawdzie malaria i ankilostoma, są jednak całe okolice prawie zupełnie wolne od tych plag. Wreszcie trochę profilaktyki i higieny, lepiej zabezpieczone domostwa, regularny tryb życia i wstrzemięźliwość w używaniu alkoholi, ustrzec mogą od tych chorób, którym przeważnie zresztą ulegają tubylcy.

To samo da się powiedzieć o szeregu chorób skórnych, pospolitych wśród miejscowej ludności, zupełnie nie spotykanych u przybyszów z Europy. Rozprzestrzenianie się tych chorób przypisać należy niesłychanej ignorancji i małej kulturze Indian i mieszańców, stanowiących tutejszy proletariat.

Malaria w tych okolicach nie ma tej siły ani właściwości, co malaria tropikalna Afryki, a przy tym jest uleczalna.

Trąd, o którym niejednokrotnie się słyszy, atakuje wyłącznie tubylców i jest znacznie mniej rozpowszechniony niż w wysuniętych bardziej na południe stanach Brazylii. Jeśli rzuca się w oczy, to dlatego, że ludność jest tu rozmieszczona wyłącznie wzdłuż rzek. Osiedli odległych o kilka bodaj kilometrów od brzegu nie ma wcale. Mieszkańcy więc skupiają się na małym stosunkowo terenie, co ułatwia przeprowadzanie

bezpośrednich obserwacji. W innych stanach trędowaci osiedlają się zwykle w dalszych okolicach, podczas gdy tu warunki życia uniemożliwiają wszelkie odosobnienie. Wypadki, ażeby biały przybysz z Europy nabawił się trądu, nie są notowane.

Dżuma, żółta febra, beri-beri (rodzaj elephantiasis) są już dziś chorobami, którymi nikt tu się nie przejmuje. Dżumy w ogóle nigdy tu nie było. Żółta febra nawiedzała niekiedy niektóre większe skupienia, ale nawet bardzo powierzchownie prowadzona walka z jej roznosicielem — komarem *stegomyia* wystarczyła, by pokonać tę chorobę raz na zawsze. Beri-beri atakuje wyłącznie tubylców. Virus jej nie jest znany, ale istnieje niewątpliwy związek choroby z systemem odżywiania mieszkańców puszczy jednostronnym i częstokroć nie wystarczającym, przy jednoczesnym nadużywaniu alkoholu, który stwarza bardzo podatny grunt dla jej rozwoju.

Wysoka średnia temperatura oraz wilgotne powietrze przy silnej transpiracji działają osłabiająco na organizm; ludzie o chorym, lub nawet osłabionym sercu będą się tu czuć źle, tym bardziej, że i aparat trawienia z tych samych powodów będzie niedomagał. Taki stan rzeczy oczywiście nie jest pomyślny ani przy zwalczaniu chorób, ani dla aklimatyzacji, która u człowieka chorego będzie wymagała dłuższego czasu. Natomiast człowiek zupełnie zdrowy nie więcej będzie odczuwał gorąco niż u nas, a nawet może mniej, gdyż nie ma tu nigdy takiego skwaru i upałów, jak w naszym klimacie podczas lata.

O wiele dokuczliwsza dla Europejczyka jest obfitość ogromna wszelkiego rodzaju owadów. Prócz wymienionej stegomyi i *Anopheles'ów* roznoszących malarię, istnieje tu kilka gatunków komarów z rodzaju *culex*, są drobniutkie dokuczliwe muszki, kleszcze mnożące się na ulistwieniu niektórych gatunków traw i szereg hematophagów (rodzaj pluskiew).

Dla nowego przybysza, który nie zna ich zwyczajów i nie umie lub nie chce, jak to się często zdarza, poddać się pewnym zarządzeniom ochronnym, stanowi to wszystko źródło stałej udręki, wyprowadza z niezbędnej równowagi, a nawet nieraz demoralizuje zupełnie. Tymczasem przy pewnej dyscyplinie



Załoga parowca tnie nożami paszę dla bydła wiezionego na parowcu

i odrobinie zdrowego rozsądku można uchronić się radykalnie od bolesnych skutków zetknięcia się z tymi pasożytami.

Prawie wszystkie komary prowadzą tu życie nocne, w dzień więc napastują człowieka rzadko, wcale nie więcej niż gdziekolwiek w Europie. Takich ilości, jakie posiadamy na Polesiu, w ogóle tu się nie spotyka. Siatki ochronne w oknach przy odrobinie uwagi zapewniają człowiekowi spokój w nocy; w domach, gdzie okna nie są zabezpieczone, używa się siatki z gazy lub tiulu okrywającej łóżko, czy hamak. Aby uchronić się od pluskiew, należy unikać domów, budowanych z gliny, nieszczelnych, lub o spękanej wyprawie. Używanie długich butów lub sztylp zabezpiecza od kleszczy itd.

Człowiekowi przyzwyczajonemu do warunków podzwrotnikowych szereg tych zarządzeń nie stwarza większego kłopotu, niż naciągnięcie u nas w zimie kołdry, włożenie futra, lub kaloszy. Oczywiście mieszkaniec Paryża, Londynu, a nawet Warszawy, przyzwyczajony do asenizacji, do wody filtrowanej, do mieszkań ogrzanych i dobrze przewietrzanych, do czystości, będzie się czuł nieswojo na rozlewiskach Amazonki czy La Platy; nie można przecie mierzyć warunków zupełnie pierwotnych miarą ośrodków, znajdujących się dziś u szczytu cywilizacji.

Zresztą dość zajrzeć do zaułków i przedmieść Warszawy, do zakamarków Whitechapelu w Londynie lub do robotniczych dzielnic Paryża; nie mówię już o wschodnich ziemiach Polski. Warunki sanitarne urągają tu wszelkim pojęciom o higienie, a robactwa wprawdzie nieegzotycznego, jest wszędzie pod dostatkiem.

Ale ludzie niechętnie wyzbywają się swego subiektywizmu, a nawet naukowcy i badacze nie zawsze i nie we wszystkim umieją stosować odpowiednią miarę i sprawdziany. Tym się też tłumaczą dość rozpowszechnione w literaturze i prasie, ale niesprawiedliwe poglądy, dotyczące Brazylii w ogóle, a strefy amazońskiej w szczególności.

WOJSKO POLSKIE
JEDNOSTKA WOJSKOWA
Nr. 3136 194_ r.

OSIEDLE W PUSZCZY

Korzystając z pół-święta decyduję się na zrobienie małej wycieczki w okolice. Ułatwia mi to agent. O 10 km od miasta ma on dostawcę rozmaitych produktów dla domu. Jest to dawny wioślarz agencji, człowiek *de confiança* — zaufany, wierny przyjaciel szefa, dzięki któremu się dorobił i przy jego pomocy wykształcił syna na pilota. Dnia tego przywiózł całą swoją rodzinę z wyjątkiem starszej już małżonki na zabawę. Ponieważ karnawał go nie interesował i miał do wieczora oczekiwać przy brzegu na powrót swoich bliskich, zgodził się od razu zawieźć mnie na swoją *szakrę*. Należał on do pokolenia, które nuży bezczynność. Przed wieczorem odwiezie mnie z powrotem, a wtedy zabierze swój *peessoal* — personel, jak się wyraził.

Ponieważ mamy płynąć pod prąd, zaproponowałem zabranie wioślarza, chciałem bowiem porozmawiać ze starym. W ciągu paru minut znalazł się amator, który za parę milrejsów i butelkę gorzałki miejscowej wyrzekł się karnawałowych rozkoszy.

Zabieram na drogę trochę pieczywa, bo o resztę pożywienia nie potrzebuję się troszczyć, oraz dwie butelki wina z palmy *assahy* [1]), żeby nie potrzebować pić wody, co do której w tej strefie mam zawsze zastrzeżenia. Prócz tego zaopatrzyłem się w dwie paczki papierosów na poczęstunek i parę cygar dla siebie. Owoców nie biorę; stary *tapuio*, jak tam nazywają Indian cywilizowanych, ma ich u siebie pod dostatkiem. Ruszamy wreszcie.

---

[1]) Wino to właściwie poza nazwą i kolorem nie ma nic z winem wspólnego, jest to dość gęsty sok o konsystencji moszczu kwaskowaty, orzeźwiający. Krajowcy mieszają go z farinią maniokową i używają jako zupę.

Łódź indyjska, wyrobiona z pnia cedru, ma blisko 6 metrów długości; z małym obciążeniem idzie lekko i sprawnie. Mój gospodarz siedzi przy sterze. Wiosła indyjskie krótkie i szerokie, pięknie ozdobione czarnym ornamentem i rzeźbą u główki rączki. Skrzynka od nafty służy mi za siedzenie. Agent chciał mi koniecznie dać na drogę parasol, ale go nie przyjąłem. Zresztą niedługo mamy płynąć po otwartej rzece, przeważna część drogi przypada na wąskie Igarape [1]), gdzie przez pewien czas promienie słoneczne nie będą nas wcale dosięgały.

Był przybór. Poziom wody podniósł się znacznie, co dla dolnego biegu Amazonki odpowiada 6 metrom wysokości. Toteż wszystkie okoliczne niziny na kilka km w głąb zalane były wodą; wolne od niej były jedynie restingi, czyli lasy położone na wyniosłościach, jak również przeważna część brzegów rzeczek i rzek. Jest to charakterystyczny objaw dla Amazonki i jej dopływów; stwarzają one jakby sztuczne obwałowanie dla swych łożysk. Zjawisko to wiąże się ze stałym, systematycznym podnoszeniem się dna całego podlegającego zalewom obszaru. Przy stosunkowo powolnym prądzie, którego na zalewach prawie wcale się nie odczuwa, unoszone iły i piaski pozostawiają corocznie znaczny osad. Znane są mieszkańcom całe okolice, zalewane dawniej systematycznie, które obecnie wcale zalewom nie podlegają. Dążymy właśnie do takiej niezalewanej restingi na wysoki brzeg *Igarapé do Lagarto*, gdzie mój gospodarz ma posiadłość. Bardzo prędko wydobywamy się z doków portowych Belém, spomiędzy pozostałości dawnych drewnianych przystani i wpływamy do rzeki Guama, która otacza miasto od zachodu.

Wiosłujący Indianin ciągle trzyma się brzegu, gdzie prąd jest słabszy. Jakiś czas ciągną się wzdłuż rzeki szeregi lepianek, dziwnie stłoczonych. Wąskie kręte uliczki; z rzadka podwórko lub ogródek. Można by myśleć, że brak tu miejsca i ziemi. Ani jednego drzewka. Od czasu do czasu zza muru wyglądają łopiaste liście *Mamão*. [2]). Przy brzegu stoją łodzie, przeważnie

[1]) Mała rzeczka, pochodzi od słowa Indian *Tupy igara* — łódź i *pe* — droga.

[2]) *Carica papaya* — melonowiec.

drobne, na dwie, trzy osoby tzw. *montaria*. Są one tutaj jedynym środkiem lokomocji. Zamożniejsi mają ich po kilka sztuk. Niektórzy z mieszkańców tych przedmieść mają swoje posiadłości dalej nad rzeką i jej odnogami. Pociąga ich życie wielkiego miasta i chociaż narażają się na wielkie niewygody i stratę czasu, wolą dojeżdżać do swoich szakr, niż tam się budować. Dawniej robili to ze względów bezpieczeństwa, dziś nie jest to już uzasadnione, ale zwyczaj pozostał i nie łatwo go wyplenić.

Na moją uwagę Indianin pobłażliwie się uśmiecha; widzę, że podziela moje zdanie, ale nie ma ochoty krytykować swych współziomków. Jest to ciekawy typ. Mówi z dużym zastanowieniem, powoli, widać że polityk. Nie skarży się. Gdy mu zwracam uwagę na jakieś niedomagania miejscowe, dyplomatycznie unika odpowiedzi. Ma dużo wyrozumiałości dla błędów czy niedociągnięć innych.

Próbuję szerszego tematu. Poruszam sprawę narodowości, państwa, ojczyzny. Przekracza to jego pojęcia. Posiada patriotyzm lokalny. Jest *paraense* przede wszystkim. Był niegdyś rybakiem, dziś łowi ryby przy okazji, szczególnie jeżeli ma zamówienie dla *patrão* — szefa, ale swoją obecną pozycję *chacareiro* — rolnika, uważa za wyższą społecznie. Pociąga go różnorodność zajęć i zarobków.

Zaczynają się zarośla, trzciny, palmy, cekropie. Las jest wyrąbany na dość dużej przestrzeni.

Indianin przecina rzekę ukosem. Jesteśmy niedaleko ujścia rzeki *Igarapé*. Brzeg przeciwny jest znacznie wyższy i porasta wyniosłym lasem. Przy samej wodzie szerokolistna trawa podobna do tataraku, trochę wyżej *situia* przypominająca liście banana, tylko znacznie mniejsze. Utarło się tu mniemanie, że grunt porosły situią znakomicie nadaje się na plantacje bananów; to pewne, że situia wyrasta najchętniej na ilastych aluwionach i tak samo jak banan, lubi wilgoć, nie znosi jednak stojącej wody.

Las nisko podszyty dosięga prawie brzegu. Widzi się całą jego głębię, jakby w sztucznym przecięciu. Widok niezwykle piękny.

Z rzadka stojące olbrzymy leśne pną się konarami do góry, cieńsze drzewa wypełniają luki. Strzelają ku niebu śmigłe palmy chowając swe strzępiaste pióropusze w gęstwę leśnego sklepienia. Prócz palm prawie wszystkie drzewa obrośnięte są pnączami i lianami. Jedne z nich wyglądają, jakby podparte potężnymi konarami tych pasożytów; inne nikną zupełnie w ich wężowych splotach; z niektórych zwisają one jak potworne powrozy.

Jesteśmy wreszcie w ujściu *Igarapé*. Jak większość rzek tutejszych, wpada ona do Guamy spokojnym, głębokim nurtem. Woda prawie czarna i czysta, w przeciwieństwie do brudnożółtej Guamy. Igarapé wygląda raczej na kanał. Obramowana wysokopiennym lasem wbija się prostą linią w głąb puszczy. Płyniemy w cieniu. Jest prawie chłodno. Mijamy skupienia trzcin, miejscami gęste zarośla palm. Od czasu do czasu wystrzelają w górę drobnolistne, pierzaste *assahý*, niewątpliwie najszlachetniejsza ich odmiana; czerwienią się malowniczo na opadających kiściach owoce, gdzieniegdzie jaśnieją jeszcze złotawe pędy kwiatów. Całymi naręczami opadają ku wodzie jakieś drobnolistne pnącze, okryte niebieskimi lub fioletowymi kwiatami. Nie chce się wierzyć, że jesteśmy w puszczy. Prąd jest słaby. Woda wygląda martwo. Cisza w powietrzu. Od czasu do czasu zrywa się przed nami zimorodek lśniący niebieskawym upierzeniem. Para drobnych kaczuszek przecina spokojną toń uciekając w szuwary na drugim brzegu.

Ściana lasu ucina się raptownie. Osiedle.

Przy brzegu uwiązane dwie łodzie; na burcie jednej prześliczna biała czapla odbywa sjestę. Nie ma zamiaru uciekać, widocznie oswojona, kręci tylko niespokojnie głową.

Wyrąb między szuwarami pozwala nam ujrzeć niewielki domek z pni palmowych, pokryty palmowymi liśćmi, niby strzechą. Domek otoczony gajem pomarańcz, drzew mangowych, *palt*, kawy. Droga wysadzana ananasami; podwórko okolone chińskimi różami o olbrzymich kwiatach i *euphorbią*, okrytą płomiennego koloru kwiatem. Dwoje nagich bachorząt przerywa zabawę i przez chwilę gapi się na nas. Złocą się pomarańcze,

zielenią palty, czerwienią wisienki kawy. Zmieszane zapachy kwiatów, drzew i owoców, łagodnie łechcą nozdrza. Dziwnie błogi spokój i cisza w powietrzu. Zapomniana Arkadia. Jesteśmy nieskończenie daleko od zgiełku, walki, trosk i niepokojów nowoczesnego życia.

Kultura? Cywilizacja? — wydają się złudzeniem. Życie przejawia się w najprostszych, najbardziej prymitywnych formach. Natura szczodrze udziela tu swych darów człowiekowi. Wielu z nas uciekłoby od tej cywilizacji, za którą ginęły miliony. Wielu wyrzekłoby się kultury, która trzyma w napięciu siły człowieka, pcha go do walki i poświęceń.... Gdyby mogli. Gdyby jeszcze mogli.

Mijamy to osiedle. Słońce zabłysło i zgasło. Znów jesteśmy w cienistym parku natury.

Moi Indianie milczą. Ci ludzie umieją jeszcze milczeć. Wdzięczny im jestem za to.

Któż by uwierzył, że o dziesięć kilometrów za nami wre życie nowoczesnego miasta. Grają zmysły i ludzkie namiętności. Ludzie bawią się, kupczą i walczą...

Indianin na dziobie wyciąga milcząc rękę w kierunku nurtu. Szukam wzrokiem. W ciemnej, ale przezroczystej wodzie, ukazuje się sylwetka krokodyla. Pół głowy widać na powierzchni. Zwierzę nie porusza się zupełnie, daje się unosić prądowi. Piękny okaz, pięć metrów bez mała. Wzdrygam się mimo woli.

Natura, której piękno chłonąłem już od godziny spragnionym i olśnionym wzrokiem, bujna, bogata, szczodra i piękna, jest jednocześnie nieubłagana, krwiożercza i nieustępliwa, zachłanna i niemiłosierna.

Wyciągam ostrożnie Smitha.

Indianie znieruchomieli. Celuję parę sekund. Huk wystrzału rozlega się w wąskiej gardzieli potoku jak grzmot. Krokodyl zwija się w obręcz; przez chwilę widzimy go całego w powietrzu. Opada w wodę i znika. Echo poniosło odgłos wystrzału w las powtarzając go wielokrotnie. Nagły huk zbudził puszczę. W powietrzu załopotały skrzydła. Stado papug porwane wichrem przerażenia z głośnym skrzekiem przemknęło na drugą stronę.

Kilka czarnych ptaków błyskawicznym, zygzakowatym lotem przecięło powietrze. Zerwały się zaszyte w gęstwinę czaple. Dwie wspaniałe niebiesko-czerwone ary ciężkim lotem uchodziły w las. Odezwały się wyjce, zawtórowały im skrzecząc jakieś mniejsze małpki.

Chwilę trwało zamieszanie, aż wreszcie uspokoiło się wszystko.

Urok prysł. Wracałem powoli do rzeczywistości.

Co paręset metrów spotykaliśmy nowe osiedla. Niektóre podobne do pierwszego, inne otoczone sporymi plantacjami bananów i trzciny cukrowej, gajami kakaowymi lub rzędami niezwykle wyrośniętego manioku.

Ukazało się parę łodzi. Z jednej wyładowywano sporej wielkości rybę o ogromnej głowie, do pół ciała jakby w pancerzu całą nakrapianą żółtymi plamami.

— Tigre — poinformował Indianin — nao serve — nie nadaje się do jedzenia.

To pocóż ją wloką?

— Biedni ludzie nie przebierają.

Dobiliśmy wreszcie do większego wyrębu na prawym brzegu. Było to obejście mego gospodarza. Dom nieco oddalony od brzegu, kryty dachówką, tonął w gęstym sadzie. Sponad dachu wyglądało kilka dużych pomarańcz oblepionych owocem. Droga do domu obsadzona ananasami. Obszerne podwórze okolone kakaowcami o lśniącym, ciemnozielonym ulistwieniu, rozjaśnionym kępkami jasnoróżowych młodych liści. Za kakaowcami niewielka plantacja bananów i manioku. Po podwórzu przechadzało się ptactwo domowe. Prócz swojskiego były tam i okazy fauny miejscowej: małe kaczuszki, które spotkaliśmy już na rzece, o pięknym, lśniącym i bardzo kolorowym upierzeniu, kilka *mutúm*, rodzaj indyków leśnych, czarnych całkowicie, z ognistymi potężnymi dziobami, wreszcie para białych czapli. Koło kuchni kręciło się sporo papug począwszy od małych *inseparables* do olbrzymich niebieskich i czerwonych ar. W obejściu nie brakło również nierogacizny, której towarzyszyło kilka *pecari*. Obok wejścia do kuchni siedziały dwie małpy na łań-

cuszkach. Ledwie ujrzały gospodarza, podniosły taki lament, jakby je kto ze skóry obdzierał. Okazało się, że tęsknią do pieszczoty; uspokoiły się dopiero, gdy Indianin pogłaskał je i dał im po kawałku banana. Prawdziwa menażeria.

Zjawiło się i parę piesków, ale zachowywały się jakoś obojętnie a nawet i łaskawie, tak jakbym był stałym gościem w obejściu. Wytłumaczył mi to stary. Odwiedzają go szefowie i personel ajencji. Mają zwyczaj bawienia się z psami i zawsze przywożą im jakieś smakołyki. Stąd uprzejmość dla cudzoziemców; podobno wobec miejscowej ludności są mniej grzeczne. Zresztą są używane do polowania, a nie do pilnowania obejścia. Tu nie ma kradzieży.

Dowiedziałem się, że Anglicy zatrzymują się zawsze w jego *szakrze* podczas wycieczek myśliwskich. Przyjeżdżają tu po pracy w sobotę motorówką, nocują i w niedzielę wyruszają łodziami w teren. Polują na dziki, tapiry, paki, kapiwary, kaczki, czaple, ptactwo leśne, krokodyle itp. Odbywa się to w restindze tzn. lesie niezalewnym. O parę kilometrów od rzeczki na południe zaczyna się *altura* — wyżyna. Tam właśnie ma mój Indianin główne gospodarstwo, tam trzyma krowy i sadzi kukurydzę, bataty, fasolę, ryż i orzeszki ziemne. Tu nad rzeką ma tylko mieszkanie i zaledwie parę hektarów niezalewnej ziemi. Do altury podczas suchej pory roku jedzie się małymi rzeczkami *canos* lub *furos* podobnymi do kanałów, które sobie woda wyrywa, łącząc jeziora z rzeką przy obniżaniu się jej poziomu. Obecnie można się tam dostać prędzej przez *igapó* czyli zalany las. Odległość wynosi nie więcej niż dwa kilometry. Postanowiłem pojechać tam po śniadaniu.

Wybraliśmy się montarią — małą łódeczką mieszczącą zaledwie trzech ludzi. Siedzieć musieliśmy na dnie, gdyż była niezmiernie wywrotna. Spotkany krokodyl nasuwał mi niezbyt różowe myśli, nasza łódeczka rozleciałaby się od jednego uderzenia ogonem, ale musiałem udawać, że się w niej czuję jak na *drednocie*. Po chwili wypłynęliśmy w sferę typowego *igapó*. Drzewa były pogrążone w wodzie na półtora metra. Początkowo przedzieraliśmy się przez gęstwinę, która zwykle

tworzy się na brzegach lasu, ale minąwszy ją znaleźliśmy się w przestronnym i dość czystym zalewie, gdzie płynąć można było swobodnie. Drzewa wbrew moim przypuszczeniom, rosły tu dość rzadko. Miało się znaczną perspektywę dookoła, wysoki strop zieleni nad sobą, przyjemny chłodek i przezroczystą wodę. Prądu żadnego. Widok był niezwykły. Uroku dodawała głucha cisza i łagodny, zielonkawy zmrok. Płynęliśmy tak czas jakiś, aż wydostaliśmy się nad jezioro. Nie było ono wielkie, długości może kilometra, szerokości około dwustu metrów. Ściany lasu, zasnute naręczami zwisających pnączy, odcinały się równą jakby strzyżoną linią.

Brzeg przeciwny wyraźnie był wyższy. Zaczynała się tu owa *altura*. O paręset metrów przed nami widniała wyraźna wyrwa. Była to *szakra*. Przy brzegu paśnik. Z rzadka sterczące tu i ówdzie na wpół zmurszałe pniaki, wskazywały, że nie tak dawno był tu las i że paśnik ten tworzyła ręka człowieka. W głębi widać było plantację, w pobliżu pasło się około tuzina krów. Z boku spora szopa, kryta liśćmi palmowymi, w jednym jej rogu wybudowana była niewielka izba z szczypanych pni palmowych, służąca do przechowywania sprzętu gospodarskiego i używana jako czasowe schronisko podczas sadzenia i zbiorów. Przed szopą odbywało się oczyszczanie kukurydzy, łuszczenie fasoli, omłot ryżu. W razie silniejszego deszczu chroniły się tu krowy. Tu również odbywały one swe sjesty i noclegi, bydło bowiem w strefie podzwrotnikowej niechętnie odpoczywa na trawie, którą pokrywa w nocy silna rosa. Toteż wynajduje ono sobie choćby najmniejsze niezarośnięte przestrzenie. Chroni je to od robactwa i węży, których w trawie nocą nie można dostrzec.

W szopie na zewnętrznej ścianie dobudówki widniało kilka rozwieszonych do wysuszenia skór. Były to zdobycze z ostatniego polowania pozostawione jak zwykle opiece don Gregoria. Zwracała uwagę długa na sześć metrów skóra anakondy stalowego koloru.

Udój krów odbywa się w nocy, gdy powietrze już się ochłodzi. Na dwie godziny przed wschodem słońca łódź zabiera mleko do miasta, gdzie dostarcza się go klientom przed szóstą rano. Przy panujących tam cenach jest to stosunkowo najlepszy

interes, wymagający jednak sporo pracy i czujności. Wystarczy kilku promieni słonecznych, aby mleko się zważyło i cały wysiłek poszedł na marne. Stary pokazał mi również strumień o dość wysokich brzegach, gdzie żyją paki, miłe i zgrabne zwierzątka, zastępujące tu z powodzeniem nasze zające, znacznie jednak od nich tłuściejsze. Polowanie na te zwierzątka odbywa się tu za pomocą oszczepu, takiego samego, jakiego używają Indianie przy połowie większych ryb.

Obejrzawszy gospodarstwo i pospacerowawszy po lesie, postanowiliśmy wracać. Słońce miało się dobrze ku zachodowi. Pod wieczór jak zwykle pojawiły się krokodyle. Z uwagi na kruchość naszej łodzi, wolałem nie wywoływać przygód i pozostawiłem Smitha w spokoju.

Na szakrze czekała nas suta i urozmaicona wieczerza. Musiałem skosztować racuszków z manioki, bananów gotowanych na słono, które zastępują chleb, pysznej kury osmażonej w *pasoce* czyli w specjalnie przyrządzonej mączce maniokowej. Był i indyk leśny o delikatnym białym mięsie, niczym nie ustępujący najsmaczniejszemu bażantowi, który jest zresztą jego dalekim krewnym. Była i ryba w jakimś pieprznym sosie, wreszcie budyń z pinii (tak nazywają tutaj dzikie anony — dziwaczny owoc wielkości małego melona, o wystających rogach, którymi jest usiany). Musiałem spróbować i samogonki z owocu *pifuaio* [1]). Ruszyliśmy już po zachodzie słońca. Na rzece dokuczały nam trochę komary, których nad Guamą nie było prawie zupełnie. W porcie czekała już rodzina mego gospodarza. Poznałem dwie jego córki. Odznaczały się wspaniałą budową, kruczymi włosami i regularnymi rysami. Nie były piękne, ale śniadość ich cery była żywa, nie zmatowana jak u kreolek, a spojrzenie ogniste. Miały charakterystyczne dla tutejszych mieszkańców małe, zgrabne ręce i nogi. Zwróciłyby uwagę na siebie w każdym kraju. Według zwyczajów miejscowych powinny by się nazywać *mamelucas*, tak jak ich matka pół-krwi biała — *cariboca*.

[1]) Kolczasta palma, dająca ogromne kiście oryginalnych owoców wielkości dużej śliwki francuskiej, zielonych u nasady, czerwonych lub fioletowych od połowy i bardzo aromatycznych.

Najgorzej było przy pożegnaniu. Mój gospodarz za nic nie chciał wziąć jakiejkolwiek zapłaty. Pod tym względem podobny był do wielu bardzo Brazylian z *interioru*, jak nazywają prowincję w Brazylii. Gościnność wypływa tam z wewnętrznej potrzeby, a jednocześnie jest cnotą bardzo rozpowszechnioną. Możność okazania swej gościnności uważa się tam jeszcze za przywilej.

Cóż było robić. Musiałem się rozstać z pięknym nożem, który na szczęście miałem przy sobie. Po długich wahaniach i mojem naleganiu przyjął go wreszcie na pamiątkę.

Nazajutrz odwiedziłem miejscowe muzeum imienia słynnego badacza północnej Brazylii Goeldi. Małe, ale wzorowo utrzymane. Jedno, co by mu można zarzucić, to uniwersalność. Archeologia, etnografia, botanika, zoologia, mineralogia itd. itd. — Wszystkie zgromadzone tu na niewielkiej przestrzeni przedmioty może nawet obrazują w pewnym zakresie przeszłe i obecne życie doliny Amazonki, ale swym fragmentaryzmem budzą wątpliwości i zastrzeżenia.

Muzeum rozporządza bardzo nieznacznymi środkami i jest pod opieką jednego tylko człowieka, którego największe wysiłki nie zastąpią specjalistów w poszczególnych działach.

W dziale ceramiki rzucają mi się w oczy naczynia niewątpliwie służące do celów obrzędowych, które biorę — część ich przynajmniej — za peruwiańskie *huaki*.

Wykonaniem i wybitnym antropomorfizmem niesłychanie przypominają zbiory oglądane przeze mnie w Limie. Gatunek glinki różni się trochę w poszczególnych okazach; ale można by przysiąc, że niektóre z nich pochodzą z pobrzeża Oceanu Spokojnego. Oprowadzający gospodarz wyprowadza mnie jednak z błędu. Wreszcie napisy wyraźnie stwierdzają, jeśli nie pochodzenie, to przynajmniej miejsce ich znalezienia. Ogromna większość to wykopaliska z wyspy Marajó.

Okazy począwszy od drobnych przedmiotów o charakterze zdobniczym — do naczyń rytualnych i użytkowych odznaczają się wybitnym podobieństwem stylu i techniki,

można by sądzić że wszystkie wyszły z jednej pracowni. Pomimo sprzeciwu mego przewodnika nie mogę pozbyć się wrażenia, że jednak są to reminiscencje peruwiańskiej sztuki. Kto wie, jakie tu odbywały się wędrówki ludów i czy zasięg kultury preinkaickiej nie dosięgał Marajó.

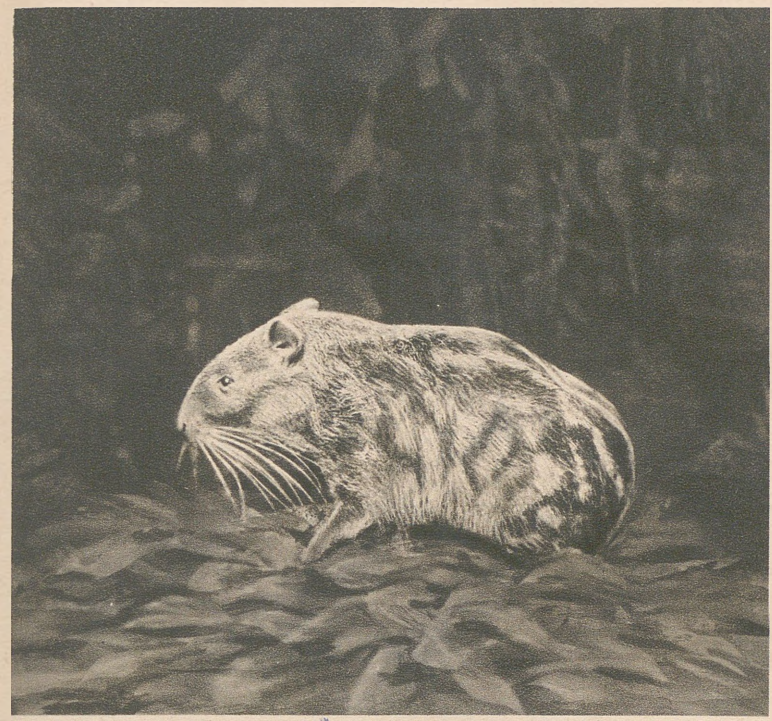
Kto widział budowle spotykane na niebotycznych szczytach Andów, lub dwudziestometrowej szerokości brukowaną drogę miejscami doskonale zachowaną do dnia dzisiejszego, a ciągnącą się szczytami na przestrzeni przeszło 2.000 kilometrów, temu możliwość promieniowania kultury legendarnych mieszkańców wysokiego płaskowzgórza Kordyliery Andyjskiej nie wyda się nieprawdopodobną.

Państwo Inkasów powstało na gruzach jakiejś dawnej cywilizacji, której nazwy nawet nie udało się dokładnie ustalić. Obejmowało ono część Kolumbii, Ekwador, Peru, Boliwię i znaczną część Chile. Jakiż zasięg musiała posiadać dawna kultura tego państwa, jeśli stworzyła dzieła sztuki architektonicznej i inżynieryjnej, które obecnie jeszcze imponują nam swoim rozmachem i trwałością.

Te zbiory z dziedziny archeologii i etnografii nasuwają nam na myśl następujące pytania:

Czy człowiek zamieszkujący dorzecze Amazonki jest autochtonem, a jeśli nie, to skąd przybył? Czy obecni mieszkańcy puszcz amazońskich są mieszańcami czy rasą czystą? Jeśli są autochtonami, to dlaczego nigdy nie znaleziono tu śladów kamienia łupanego? Czyżby człowiek amazoński od razu przeskoczył w swym rozwoju tę erę? Czy stało się to dzięki jakiemuś kataklizmowi w dziejach naszej planety, czy też, co jest bardziej prawdopodobne, człowiek przybył tutaj z innych okolic już w stadium wyższego rozwoju i powoli zdziczał, zatracając tę odrobinę kultury, którą wyniósł ze swych pierwotnych osiedli.

Szereg pytań i wątpliwości ciśnie się na usta każdego choć trochę wnikliwego podróżnika, który znalazł się w tych okolicach.



Urugupí — Branicki, gryzoń ze wschodnich stoków Andów. Zwierzę odkryte przez polskiego uczonego Jelskiego

A *Sernambý* [1]? Nowa wątpliwość i nowe pytania. Co sądzić o tych wyniosłościach nad brzegami rzek, pokrytych nieraz bujną roślinnością, składających się z kilku- a czasem i kilkunastumetrowej wysokości zwałów muszli, przeważnie jednego gatunku z nieznaczną domieszką innych. Pierwsi odkrywcy tych pokładów sądzili, że powstały one pod wpływem działania wód. Ale gdy przy rozkopywaniu natrafiono na ślady ognisk, prymitywnych narzędzi, siekier kamiennych i szkieletów zwierzyny, poglądy na tę sprawę uległy zmianie. Przypisywano powstanie tych wzniesień prymitywnym mieszkańcom lądu, którzy dla nieznanych nam powodów, obierali specjalne miejsca dla swych uczt, na które składały się głównie wszelakiego rodzaju małże. Sernambý zostały więc uznane za odpadki kuchenne koczujących wówczas gromad ludzkich.

Ale i w tej dziedzinie nie zdołano ustalić żadnych pewników.

Ci sami badacze kilkakrotnie zmieniali swoje poglądy. Wysyłane ekspedycje naukowe obalały twierdzenia swych poprzedników. Im dokładniej badano te zjawiska, tym więcej powstawało wątpliwości. Obecnie nie tylko pozostaje nierozstrzygnięta kwestia, czy *Sernambý* stworzone zostały przez ludzi czy przez siły natury, lecz sprawa jeszcze bardziej się zagmatwała, gdy odkryto szeregi tych złóż w głębi lądu, a nawet na wybrzeżach dopływów Amazonki. Większość badaczy doszła do przekonania, że muszle, z których wały są zbudowane, są morskiego pochodzenia. Stąd pogląd, że obecna dolina Amazonki jest dawnym dnem morza, które zostało zaniesione iłami dzięki pracy wód spływających z Andów. Sernambý jednak nie leżą na prymitywnych opokach, lecz na pokładach aluwionu. Skąd więc dostały się tam muszle morskie? Przecież nie wożono ich rozmyślnie w głąb lądu w celu spożycia ich zawartości.

---

[1]) Indyjskie słowo oznaczające — odpadki, resztki. Słowa tego użyto przy określaniu odpadków kauczuku w epoce rozkwitu jego produkcji nad Amazonką.

Wreszcie dlaczego nie ma tu śladów soli? Dotychczas przynajmniej jej nie odkryto. Pierwsze złoża występują dopiero na brzegach Huallagi o 6.000 kilometrów od ujścia Amazonki [1]).

Przy badaniach nad pochodzeniem człowieka amazońskiego próbowano posługiwać się i metodą porównawczą języków; jak dotychczas, bez skutku. Odkryto jednak, że tak zwany *supỳ*, język przypisywany najliczniejszej tu grupie etnicznej i stanowiący tak zwaną *lingua geral*, a więc rozumiany przez wszystkie inne szczepy, nie jest niczym innym jak językiem *Suaranỳ*, którym posługuje się większość Indian południowej Brazylii, Paragwaju i Gran Chaco [2]). Dawniejszy błędny pogląd na różnicę między tymi językami powstał z powodu stosowania niejednolitej fonetyki przez księży pochodzenia hiszpańskiego na południu i portugalskiego na północy, którzy opracowywali pierwsze słowniki i nierzadko popełniali omyłki.

Brak trwałych budowli w całym basenie Amazonki zwiększał jeszcze trudności badań i klasyfikacji poszczególnych okresów dawnej kultury.

---

[1]) Huallaga, jeden z prawobrzeżnych dopływów Amazonki u podnóży Andów. Sól występuje tu w bryle znacznej grubości na prawym brzegu Huallagi, powyżej bystrzyn Saposoya. Sól ta uważana jest przez Indian Montanii za ich wyłączną własność i zazdrośnie broniona przed białymi. W roku 1930 rząd peruwiański wysłał na Huallagę dla zbadania tej sprawy kanonierkę „Napo"; ta pod osłoną kulomiotów wydobyła duży złom soli, przeszło dwustukilowy, który przywiozła do Iquitos. Stwierdzono, że bez asysty zbrojnej wydobywanie soli jest tam niemożliwością.

[2]) Amazonka i całe jej olbrzymie dorzecze kryją jeszcze zapewne niejedną tajemnicę i są ciekawym terenem pracy dla każdego wnikliwego, zapalonego, ale i odważnego badacza.

W DRODZE DO MANAOS

Czwartego dnia dopiero po zachodzie słońca ruszyliśmy w dalszą drogę, nie omieszkawszy zabrać ze sobą dwóch pilotów miejscowych, bez których żegluga po Amazonce jest niemożliwa. Wprawdzie nurt jest wytyczony; wskazują go boje i latarnie morskie. Ale odległości są za duże, ognie sygnalizacyjne za słabe; czasem działają wadliwie. Trzeba świetnie znać rzekę, kanały, brzegi, posiadać jakieś niemal telepatyczne właściwości dla odróżnienia stałych ognisk sygnalizacyjnych od ognisk lub świateł stojących na kotwicy żaglowców. Zresztą latarnie istnieją jedynie na przestrzeni 300 km do końca Furo de Breves-południowej odnogi Amazonki, która po przyjęciu wód Tocantíns figuruje na mapach jako rzeka Pará. Jak już wspomniałem, kwestia, czy mamy ją uważać za odrębną rzekę, jest jeszcze nierozstrzygnięta.

Po przejściu Breves parowiec dostaje się do głównego nurtu Amazonki, który wyspa Gurupá długości 150 km dzieli na dwie odnogi. Minąwszy ujście Xingú na prawym brzegu, mające tu sześć i pół km szerokości wydostajemy się na przestrzeń pozbawioną wysp. Szerokość Amazonki wynosi tu 11 km. Te olbrzymie przestrzenie niesłychanie utrudniają orientację i trzeba posiadać niepowszednie zdolności, żeby nie zbłądzić.

Na parowcu gaszą wszystkie światła, by nie odbijały się w wodzie. Pozostają jedynie dwie boczne kolorowe latarnie i jedna wysoko na maszcie. Statek zdany na łaskę wzroku i wyczucia pilota indyjskiego; trzeba przyznać, że nie było dotąd wypadku zmylenia drogi lub wpędzenia parowca na mieliznę. Jedynie mgła, lub deszcz mogą zmusić do rzucenia kotwicy, zaledwie jednak trochę się wypogodzi, parowiec rusza w dalszą drogę, choćby noc była czarna jak atrament.

Ułatwia żeglugę głębokość rzeki, która sięga tu 40 metrów. Gdy rzeka przybiera i po Amazonce płyną całe zwały drzew wyrwanych wodą, statek posuwa się w nocy powoli ze względu na olbrzymie pnie mogące grozić rozbiciem. Szczęściem płyną one przeważnie wzdłuż i dziób parowca roztrąca je względnie łatwo.

Dnia tego księżyc był w pełni. Deszcz spadł dość wcześnie. Ani jedna mgiełka nie zasnuwała horyzontu. Mogliśmy więc płynąć bezpiecznie i podziwiać majestatyczne lasy okalające brzegi. Czaru dodawała lśniąca przed nami w promieniach księżyca rzeka, rozlana jak morze.

Toteż nie dziwiłem się, że jakaś para profesorska z południowej Walii, pastor anglikański z Manchesteru, a nawet jeden z mechaników okrętowych dotrzymywali mi towarzystwa na pokładzie. Przespać tę cudną noc byłoby zbrodnią. Nawet w trzeciej klasie znalazło się kilku miłośników piękna; oparci o burtę w milczeniu podziwiali krajobraz.

Było zimno. Profesor dawno już przyniósł gruby pled żonie, sam ubrał się w ciepłą jesionkę, reszta towarzystwa także włożyła albo swetry albo okrycia. Nawet oficer na warcie szybciej niż zwykle przechadzał się po pokładzie i widziałem, że kołnierz kurtki miał podniesiony.

Jeszcze jeden paradoks w życiu, jeszcze jedna rozwiana legenda. Gadajcie mi tu o równiku.

Rankiem mijamy miasteczko Breves na zachodnim wybrzeżu wyspy Marajó. Jest ono stolicą olbrzymiego terytorium, ale ani z dala, ani tym bardziej z bliska nie można poznać, że to stolica. Podobno miała swoje dobre czasy w epoce kauczuku, ale minęły one bezpowrotnie. Obecnie „port" jest w opłakanym stanie. Nie widać ani jednego porządniejszego budynku, nawet kościoła. Kauczuk, jak tu mówią, wypowiedział posłuszeństwo. Pieniądze odpłynęły. Zostały długi i malaria. Nic dziwnego, że połowa ludności również rozproszyła się po świecie, bo nie było po co tu pozostawać.

Przepływamy gdzieniegdzie bardzo ciekawe *furos* [1]). Chwilami gałęzie drzew dosięgają parowca. Na niektórych dojrze-

[1]) Kanały wyrwane przez przybór.

liśmy małe małpki. Nie uciekają. Widocznie oswoiły się z podobnym widokiem. Wszczynają tylko niesłychany hałas. Mijamy wyspy zarosłe wyłącznie palmami. W gąszczu drzew i między zwojami lian i pnączy widać tu i ówdzie korony palm, które ogromnie ożywiają krajobraz, dodając mu jeszcze więcej egzotycznego uroku. Las samych palm nuży swoją jednostajnością.

Chwilami rzeka dzieli się na szereg odnóg. Wprost przed sobą widzimy trzy, czy cztery odnogi, podobne do siebie jak krople wody. Pilot bez wahania obiera właściwą drogę, chociaż nie ma znaków ostrzegawczych. Od czasu do czasu rzeka rozszerza się w prawdziwe morze. Z rzadka spotykamy pojedyńcze osiedla ludzkie wtłoczone w gąszcz trzcin i zarośli. Mijamy całe kilometry bez żadnego śladu życia ludzkiego. Przez cały dzień spotkaliśmy jedną łódź żaglową i malutki parowiec holujący przy swoim boku niewielką szkutę. Konwojujący nas urzędnik komory celnej z Belém twierdził, że był to ładunek orzechów, zwanych *castaña do Brazil*, chociaż właściwie nie mają one nic wspólnego z kasztanami. Orzechy te stanowią przedmiot eksploatacji na dużą skalę. Istnieją tu lasy zarosłe dość gęsto drzewami *bertholetia excelsa*, które te orzechy rodzą. Jest to jedno z większych drzew Amazonki dochodzące do 60 m wysokości o pięknej linii i ciemnym obfitym ulistwieniu. Orzechy mieszczą się w sporych kulach, o twardej, podobnej do kokosa skorupie, która nie pęka nawet przy upadku ze szczytu drzewa i trzeba ją rozbijać uderzeniami obucha. Belém wywozi ich przeszło 40.000 ton.

Pod wieczór mijamy od strony południowej wyspę Gurupá i dostajemy się do części Amazonki prawie zupełnie pozbawionej wysp i odnóg. Jak już wspomniałem, rzeka ma tu około 11 km szerokości. Podobno są miejsca, gdzie szerokość jej sięga nawet 15 km. Nie ma więc mowy o jednoczesnym oglądaniu obu brzegów. Płyniemy jak po morzu.

Uderza mnie widok nieoczekiwany — wyraźnie rysujące się na horyzoncie pasmo górskie. Mało kto z nas wie, że w dorzeczu Amazonki istnieją dość wysokie wzniesienia. Oczywiście jest to wina podręczników geograficznych, pisanych prze-

ważnie przez ludzi, którzy sami nie podróżowali, a przyjmowali bezkrytycznie nie zawsze dokładne informacje podróżników.

Możemy się naocznie przekonać, że to co nazywają tam *terra firme*, tzn. właściwy brzeg rzeki przeważnie jest wysoki niezalewany na olbrzymich przestrzeniach. Amazonka ma na całym swoim terytorium szereg wyniosłości, należących do formacyj dawniejszych, aż do skał pochodzenia archaicznego włącznie.

Na lewym brzegu mamy więc pasmo Almeirím i Parú, dalej idą Serra do Jutahý, Paranquára itd. Koło Monte Allegre lewy brzeg ma 70 metrów wysokości, trochę dalej na prawym brzegu ciągną się urwiska Cussarý, za nimi na południe pasmo Curuá, jednocześnie na północy zaczynają się ukazywać wyniosłości i pojedyńcze szczyty jak Itanaiurý, Ereré, Maxira, Monte Grande, Paraiso. Ledwie minęliśmy ujście Tapajós, spotykamy znów tzw. Barreiras de Paracarú, stromy brzeg, przy którym Amazonka tworzy potężne wiry. Na lewym brzegu koło Obidos dawnej fortecy pamiętającej czasy portugalskie rozpoczyna się wyżyna Serra de Escana. Jednocześnie ukazuje się na prawym brzegu Serra de Parintíns, dalej urwiska Cararassú i tak bez końca. Wzgórza te na ogół nie mają więcej niż 350 m wysokości, ale istnienie ich wystarcza, ażeby obalić legendę o wodnej puszczy, o setkach kilometrów zatopionych lasów i tym podobnych „prawdach".

Do powstawania błędnych wyobrażeń i poglądów przyczynia się niejednokrotnie nieznajomość języka. Temu też zapewne należy przypisać, że uczyliśmy się niegdyś o pampasach południa i silvasach, lub selvasach Amazonki. Urzędowi geografowie do słowa, którego widocznie nie rozumieli, starali się dorobić pojęcie o jakimś zupełnie nowym zjawisku natury, dla którego stworzono specjalny termin geograficzny. Tymczasem wszystko polegało na nieporozumieniu. Mieszkaniec Brazylii, zapytany, co tam się dzieje dalej nad Amazonką, odpowiadał, że teren porośnięty jest puszczą, dzikim lasem, co określał portugalskim słowem *selva*. Drugim takim niezrozumianym słowem były lianosy. Łamaliśmy sobie z profesorami głowy,

co ta nazwa właściwie może oznaczać. Nie brakowało i takich, którzy uważali, że pochodzi ona od słowa liany. Wyobrażaliśmy to sobie jako gmatwaninę grubych pnączy. W rzeczywistości było to określenie hiszpańskie równin — *llanos*[1]).

Ale dość o tym. Nauka geografii pomimo wielu omyłek i niedokładności w przeprowadzanych badaniach, zasługuje na rzetelny szacunek. Nie będziemy więc wypominać jej błędów, których nic ludzkiego nie jest pozbawione. Wreszcie i nam pewien liberalizm w tej dziedzinie może tylko ułatwić zadanie. Jesteśmy przecież w mało znanym, prawie niezbadanym kraju i niejeden błąd możemy popełnić mimowolnie.

Każdego podróżnika uderzyć musi niezwykła obfitość jezior, rozsianych wzdłuż Amazonki. Najczęściej są one pozostałością po zmieniającym się łożysku rzeki lub jej dopływów. Jeziora te o powierzchni nieraz dziesiątków kilometrów kwadratowych, połączone częstokroć kanałami ze sobą, stanowią cenną sieć komunikacyjną, co stanowić będzie pierwszorzędny czynnik gospodarczy z chwilą, gdy cała ta okolica zwróci wreszcie uwagę świata na niezaprzeczalne swoje bogactwa.

Część brzegu Amazonki jest niska i podlega zalewom. Każdy jednak zalew pozostawia po sobie warstwę osadu, która powoli rośnie coraz wyżej; wylewy dosięgają tu więc coraz rzadziej, aż w końcu zalewane dawniej niziny stają się łąkami, lub zarastają lasem.

Jak już wspomniałem na początku, są tu całe połacie kraju podlegające dawniej rok rocznie zalewom, które dziś przeistoczyły się w restingi lub pastwiska.

Liczne jeziora służą w chwilach wylewów za rezerwuary, w których zbiera się woda. Gdy rzeka zaczyna opadać, wody zdążają z powrotem do jej koryta, przez co łagodzą efekt wylewu, a prócz tego zapobiegają zbyt wielkiemu ubytkowi wody i regulują w ten sposób do pewnego stopnia złe skutki przyboru.

Drugie ciekawe zjawisko na Amazonce, to tworzenie się i przesuwanie wysp. Rzeka, jak wiadomo, unosi na swych wo-

[1]) Czyta się lianos.

dach miliony ton piasku i mułu. Wystarczy jakakolwiek przeszkoda: zawrót, czy tworząca się ławica, ażeby zmniejszyć szybkość prądu. Powoduje to zwiększone osiadanie namułu. Dość, żeby na mieliźnie osiadło jakieś większe drzewo, aby koło niego natychmiast zaczęła się tworzyć wyspa, po kilku latach rozrastająca się znacznie. Woda znosi na nią nasiona i odłamki gałęzi; wyspa zarasta najpierw drzewami w rodzaju kolczastej wierzby *oeirana*[1]), następnie pojawiają się trzciny, *cecropia paltata*, wreszcie rozmaite inne rośliny. Tworzy się las. Wyspa rozrasta się z boków i od strony dolnego biegu, ale jednocześnie zaczyna się destrukcyjna praca prądu od góry. Woda powoli rozmywa wyspę, której jednocześnie przybywa ciągle terenu z przeciwnej strony — od dołu. W ten sposób wyspa posuwa się jakby z biegiem rzeki i tym, zdaje się, tłumaczy się powstanie legendy o pływających wyspach na Amazonce, o których również wspominali jej odkrywcy[2]). Oczywiście są i takie wyspy, które nie zmieniają swego położenia od dłuższego czasu.

Pod względem budowy geologicznej, jest to jeden z najmłodszych terenów na świecie, można by powiedzieć, że znajduje się dopiero w stadium tworzenia. Praca wód wre niezmożona. Ciągle się tu coś tworzy i znika, ażeby powstać na nowo.

Jest rzeczą ogromnie charakterystyczną, że wszystkie prawie lewobrzeżne dopływy Amazonki od ujścia aż do Rio Negro odznaczają się szybkim prądem, mają kamieniste łożyska, wreszcie są poprzecinane szeregami wodospadów, dochodzących niekiedy do 20 m wysokości. Rzeki te są dostępne dla żeglugi na przestrzeni nie większej niż 100—150 km.

Inną właściwością Amazonki i niektórych jej dopływów jest wielka obfitość kanałów mniej więcej równoległych do jej biegu, nazywanych tu *paraná*, które doskonale nadają się do żeglugi i skracają odległości.

Niektóre z nich leżą o 60 i więcej kilometrów od głównego koryta rzeki. Prócz tego pewne rzeki tworzą po kilka ujść, co

[1]) *Salix martiana.*

[2]) Widziałem kilka takich wypadków, kiedy działo się odwrotnie. Wyspa narastała od góry i była rozmywana od dołu.

nie jest konsekwencją tworzenia się delty. Część wód podczas wielkich przyborów utorowała sobie drogę niezależnie od głównego koryta. Brzegi odnogi podniosły się i umocniły i rzeka w ten sposób jakby się rozdwoiła. Największą taką odnogę posiada Madeira; nazywa się ona Canumá. Zaczyna się na setnym kilometrze od właściwego ujścia, ma 400 km długości i wpada o 300 km niżej do Amazonki przy miasteczku Parintíns.

Terytorium to, ciągnące się na przestrzeni 30 st. geograficznych ze wschodu na zachód i tyluż z północy na południe, nie jest pokryte bez przerwy zwartym lasem. Przeciwnie, odkryto tu niedawno znaczne stepy czy może raczej łąki, z których większość znajduje się na północ od koryta Amazonki. Największe z nich to Campos Geraes na granicy z Guyaną angielską i holenderską i Campos do Rio Branco w górnym biegu Rio Branco, dopływu Rio Negro.

Jak już wspomniałem, brzegi rzeki są mało zaludnione. Przepływamy nieraz po 10 i więcej kilometrów nie spotykając żadnych śladów osiedli ludzkich, miejscami zaś ciągną się one w niewielkich odstępach jedne za drugimi. Zwykle otacza je gąszcz bananów, trzciny cukrowej i manioku, dalej widać szeregi drzew kakaowych, a od czasu do czasu przy samej szkarpie rząd drzew chlebowych. Łatwo je rozpoznać po ogromnych liściach wyciętych i szerokich, cokolwiek przypominających liście filodendronu. Jaśniejszą zielenią odcinają się ich owoce wielkości głowy ludzkiej, niekiedy nawet większe.

Na rzece nie ma prawie żadnego ruchu. Przez dwa dni prócz spotkanego holownika widzieliśmy z daleka dymy dwóch parowców, spotkaliśmy jedną większą łódź opatrzoną *pamacari* — budą z liści palmowych, ze sternikiem i czterema wioślarzami na dziobie, wreszcie kilka montarii, którymi przeprawiali się Indianie z jednego brzegu na drugi.

Mijamy kilka miasteczek. Oddalone są jedne od drugich o sto, niekiedy o dwieście km. Nazywa się je miastami ze względu na funkcje administracyjne, które spełniają. U nas uchodziłyby za wioski. Jedynie Obidos i Santarém posiadają charakter miast. Pierwsze ma 3.000 mieszkańców. Jest to punkt strate-

giczny. Istnieje tu forteca pamiętająca dawne portugalskie czasy, oczywiście dziś już nie przedstawiająca żadnej wartości i kilka fortów bardziej nowożytnych, zaopatrzonych w działa morskie. Musimy pamiętać, że jest to najwęższe miejsce Amazonki — *Garganta* — jak tu mówią, dosłownie — gardziel. Zaledwie 1800 m — szerokości! Szczęściem głębokość wody wynosi tu 80 m. Ratuje to sytuację [1]).

Santarém jest większe; ma 5 tys. mieszkańców, ale nie posiada urządzeń portowych, jest o wiele bardziej zaniedbane, może się za to poszczycić pięknym kościołem barokowym i kilku prywatnymi rezydencjami. Leży przy ujściu jednego z potężnych dopływów Amazonki—Tapajós. Jedyny to dopływ południowy toczący swe wody po dnie miejscami kamienistym, miejscami zaś żwirowatym. To też posiada przezroczystą wodę.

Tapajós przy ujściu ma niespełna 1.300 m szerokości, ale o kilometr w górę rozszerza się do 13 km i jest w tym miejscu zupełnie pozbawiona wysp. Od strony Amazonki daje to efekt wspaniały. Rzeka wprost gubi się na horyzoncie. Brzegi jej są mocno zarysowane. Dalej płynie w obramowaniu wzgórz.

Jest to jedyna rzeka tej strefy nie mająca zupełnie charakteru nizinnego. W połowie biegu przecięta jest znacznymi kataraktami, co uniemożliwia dalszą żeglugę. Temu należy przypisać, że ani poszukiwacze kauczuku, ani poszukiwacze przygód nie docierali do jej źródeł. To też owiana jest dotychczas legendą o niebezpiecznych borach rozciągających się u jej źródłowisk i ludożerczych plemionach Indian, które je zaludniają. Tu właśnie zginął pułkownik Fawcet ze swymi towarzyszami, co wywołało wówczas duży hałas w prasie i spowodowało dwie ekspedycje ratunkowe, które jednak cofnęły się wobec trudności pieszej podróży i zupełnego nieprawdopodobieństwa odnalezienia jakichkolwiek śladów w gęstym lesie.

[1]) Koło Obidos rzeka daje przy najniższym poziomie 63.000 metrów sześciennych na sekundę; przy wysokim 146.000 m, to znaczy przeszło 12 miliardów metrów sześciennych dziennie.



Polowanie na krokodyle w Rio Negro w okolicy Manaos

MADEIRA

Po południu mijamy Madeirę czyli Cayarý, jak ją nazywają Indianie. Jest to jeden z tych nielicznych dopływów Amazonki, który utworzył wyraźną deltę. Stanowią ją dwie wyspy Madeira i Tartaruginha. Nic jednak nie zdradza, że jesteśmy w obliczu największego dopływu Amazonki, najszersza bowiem jego odnoga nie wynosi więcej niż tysiąc metrów. Woda mętna, nurt wypełniony masą płynących drzew. Ta właśnie okoliczność wpłynęła na nazwę rzeki. Madeira bowiem po portugalsku znaczy tyle co drzewo (po ścięciu lub zwaleniu). Długość jej obliczają na 3.500 km [1]). Głębokość aż do Santo Antonio, na 1.500 kilometrów w górę, gdzie zaczynają się pierwsze katarakty, wynosi niemniej niż 10 m. Dochodziły tu niejednokrotnie parowce transatlantyckie o 7.000 tonach pojemności. Działo się to podczas budowy słynnej linii kolejowej Madeira—Mamoré, której celem było ominięcie tych katarakt.

Jesteśmy przy lunchu. Anglicy zaczynają wspominać te czasy. Kapitan dwa razy jeździł w górę rzeki. Woził szyny i wiązania mostów. Opowiada szeroko o całej sprawie. Jest nastrojony sceptycznie. Gani wykonanie. Badania początkowe zostały przeprowadzone przez Niemców, braci Keller-Leuzinger; były one błędne. Trasa według nich miała wynosić 282 km, podczas gdy najkrótsza odległość między dolnym i górnym wolnym zwierciadłem wody okazała się długości 329 km, zaś linia kolejowa, uwzględniająca objazdy dla uniknięcia zbyt wielkiej rozpiętości mostów, ma 364 km długości.

Błędy te pociągnęły za sobą wadliwe obliczenia, musiano je kilkakrotnie sprawdzać i poprawiać. Towarzystwo Maidera

[1]) Wydajność średnia 40.000 m na sekundę. Basen obejmuje 1.400.000 km kwadratowych.

and Mamoré Railway Co, które otrzymało koncesję na budowę tej drogi, powierzyło jej wykonanie przedsiębiorstwu z Filadelfii — Philips and Thomas Collins za sumę 5 milionów dolarów. Prace rozpoczęto w 1878 roku, ale trwały one niespełna rok, gdyż okazało się, że za powyższą cenę nie da się linii kolejowej wybudować.

Natrafiano na rozmaite nieoczekiwane trudności. Wreszcie stanęła na przeszkodzie niesłychana śmiertelność wśród zatrudnionego personelu. Padały tysiące ludzi. W końcu przedsiębiorcy uciekli, porzucając 12 kilometrów ułożonej już drogi i znaczne zapasy materiału kolejowego, wartości około dwóch i pół miliona dolarów. Po paru latach, gdy termin koncesyjny upłynął, przystąpiono do nowych badań i wyznaczono nową trasę, ale nie udało się znaleźć ani koncesjonariuszy ani przedsiębiorcy do przedsięwzięcia mającego już tak smutną historię. Dopiero gdy Brazylia na mocy traktatu w 1903 roku zobowiązała się wobec Boliwii do przeprowadzenia tej linii, w zamian za cesję olbrzymiego terytorium obejmującego górny bieg rzek Purus i Juruá, wzięto się energicznie do poszukiwań. Wreszcie podjął się tej pracy słynny już w Brazylii Parcival Farquar, (ten sam, który w Polsce chciał przeprowadzać elektryfikację). Założono towarzystwo — Madeira Mamoré Railway Co. z kapitałem jedenastu milionów dolarów i przystąpiono znów do robót w roku 1907. Głównym kierownikiem przedsięwzięcia został Amerykanin M. R. H. May. Jego dzielności i silnej woli zawdzięcza Brazylia wykonanie tej kolei. Musiano założyć miasto w Porto Velho, osuszyć okolice katarakt, wytępić tam komary i wybudować ogromny szpital, którego działalność i użyteczność mogą zobrazować następujące liczby. Przez cztery pierwsze lata od 1908 do 1911 leczyło się w tym szpitalu 30 tysięcy chorych spośród zatrudnionych przy budowie robotników; zużyto w tym czasie osiem tysięcy kilo chininy.

Wysokości kosztów budowy nie udało mi się ustalić. Przekroczyły one kilkakrotnie uprzednie preliminarze. Już w roku 1911, całkowita suma wydatków wynosiła 22 miliony dolarów, a linii gotowej do użytku było dopiero 175 kilometrów. Prace zakończono w 1913 roku.

Słyszałem zdanie, że każdy podkład kosztował tu życie człowieka. Jest to oczywiście przesada. Kapitan naszego statku twierdził jednak, że zginęło podczas pracy około dziesięciu tysięcy ludzi, i to przeważnie w pierwszym stadium budowy. M. R. H. May wprowadził na terenie robót bezwzględną dyscyplinę, obowiązkowe zabiegi profilaktyczne, dobre odżywianie, stałą bezpłatną opiekę lekarską, obowiązkowe używanie moskiterów podczas snu, a przede wszystkim zakaz sprzedaży i używania trunków. Toteż pod koniec robót ilość chorób znacznie się zmniejszyła i kraj, który uchodził za istną mordownię ludzką, niczym się nie różni obecnie od innych ziem Amazonki.

Ale kolej, która kosztowała tyle pieniędzy i ludzkiego życia, nie ziściła pokładanych w niej nadziei; ukończenie jej zbiegło się z krachem kauczuku amazońskiego. Ceny z 15 milrejsów za kilo spadły do pięciu [1]) i eksploatacja lasów kauczukowych położonych w górnym dorzeczu Madeiry, co zmuszało do transportu koleją i dwukrotnego przeładunku, przestała się opłacać. Stoi więc dzisiaj bezużytecznie jako jeszcze jeden dowód ludzkiej zachłanności, ale i jednocześnie jako przykład, czego mogą dokonać geniusz, wysiłek i wola człowieka.

Najciekawsze, że katarakty, które naraziły Brazylię na tak olbrzymie straty, zrujnowały szereg przedsiębiorstw i spowodowały śmierć tysięcy ludzi, okazały się możliwe do przebycia. Indianie od dawna przepływali je łodziami, a obecnie niektóre domy handlowe boliwijskie zaczęły spławiać swój kauczuk bezpośrednio, i to z niewielkim stosunkowo ryzykiem. Warunki traktatu z Boliwią zostały jednak przez Brazylię wykonane, dzięki czemu zyskała ona terytorium o powierzchni 150 tysięcy kilometrów kwadratowych.

Anglik z Manaos twierdził, że licząc koszty kolei, nadzoru, długoletniego sporu z Boliwią, rozmaitych umów i arbitraży, cena jednego hektara zdobytego w ten sposób terenu wynosi przeszło 5 dolarów a całości 75 milionów dolarów. Marynarze uważali

[1]) Dokładnie w 1910 r. płacono od 5.180 do 14.970 milrejsów za kilo, w 1913 od 2.190 do 4.690.

tego rodzaju transakcję za niedorzeczną i bezsensowną, ale Anglik był innego zdania. Kapitał jest pewnego rodzaju fikcją, ziemia — wartością realną. Nie przybywa jej, ale ubywa. Kraje, które zapominały o tym, są dziś w położeniu prawie bez wyjścia, a ich mieszkańcy są zmuszeni do nadludzkich wprost wysiłków, aby móc się utrzymać na ograniczonym małym terytorium.

Któryś z Anglików zauważył, że w całej tej sprawie, nie wyłączając traktatu Boliwii z Brazylią, daje się wyczuć wpływ kogoś trzeciego i że dla kilku a nawet kilkunastu tysięcy ton kauczuku nikt by nie budował kolei. Zaczęto się spierać. Obiło mi się o uszy — „Standart Oil". Ale zadzwoniono na obiad i całe towarzystwo rozeszło się do swych kabin, myć ręce i porządkować ubranie. Po obiedzie jedni poszli pakować rzeczy, inni się rozproszyli po statku i nie dowiedziałem się, czyje „ręce były czynne w tej sprawie", a właściwie, czego szukały tam dla siebie.

Że Standart Oil wysłał nad Ucayali ekspedycję badającą tereny, o tym już słyszałem, ale jakie może mieć interesy w dorzeczu Beni czy Mamoré, miałem się dowiedzieć znacznie później.

Jeden z inżynierów-mechaników, który nic nie miał w tej chwili do roboty, ponieważ formalności portowe w Manaos go nie obchodziły, przysiadł się do mnie znowu.

— Mówiąc o Amerykanach zapomnieliśmy o Roosevelcie. Nie wiem, co zarzucają Standart Oil, ale uderza mnie fakt, że i Roosevelt[1])przybył nie wiadomo po co na Madeirę. Wprawdzie wypłynął na nią poniżej katarakt, ale czyż nie jest to podejrzane?

Że oni się tu kręcą, to nie ulega wątpliwości. Najpierw zasada Monroe, potem wywiad gospodarczy, a wreszcie wtrącanie się do polityki.

W rzeczywistości rzecz się miała następująco. Stany Zjednoczone zawiadomiły rząd brazylijski, że Teodor Roosevelt po skończonej kadencji prezydialnej chętnie zwiedziłby Brazylię. Ponieważ znane były jego wycieczki myśliwskie w Afryce, sfery rządzące Brazylii podsunęły myśl zorganizowania specjalnej wy-

[1]) Mowa o Teodorze Roosevelcie prezydencie Stanów Zjednoczonych a stryju obecnego prezydenta.

prawy naukowej w głąb Matto Grosso. Wysłano zaproszenie do Waszyngtonu, Roosevelt przyjął je bardzo chętnie i przyjechał z kilku przyrodnikami do Brazylii. Podczas zwiedzania kraju towarzyszył prezydentowi znany badacz puszcz brazylijskich pułkownik Rondon, który właśnie, przeprowadzając linię telegraficzną w poprzek terytorium brazylijskiego do Santo Antonio i porto Velho, natrafił na jakąś rzekę. Rzeka nie figurowała jeszcze na mapach. Ochrzcił ją mianem Rio das duvidas — rzeka wątpliwości — ponieważ nie znano jej biegu i nie umiano na razie ustalić, dokąd płynie.

Ekspedycja o tyle się powiodła, że zbadano nieznany jeszcze i bardzo ciekawy dopływ Madeiry. Spotkano tam Indian, którzy nigdy jeszcze nie stykali się z białymi. Tworzyli dość liczne skupienia, trudnili się oprócz myślistwa i rybołówstwa rolnictwem, stojącym tu względnie wysoko. Wprowadzili uprawę nieznanych nam jeszcze dzikich roślin i potrafili wyhodować szereg odmian kukurydzy i fasoli niespotykanych gdzie indziej. Ekspedycja przywiozła mnóstwo okazów tych roślin i sam miałem sposobność oglądać je w Rio de Janeiro. Między innymi były tam potężne kaczany kukurydzy, czerwonej, czarnej, brązowej i prawie białej, dalej gatunek fasoli o ogromnych, spłaszczonych, białych ziarnach wielkości śliwki, i inny posiadający drobne i niesłychanie twarde ziarna, mało co większe od ziarnka pszenicy. Prócz tego szereg nieznanych warzyw i owoców. Indianie tamtejsi nie znali zupełnie żelaza, używali jeszcze siekier kamiennych i władali nimi po mistrzowsku.

Przyjmowano ekspedycję rozmaicie. W niektórych osiedlach o mało nie doszło do zbrojnego starcia. W innych witano przybyszów gościnnie i urządzano na ich cześć zabawy. Podczas jednej z takich uroczystości Amerykanie z podziwem ujrzeli uprawianą dość często w Stanach grę h e a d b a l l polegającą na podbijaniu piłki głową; nazywała się ona po indyjsku *zicunaty*. Brały w niej udział dwie drużyny. Gra miała wyraźnie ustalone prawidła. Ekspedycja przywiozła stamtąd do Rio de Janeiro dwóch Indian, którzy zadziwiali ludność miejscową swoją zręcznością. Między innymi polecono im

ściąć drzewo około 60 centymetrów średnicy. Zrobili to we dwóch w trzy kwadranse posługując się swymi kamiennymi siekierami. Cięcie było wykonane tak precyzyjnie, że gdyby nie ślady zgniecenia słojów od uderzeń tępego narzędzia, można by sądzić, że ścięto drzewo piłą. Obaj Indianie strzelali z łuków nadzwyczajnie. Z odległości pięćdziesięciu metrów trafiali do celu wielkości głowy ludzkiej.

Zabrano ich do koszar i próbowano z nich zrobić żołnierzy. Musztry uczyli się z łatwością, ale dyscyplina żołnierska zupełnie nie odpowiadała ich charakterowi. Bardzo prędko nauczyli się używać łyżek, noży i widelców, przyzwyczaili się do ubrania europejskiego, jedno tylko sprawiało im niesłychaną trudność, a mianowicie noszenie obuwia. Najchętniej chodzili boso. Nie mogli nigdy pojąć, dlaczego w szeregu mają koniecznie stawać w obuwiu, gdy w niczym to nie zwiększało ich sprawności, a przeciwnie krępowało swobodę ruchów. Ponieważ widocznie tęsknili do swoich wiosek, odesłano ich wreszcie na Madeirę, do ujścia rzeki, którą tymczasem nazwano rzeką Roosevelta.

Ekspedycja skończyła się jednak smutnie. Roosevelt skaleczył się poważnie w nogę; przyplątały się jeszcze jakieś komplikacje i ciężko chorego odwieziono go do Stanów Zjednoczonych. Dzielny ten człowiek, wielki przyjaciel Polaków, przypłacił swe ambicje życiem.

Wieczorem mijamy na urwistym lewym brzegu zakład dla trędowatych. Jest jeszcze nieczynny z powodu niewykończenia pewnych szczegółów; ma on pomieścić w przyszłości wszystkich chorych na trąd w tych okolicach. Zdarzenie to wywołuje gorącą dysputę pomiędzy lekarzem, paru oficerami parowca i jadącym z nami przemysłowcem Anglikiem. Lekarz i oficerowie są nastawieni krytycznie i wrogo do wszystkiego, co tu spotykają. Uważają się za upośledzonych, narzekają, że muszą uprawiać swój zawód na tak mało interesującej linii. Woleliby Indie, Australię, południe Afryki, a w ostateczności Rio de Janeiro, czy Buenos Aires niż te milczące lasy bez końca, te brzegi to ukazujące się, to niknące na długi przeciąg czasu, te jakby zakonspirowane, wtłoczone w gąszcz nieprzebytej puszczy

osiedla zamieszkałe przez na pół dziką ludność, która żyje jakimś swoim niezrozumiałym dla nich życiem, myśli jakimiś swoistymi kategoriami, patrzy na przesuwające się przed nią od czasu do czasu przejawy cywilizacji bez podziwu i zainteresowania, jak na coś z innego, niedostępnego jej wymiaru.

Obcy, niezrozumiali ludzie. Obca, budząca lęk i nieufność natura; wroga, zachłanna, nieustępliwa, a potężna. Owe dwa jedyne tu miasta — Belém i Manaos, które można dokładnie poznać w przeciągu trzech godzin i których życie upływa na jednym placu, lub jednej ulicy. Kraj, gdzie nie ma wspomnień przeszłości, gdzie teraźniejszość ginie w szarzyźnie pospolitego bytowania i gdzie w przyszłość nikt nie wierzy.

Cóż dziwnego, że te dwa światy spotykają się ze sobą nie patrząc i nie widząc się wzajemnie.

I cóż dziwnego, że nie umieją, czy nie chcą nawiązać kontaktu. Zresztą jaki miałby być ten kontakt? Intelektualny? Ależ z małymi wyjątkami są to ludzie na zupełnie różnym poziomie duchowym, są obcy sobie kulturą, tradycją, charakterem. Pozostaje interes, wymiana usług, jeśli można nazwać wymianą transakcję, w której ktoś jeden zawsze korzysta, a drugi traci. Toteż panuje między nimi wzajemna niechęć — a nawet nienawiść.

W oddali rozbłysły światła. Mieni się nawet czerwonym blaskiem latarnia morska. Na niebie łuna. Zbliżamy się. Szeregi latarni ulicznych; oświetlone szeregi gmachów. Dużymi wieżycami strzela w górę jakiś kościół. Wyrasta, odbijając się na jasnym niebie, ciemny grzyb dachu olbrzymiego teatru miejskiego. Niżej urządzenia portowe, dźwigi, pontony; przy dokach kilka parowców; trzy okręty transatlantyckie stoją na kotwicy na redzie. To tu, to tam rozsiane widnieją rozmaitego typu parowce rzeczne. Kilkanaście zakotwiczonych szkut stoi w oczekiwaniu towaru i wyładunku.

Gwizdek wachtowego oficera. Urywany łoskot łańcucha kotwicznego.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów i zatrzymujemy się.

Jest już za późno na „wizyty" władz portowych. Musimy czekać dnia.

WOJSKO POLSKIE
1 Warszawski Pułk Zmotoryzowany
Pontonowo - Mostowy
Nr. .....
"..... 194.. r.

Rankiem otoczeni jesteśmy szeregiem łodzi i motorówek. Są w nich krewni, przyjaciele, klienci pasażerów i załogi, wreszcie rozmaici ciekawscy, którzy przybyli, ażeby popatrzeć na „ludzi"...

O ósmej przybywa lekarz. Policja, a nawet władze celne ustępują mu pierwszeństwa. Jest to jedyny zdaje się uznany przez administrację dowód zaufania do potęgi nauki. Oczywiście nie przez szacunek, ani zrozumienie dystansu. A nuż dżuma, cholera, żółta febra. Pan doktór pierwszy. Proszę łaskawie. My za panem. *After you.*

Dość, że w portach morskich doktór zawsze pierwszy wchodzi na pokład parowca. A Manaos jest przecież portem morskim. Nic to, że tysiąc mil dzieli go od słonej wody. Tym bardziej jest o swoje prerogatywy zazdrosny. Wszystko odbywa się według protokółu. Znajduje się nawet tradycyjny cocktail dla wizytujących.

Wreszcie znów gwizdek wydobywa leżącą o czterdzieści metrów pod nami kotwicę. Ruszamy do brzegu.

Tym razem nie jest to budowa granitowa, ale pływający na olbrzymich żelaznych cylindrach pomost. Trzy linowe kolejki powietrzne łączą go z brzegiem rzeki, gdzie znajdują się składy komory celnej. Odległość od brzegu przenosi 150 metrów, zabezpiecza to pomost nawet przy najniższym stanie wody od osiadania na mieliźnie. Zresztą głębokość przy pomoście nawet wówczas osiąga jednak jeszcze 15 metrów.

Długość pomostu 200 metrów, szerokość około 30. Obok znajduje się drugi pomost podobny, przeznaczony dla kabotażu brazylijskiego i parowców rzecznych; z lądem łączy go ruchoma pochylnia, zaopatrzona w dwa szeregi szyn i wagony wciągane do góry za pomocą kabla. My zatrzymujemy się przy pierwszym pomoście.

Urządzenie portowe wiąże się z imieniem Polski. Bawił tu niegdyś inżynier Bronisław Rymkiewicz, znany organizator i budowniczy kilku kolei na południu Brazylii, głównie w São Paulo. Jego to inicjatywie i pomysłowości zawdzięcza Manaos pływające doki. Wspomnienia o nim żyją tu jeszcze. Zatrudniał on w swoim czasie paru Polaków w charakterze majstrów. Jednemu z nich wysyłałem swego „Polaka w Brazylii". Było to w 1905 roku

Miasto rozpoczyna się tuż za przystanią. Na lewo składy portowe, na prawo gmach komory celnej. Wprost na szkarpie — spory plac licho zadrzewiony, na który prowadzą szerokie schody. W głębi gmach katedry, którą zauważyliśmy jeszcze w nocy; jest ona pozbawiona wszelkiego stylu. Ogromna, niezgrabna masa, bielona wapnem, o dwóch niekształtnych wieżach. Zresztą nie ma tu ani jednego domu, który by mógł zadowolić najskromniejsze nawet wymagania estetyczne. Olbrzymich rozmiarów teatr był do niedawna dumą mieszkańców. Utopiono w nim miliony. Wielkością widowni dorównywa operze paryskiej, wewnątrz ma kosztowne freski i jeszcze kosztowniejsze złocenia, ale był czynny jedynie przy swojej inauguracji. Odtąd stoi już kilkanaście lat bez użytku.

Miasto rozciąga się na wzgórzu, niektóre ulice zbiegają dość stromo ze zboczy; przeważnie są wąskie i kręte. Roślinności mało. Hotele nie odznaczają się ani komfortem ani czystością; przypominają zajezdne domy na prowincji. Restauracje wyglądają jeszcze gorzej. W centrum są liczne kawiarnie, ale niestety nie ma tu tego kultu kawy co w środkowych stanach Brazylii. Przy zbiegu dwóch głównych ulic obok placu katedralnego kilka cukierni z biszkoptami i lodami, którymi zajadają się miejscowe piękności.

Wytępiono tu z zastanawiającą pochopnością wszystko, co przypominało puszczę i autochtonów. Piękne Indianki i wspaniale zbudowanych wojowników ubrano w łachmany gwoli przyzwoitości i w imię kultury. Lasy wyrąbano.

Zniszczywszy piękno przyrody, nie wprowadzono ani kultury, ani cywilizacji. Nie stanowią ich bowiem setki brzyd-

kich domków wybudowanych niepraktycznie i niehigienicznie, ani kocie łby na kilku ulicach, ani asfalt na placu. Nie pomyślano o ogrodzie publicznym, gdzie by można było hodować okazy miejscowej roślinności, ani poważnie o muzeum osobliwości krajowych; gorzej nawet, bo założono je, ale bez planu, bez myśli, bez dozoru. Są tam nikłe jakieś ślady dawnych usiłowań, z których pozostały resztki murszejące i niszczone przez mole.

Sytuacji nie ratuje ani stocznia, która nie przynosi zaszczytu swoim angielskim właścicielom, ani potężny browar produkujący, jak twierdzą, najlepsze w tych okolicach piwo, co jest tym łatwiejsze, że nie ma innego browaru nad Amazonką. Życie gospodarcze skupia się koło handlu kauczukiem, który, mimo że został zepchnięty ze swego stanowiska dominującego w świecie przez kauczuk pochodzący z plantacji na wschodzie, posiada widać jakieś ukryte zalety, znane fabrykom wyrobów kauczukowych; płacą one za kauczuk tutejszy drożej, niż za wschodni, chociaż i wyglądem i przygotowaniem znacznie ustępuje tamtemu. Używają go jednak do jakichś specjalnych celów.

O amazońskim kauczuku słyszałem już na parowcu angielskim. Oficerowie mechanicy, którzy na kraj tutejszy i urządzenia miejscowe patrzyli z nieukrywanym lekceważeniem, przyznawali mu zupełnie wyjątkowe zalety. Twierdzili, że chociaż hodowla *Hevea* amazońskiej na wschodzie nie była trudna, a plantacje są o wiele łatwiejsze do eksploatacji, niż dzikie drzewa w lesie, jednak pewne warunki przyrodzone były nie do zastąpienia i że, pomimo swego pięknego wyglądu i przeprowadzonej standaryzacji, kauczuk wschodni nie może całkowicie zastąpić kauczuku amazońskiego. Dlatego też pomysł Forda założenia plantacji w dorzeczu Amazonki uważali za bardzo celowy. Widzimy więc, że nawet w dziedzinie hodowli kauczuku po niesłychanej klęsce, jaka go tu spotkała, z chwilą rozwinięcia się plantacji wschodnich, jest jeszcze coś do zrobienia.

Drugą taką dziedziną są rośliny oleiste. Prawie wszystkie palmy dają tu olej, niektóre w gatunku przewyższającym o wiele wszelkie gatunki afrykańskie. Olej *babassu* dostał się do Ameryki



Drzewa dające tak zwane u nas orzechy amerykańskie

Północnej i jest tam ogromnie ceniony, jako delikatniejszy niż olej z oliwek południowo-europejskich, który jełczeje bardzo prędko. W agencji Amazon River Co., której parowcem miałem płynąć w górę rzeki, prowadziłem na ten temat rozmowę z pewnym Amerykaninem, udającym się do Iquitos z propagandą maszyny zbudowanej specjalnie do wydobywania miąższu z nadzwyczaj twardych orzechów babassu. Zobowiązywał się dostarczyć maszynę taką każdemu przedsiębiorcy bezpłatnie pod warunkiem, że będzie w zamian otrzymywał połowę wydobytego produktu. Twierdził, że cena tego oleju w Stanach jest wyższa niż wszystkich innych.

Byłem zmuszony czekać dziesięć dni na „Victorię", którą mieliśmy płynąć do Iquitos. Ponieważ zatrzymałem się w tym samym hotelu co Amerykanin, była więc sposobność powracania niejednokrotnie do tego przedmiotu. Przy okazji zwróciłem jego uwagę na znane nam już orzechy, owe *castaña do Brazil*, produkt *Bertholetia excelsa*. Znał je dobrze. Twierdził, że cena ich ze względu na znaczne zapotrzebowanie w handlu spożywczym jest zbyt wysoka, aby opłaciło się wydobywać z nich olej. — A zna pan orzech *sapucaia?* zagadnął mnie kiedyś.

Niestety o takim nawet nie słyszałem. Ponieważ wychodziliśmy razem na przechadzkę, zaszedł do pierwszej lepszej *wendy* i zażądał *sapucai*.

Wręczono nam duże orzechy, mniej więcej wielkości amerykańskich, tylko bardziej zaokrąglone, ze skórką pomarszczoną, ale tak miękką, że bez najmniejszej trudności można ją było usunąć. We środku jądro było prawie gładkie, a smak miało laskowego orzecha.

— Niech je pan przypraży, lepsze jest i delikatniejsze od naszych.

Istna rewelacja, ale musiałem się przygotować na wiele jeszcze innych.

— Panie, to kraj, którego nie znają i nie doceniają nawet autochtoni, nie mówiąc już o tym, że ta nawet powierzchowna

znajomość nie sięga dalej niż kilometr w głąb kraju. Ziemie te trzeba dopiero odkryć. Kryją one niejedną możliwość i niejedną niespodziankę.

Chciałem tu znaleźć drzewo *sapucai*, ale daremnie. W okolicach miasta było ich podobno mnóstwo, ale wyrąbano je na opał. Z podobnym barbarzyństwem spotkać się tu można na każdym kroku.

Przyznaję, że ustosunkowywałem się dość filozoficznie, a nawet pobłażliwie do tego rodzaju faktów. Trudno. Nie myśmy stworzyli przysłowie: był las bez nas, będzie i po nas. W każdym razie lepiej jest nie przejmować się cudzymi błędami. Chyba, że podadzą człowiekowi na śniadanie wędzone śledzie angielskie z puszki, przyprażone na ruszcie; wtedy może człowieka porwać pasja. Jakto. Wspaniałe rzeki naokoło, pełno rzeczek i jezior w pobliżu, zdawało by się, że dość sięgnąć ręką, by mieć wszystko, co człowiekowi potrzebne do życia, a tu mieszkańcy opychają się wątpliwego smaku konserwami. Ludzie znajdą zawsze jakieś uzasadnienia dla swojej niezaradności lub lenistwa; musieliśmy się ich wielu nasłuchać. Skłoniło to nas do obejrzenia hali targowej.

Wybudowana bez zarzutu, robi wrażenie raczej bazaru, niż targowiska, zaopatrującego miasto w produkty pierwszej potrzeby. Olbrzymie stoiska rozmaitego *bric a brac'u*. Szkło, ceramika, kosze, plecionki, szczotki, miotły, wreszcie manufaktura i tylko mała część przeznaczona na sprzedaż produktów spożywczych.

Oddzielny budynek na jatki mięsne, oddzielny na ryby, mały i prawie pusty.

Istnieje tu przepis, że wszystkie ryby niesprzedane do godziny jedenastej należy wrzucać do rzeki. Chwalebna ta troska o zdrowie mieszkańców łączy się z całkowitym niezrozumieniem interesów, tak spożywców jak i dostawców. Wywołuje to zupełnie logiczne następstwa. Kupujący wstrzymują się od kupna w nadziei nabycia produktu w ostatniej chwili za bezcen. Rybacy zaś, czy kupcy starają się mieć jak najmniej towaru,

aby go potem nie wyrzucać lub nie oddawać za pół darmo. Sprzedaje się więc ryby w małych ilościach i drogo. Dlatego też sklepy z konserwami cieszą się tu wielkim powodzeniem. Śledzie, sardynki, łosoś gotowany w puszkach, wreszcie suszony stokfisz, który uchodzi za specjalny przysmak, są kupowane masami. Musieliśmy stoczyć prawdziwą wojnę z naszym gospodarzem, zanim nam podał jakąś rybę miejscową. W końcu zdecydował się. Była to *corbina*, przypominająca *colin* francuskie. Przyrządzają ją tu doskonale. Pomimo pochwał, których nie szczędziliśmy kucharzowi, skończyło się na tym jednym posiłku. Uprzejmość naszego gospodarza dalej nie poszła. Za to zaprodukował nam suszoną *pirarucú*. Pachniała z daleka zjełczałym tłuszczem, że aż robiło się słabo. Gospodarz twierdził, że jest ona lepsza „nawet" od stokfisza, co przyznaliśmy mu chętnie pod warunkiem, że ją ze stołu zabierze.

O ile w Belém można było spotkać wieczorami sporo osób z towarzystwa, zwłaszcza kobiet na miejscowym corso lub przy stolikach kawiarnianych na szerokiej esplanadzie przed hotelami, o tyle tutaj przeważnie pozostawiano je w domu. Kobiety z rzadka ukazywały się w dzień, chyba tylko wtedy, gdy robiły zakupy, lub odwiedzały cukiernie „*na hora do café*" [1]).

Jedyną rozrywką towarzyską, poza kinematografami, było wsiadanie wieczorami do pociągu tramwajowego złożonego z kilku wagonów, który następnie puszczano linią — nazwijmy ją okólną — prowadzącą na peryferie miasta, gdzie szukano świeżego powietrza. Było to niestety złudzeniem, ponieważ przedmieście pozbawione jest całkowicie kanalizacji i tę złudną „świeżość" zastępowały najczęściej zupełnie realne, przykre i niezdrowe zapachy. Spacery te są niejako tradycją. Już o szóstej pierwszy pociąg stoi zawsze za katedrą gotowy do odjazdu; o wolne miejsce bynajmniej nie jest łatwo.

Manaos nie leży nad samą Amazonką, jak to częstokroć przedstawiane jest na mapach, ale nad Rio Negro, o dziesięć kilometrów od jej ujścia.

---

[1]) dosłownie — godzina kawy.

Rzeka ta o czarnej wodzie, która wyraźnie odcina się od tła brzegów, robi wrażenie bardziej imponujące niż Amazonka.

Robię niewielką wycieczkę motorówką w górę rzeki. Już kilka kilometrów za miastem rzeka rozszerza się tak dalece, że brzegi prawie nikną; dalej ukazują się wyspy. Przypominam sobie, iż chodzą wieści, że Rio Negro posiada wspólny dopływ z Orinoko. Jest to o tyle prawdą, że łodziami można się dostać z jednego dorzecza do drugiego, o komunikacji na serio nie można na razie mówić, ponieważ na Rio Negro za S. Izabel, to znaczy mniej więcej w połowie jej biegu, zaczynają się katarakty. Połączenie dwóch tych basenów tworzą rzeki Guainia i Casiquiare. Jaka może być użyteczność gospodarcza tego połączenia, zbyt wcześnie byłoby dziś wnioskować.

Największym dopływem Rio Negro jest rzeka Rio Branco, nazwana tak, ponieważ kolor jej wody w czasie przyboru przypomina mydliny. W górnym jej biegu ciągną się na dużej przestrzeni pastwiska. Jest tu kilka przedsiębiorstw hodowlanych prowadzonych na większą skalę. Tereny nad Rio Negro i Rio Branco są mało zamieszkałe z powodu ciągłych napadów Indian Crichanas, którzy do niedawna utrzymywali w wiecznym strachu całe to terytorium. Indianie obecnie są już prawie nieszkodliwi, niedobitki ich uszły w głąb lasów, ale wspomnienia ich okrucieństw do dzisiaj zniechęcają ludność miejscową do osiedlania się w tych okolicach.

Nadchodzi wreszcie „Victoria". Ma blisko tysiąc ton pojemności, dwa kominy, trzy pokłady, czterdziestu pasażerów pierwszej klasy, 300 ton drobnicy i tysiąc dwieście skrzynek „energiny", co jest dowodem umiejętnego przystosowania się do wymagań tutejszego życia. Nawiasem mówiąc „energina" niczym nie różni się od „gazoliny", ale od roku przeszło wyszedł zakaz wożenia tej ostatniej na parowcach pasażerskich; czym prędzej więc przechrzczono w Texasie gazolinę na „energinę" i przewozi się ją dalej z doskonałym skutkiem. Podczas gdy jedni gmatwają i obrzydzają współobywatelom życie ustanawianiem nieżyciowych przepisów, rozporządzeń i praw, inni

upraszczają je sobie w sposób najbardziej praktyczny. Zakaz, o którym wspomniałem, został wydany po spaleniu się parowca z powodu wybuchu gazoliny, kiedy to przeszło dwieście osób postradało życie w ogniu, lub zostało porwanych przez krokodyle, gdy usiłowały ratować się wpław. Ale *business is business*. Prawo nie zostało przekroczone, paragraf odpowiedni ani słowem nie wspomina przecież o „energinie", i władze z zimną krwią przyglądają się tej przemianie. Co najgorsze, większa część tego ładunku złożona jest na dolnym pokładzie, gdzie są stłoczeni pasażerowie drugiej klasy (równoznacznej z trzecią w Brazylii) i gdzie w cieniu skrzynek z energiną załoga spożywa swoje posiłki, a następnie oddaje się zasłużonemu odpoczynkowi. Przy tym i jedni i drudzy nie wyłączając kobiet nie wypuszczają z ust papierosów i fajek.

Trudno. Dla jednego pasażera ładunku nie wyrzucą, ani nie zmienią przepisów. Reszta filozoficznie godzi się z tym stanem rzeczy uważając, że sama podróż jest już dostatecznym ryzykiem, żeby się tam o jakiś ładunek martwić.

Pokład pasażerski pierwszej klasy ma na przedzie obszerną werandę, z której prowadzą dwa szerokie przejścia po obu stronach burty osłonięte dachem jak i weranda. Przejścia te prowadzą do kajut. Środek werandy zajmuje dwoje oszklonych drzwi, prowadzących do szerokiego prawie na sześć metrów hallu. Hall jest ciemnawy, zaopatrzony w lampy i wentylatory elektryczne; są w nim również drzwi do tych samych kajut. Stoi tu pianino, victrola, są stoliki do gry, biureczko do korespondencji. Taki rozkład pomieszczeń powoduje dość silny przeciąg podczas ruchu parowca i chroni pasażerów od gorąca, chociaż i weranda dzięki swemi położeniu daje dostateczny przewiew. Tu też przebywa większość pasażerów. Tak hall, jak i boczne przejścia prowadzą na obszerny pokład, otwarty z boków, gdzie mieści się sala jadalna, w głębi bar, dalej idą łazienki, prysznice i pomieszczenia służbowe.

Górny pokład, całkowicie kryty, mieści kajuty oficerów, mechaników i kabinę nawigacyjną. Maszyny i kotły znajdują się na pierwszym pokładzie w specjalnie odgrodzonej brą-

zowymi kratami wnęce. Boki i środek pierwszego pokładu służą do sztablowania drew. Z tyłu kuchnie, zagroda dla bydła przeznaczonego na rzeź, klatki z ptactwem. Pokłady i pomieszczenia są przestronne, widne i dostępne, kajuty większe niż na parowcach transatlantyckich. Można by nawet powiedzieć, że cechuje te urządzenia pewna rozrzutność, która wpływa na zmniejszenie pojemności parowca. Rzuca się to szczególnie w oczy na trzecim pokładzie, zarezerwowanym dla wyższego personelu. Mogło by się tam wygodnie pomieścić dziesięć razy więcej osób. No, ale parowce tego typu były projektowane w czasach najlepszej koniunktury i są odzwierciedleniem panujących wówczas nastrojów i wymagań. Obecnie nie wyzyskuje się nawet trzeciej części ich pojemności i gdyby nie subwencje państwowe, nie mogłyby one istnieć.

Przed wyjazdem informuję się, jaka jest powierzchnia stanu Amazonas, przecież jesteśmy w jego stolicy. Geografowie mówią różnie. Sekretariat robót publicznych twierdzi, że Amazonas posiada 1.825.000 kilometrów kwadratowych, czyli powierzchnię równą obszarowi Polski, Niemiec, Francji i Hiszpanii razem.

NA „DZIKIEJ" AMAZONCE

Ruszamy po południu. Jest nas czterdziestu w pierwszej klasie, drugie tyle w drugiej. Mamy dwadzieścia sztuk rogatego bydła na pokładzie, dziesięć baranów i ze sto kur i kaczek.

Rozkład posiłków trochę inny niż na parowcach transatlantyckich. Pierwsze śniadanie od 7-ej do 8-ej, o 11-ej drugie śniadanie, o 3-ciej kawa lub herbata. O 6-ej obiad. Pasażerowie mogą sobie siedzieć dzień cały w piżamach lub koszulach bez marynarek, a nawet bez kołnierzyków. Na posiłki muszą jednak zjawiać się obowiązkowo w marynarkach, kołnierzykach i krawatach. Kapitan prezyduje przy jednym stole ogólnym, zastępca kapitana przy drugim. Służba umundurowana i sprawna. Całość robi dobre wrażenie. Znać rygor i dyscyplinę. Posiłki obfite, dość urozmaicone. Ale ryb jak i w restauracjach nie ma, nie licząc dań narodowych z *pirarucú*, która dzięki jakimś manipulacjom szefa kuchni nie bardzo razi powonienie. Świeżą rybę w ciągu podróży do Iquitos trwającej dwanaście dni, podano dwa razy. Z owoców — pomarańcze i banany. Od czasu do czasu *mamão*, rodzaj melona rosnącego na podobnych do palm drzewkach [1]). Ryż i farinię—przyprażoną mączkę maniokową, podają do wszystkich dań. Poza tym czarna fasola jako *plat de résistance*; nawiasem mówiąc jest ona o wiele smaczniejsza od naszej. Oba posiłki główne kończą się niezmiennie porcją sera *nacional*, który się je jednocześnie z serkami owocowymi z goiaby, marmeli, bananów lub pomarańcz. Bar zaopatrzony obficie w napoje alkoholowe, piwo, cukierki, czekoladę, oraz doskonałe cygara i papierosy, które są naprawdę bezkonkurencyjne.

---

[1]) *Carica papaya* — melonowiec.

Towarzystwo bardzo mieszane. Biali uważają za dyshonor podróżowanie w drugiej klasie, która jest przeznaczona dla kolorowych. Wśród białych więcej jest mężczyzn, niż kobiet; trochę dzieci, niesfornych jak wszystkie dzieci południa. Zawody: fazenderzy [1]), kupcy, przemysłowcy drzewni, paru urzędników, ksiądz. Jest i geolog należący do wyprawy badawczej Standart Oil, nad Ucayali; jedzie z nim żona. Prócz nich jakaś dziennikarka amerykańska i wreszcie kilku poszukiwaczy szczęścia.

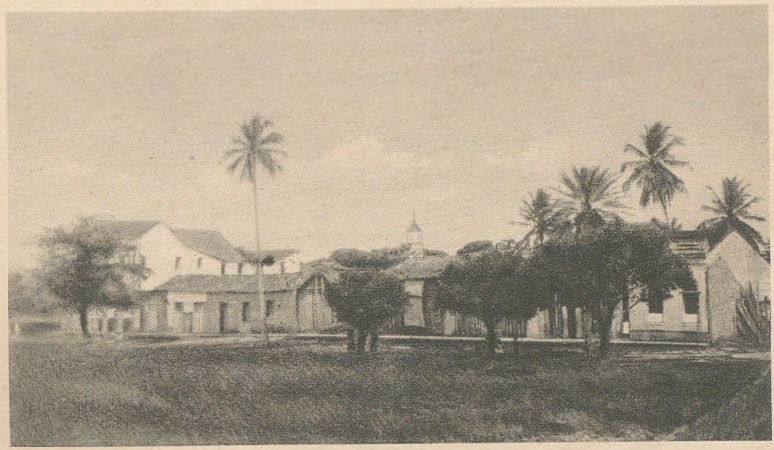
Wypływamy na Amazonkę, w którą Rio Negro wpada pod ostrym kątem. Prąd tej rzeki jest silny, dzięki czemu odpycha ona żółte od niesionego mułu wody Amazonki; przez czas jakiś płynie własnym nurtem obok i to szybciej niż Amazonka. Stwarza to dość ciekawy widok. Rzeki tworzą w kilku miejscach wiry i jesteśmy świadkami, jak raz po raz na powierzchnię czarnej toni Rio Negro wydostają się z głębin kłębiącymi się falami mętne wody Amazonki. To samo dzieje się w nurcie właściwej Amazonki. Kontrast jest tu bodaj silniejszy. Na brudną toń wydobywają się jakby kłęby atramentu. W końcu wody obu rzek się mieszają i płyną razem dalej; nic już nie zdradza, że Amazonka przyjęła do swego łożyska jeden z najpotężniejszych dopływów. Przecinamy te kłębowiska i zawracamy na zachód.

Nazajutrz przy śniadaniu jakiś Brazylianin, wyglądający na kupca, stara się zainteresować sobą całe towarzystwo. Zna dobrze kapitana, ofcerów i co najmniej połowę pasażerów, interesuje się wszystkimi, mówi o wszystkim. Od czasu do czasu opowiada anegdoty wywołujące salwy śmiechu. Mówi o pogodzie, przyborze, kauczuku, koniunkturach światowych, drzewie, polityce miejscowej, wreszcie o kuchni. Istna encyklopedia. Niektórzy są zachwyceni, wsłuchują się w jego przemowy i potakują, niektórzy, bardziej przekorni, zaczynają coś tam mruczeć. Odcina się i nie daje się zbić z tropu. Widzę, że spogląda w naszą stronę (cudzoziemców posadzono obok siebie), ale jeszcze nie

[1]) Właściciele większych posiadłości ziemskich.



„Victoria", parowiec Amazon River Company w Iquitos



Osiedle nad Amazonką

decyduje się nas zaatakować. Tymczasem umacnia swoją pozycję między miejscowymi.

Dzięki gadulstwu tego jegomościa dowiadujemy się niejednej rzeczy.

Wiemy, gdzie się dłużej zatrzymamy, gdzie mamy wyładowywać towar, gdzie zabierać, który z podróżnych gdzie wysiada, czym handluje, co produkuje. Moglibyśmy dokładnie sprawdzić zdolności kredytowe połowy kupców Manaos, a może i wszystkich handlujących nad Amazonką od Manaos do Iquitos. Nasz kupiec zna Tapajós, Madeirę, Rio Negro, Japurę, Juruó, Purús. Tu handlował kauczukiem, tam drzewem, ówdzie reprezentował jakieś firmy z Manaos. Dziesięć lat był wojażerem na rzece, drugie dziesięć szefem rozmaitych przedsiębiorstw w całym kraju.

Kapitan, jowialny staruszek, który od dwudziestu pięciu lat pełni służbę na Amazonce, traktuje go trochę pobłażliwie, ale widać, że mają jakieś wspólne wspomnienia, a może i interesy. Hamak tego nowoczesnego Zagłoby, w którym odbywa on swoje poobiednie sjesty, wisi na pokładzie oficerskim, tam też stoi jego składane krzesło. Ale poza sjestą woli on przebywać na werandzie; lubi towarzystwo, potrzebuje słuchaczy; mówiąc zwraca się jednak zawsze do jednego, jak gdyby inni obecni nie istnieli.

— Costa Araujo & Co? Stara firma. Co ja z nimi miałem, panie. To było tak. — I następuje cała długa historia. — Pinto Ribeiro? Zginął; przepowiedziałem mu to. Ildefonso Costa? Wie pan, prowadził cztery domy, tego przecie nikt nie może wytrzymać. Wszystko szło dobrze, dopóki nie wyrosły dzieci. Spotkały się w Manaos. Zleciały się małżonki. Chłop musiał uciekać do Peru. Siedzi tam dzisiaj. Dzielny był człowiek; co za kompan. Kauczuk? Pana interesuje kauczuk? Mogę panu coś ciekawego opowiedzieć... Pracowało dla mnie szesnaście parowców. O, tak chodziły naładowane. — Pokazywał rękoma jakby obejmował kupę siana. — Teraz? Nie interesuje mnie kauczuk. Straciłem na nim majątek. Od połowy mieszkańców Purús i Juruá należy mi się dużo pieniędzy.

WOJSKO POLSKIE

Nawet tam nie jeżdżę. Kukurydzą będę handlował? To nie towar dla poważnego kupca. Panu się zdaje, że pan poznaje Amazonkę; to nie jest żadna Amazonka, to nawet nie jest jej cień. Trzeba było przyjechać przed piętnastu laty, to by pan dopiero zobaczył, co to jest Amazonka. Byle chłop — nawet niepiśmienny — szampanem się zapijał. Nie było zwyczaju żądać w hotelu butelki. Porcją był tuzin, częstowano wszystkich. Kiedy nie miał kto pić, tłuczono lub rozstrzeliwano flaszki. Widzi pan ten brylant — pokazywał piękny, może trzykaratowy brylant na palcu. — Wstydziłbym się z takim brylantem wówczas pokazać się w mieście. Byle seringueiro [1]) nosił pierścionki ośmiokaratowe; byli tacy, którzy mieli ich po kilka, niczym śpiewaczka kabaretowa, z tą różnicą, że ta posiada klejnoty przeważnie fałszywe. Tu brano tylko pierwszorzędny towar. Przecież sprzedawaliśmy nasze czarne złoto po czternaście milrejsów za kilo (przeszło 3 dolary), a były lata, kiedy Amazonka dostarczała na rynki światowe po 40 milionów kilogramów. Żaden seringueiro nie używał innych koszul niż jedwabne. Kapelusze od Christusa, Borsalino lub Habiga. Obuwie od Hanana z New Yorku 20 dolarów para. Perfumeria z najlepszych zakładów Paryża. Cygara tylko Corona-Coronas. Ludzie nie wiedzieli, co robić z pieniędzmi. Aż się słabo człowiekowi robi, gdy sobie to przypomina.

Rozpłynęło się wszystko jak dym. Źle mówię — po dymie zostaje jeszcze zapach, a tu i zapachu nie ma. Gdyby nie te gruchoty, które tam stoją w porcie Manaos, którymi sam towary i kauczuk kiedyś woziłem, to myślałbym, że to sen.

— No, ten brylant także wystarczyłby, jako dowód.

— A właśnie, że nie. Zarobiłem go na mahoniu. W tamtych czasach nie kupiłbym takiego śmiecia.

Następnego dnia przy rannej kawie nasz Veiga znowu rozpoczął wykład. Właśnie wysłuchiwaliśmy dość długiej przemowy na temat polityki miejscowej, gdy ostry gwizd parowca przypomniał nam, że mamy zatrzymać się przy Mana-

[1]) Poszukiwacz lub przedsiębiorca kauczukowy.

capurú. Zerwali się wszyscy, aby asystować przy przybijaniu do brzegu, jedynie nasz mentor ostentacyjnie pozostał przy stole, jakby chciał dowieść słuszności swych wywodów tym, że pozostał sam jeden na placu.

Aż do Manaos Amazonka uchodzi za rzekę cywilizowaną. Dalej zaczyna się la brousse, jakby powiedzieli Francuzi, toteż byłem niezmiernie ciekawy, czy zobaczę wreszcie coś naprawdę dzikiego. Daremne złudzenie. Oczywiście w porównaniu z Manaos — z jego elektrycznością, tramwajami, dokami i tutti quanti — Manacapurú wygląda na nędzną wioskę, ale nie ma tam nic z egzotyzmu, którego spodziewaliśmy się. W „porcie" stoi kilka rozpadających się parowczyków, kilka łodzi do połowy pokrytych dachami. W oddali widać kościołek schowany w gęstwinie drzew; trochę palm; tuż przy brzegu pasą się rachityczne owce. W domach na brzegu mieszczą się przeważnie sklepy liche i nędzne, posiadające za to duże szyldy i jeszcze większe napisy na ścianach. Na domach nie ma nazwisk właścicieli, co robi bardzo miłe wrażenie; przeważnie hasła i symbole: tu — *Vida nova*, tam *Casa esperança*, ówdzie — *Casa do bom freguez — Barateiro*[1]) itp.

Na brzegu rzucają się w oczy cztery wspaniałe mangowce, oblepione owocem, niestety jeszcze zielonym; są one nadzwyczaj dekoracyjne; liście spore, pięknie wykrojone, barwy ciemnozielonej o ślicznym połysku. Samo drzewo jest kuliste, rozgałęzia się szeroko, spód na wysokości dwóch metrów ma jakby podcięty; myślałby kto, że strzyżony. Ciekawe jest osadzenie owocu, który wisi na długim zielonym sznurku. Budową przypomina spłaszczoną trochę, olbrzymią śliwkę. Długość jego osiąga często 20 centymetrów, waga — ćwierć kilo. Miąższ jest koloru pomarańczowego, soczysty i delikatny w smaku. Pestka stosunkowo duża. Owoc mangowca jest tak soczysty i delikatny, a jednocześnie tak duży, że spożycie go sprawia nieraz niemały kłopot. W niektórych domach brazylijskich mają zwyczaj obierania tych owoców i dzielenia wyostrzonym jak brzytwa

[1]) Nowe życie, dom nadziei, dom dobrego klienta, tani sklep.

nożem. Niektóre gatunki mają skórkę różową z wyraźnie zaznaczonymi rumieńcami. Są to z pewnością najbardziej reprezentacyjne owoce. Można się tylko dziwić, że nie sadzą ich tu w większych ilościach, rosną bowiem niezmiernie szybko. Ludzie jednak nie cenią tego, co im łatwo przychodzi. Kraj ten jest tak bogaty w najrozmaitsze owoce, że tracą one dla mieszkańca cały swój urok i wartość. Bardziej cenione są tu suszone śliwki lub brzoskwinie kalifornijskie w puszkach, pływające jakby w glicerynowej cieczy.

Kupuję jakieś owoce, które widzę po raz pierwszy. Nasz Veiga zauważywszy moje zainteresowanie uprzejmie pomaga mi w wyborze i klasyfikacji. Za chwilę jesteśmy oblężeni przez przekupniów. Przyłączają się do nas obie Amerykanki, które również są zaciekawione szeregiem nieznanych okazów.

Uwagę naszą zwracają duże zielone owoce z wystającymi kolcami, czy rogami, przeszło calowej długości. Są to *ata* — po indyjsku; niektórzy Brazylianie nazywają je *fruta do conde*, które znam z południowej Brazylii; ale tamte nie mają wystających rogów i są wielkości jabłka, podczas gdy te osiągają rozmiar średniego melona. W Manaos nazywano je *beribá*, w Belém — *pinia*. Owoc ten ma orzeźwiający, słodkawy, biały miąższ i sporo czarnych, płaskich jak w kawonie ziarenek. Jest to owoc dziko rosnący w lasach. Tuż obok proponują nam inne owoce, podobne, ale podłużne i bez kolców; miąższ mają kwaskowaty. Jest to *graviola*, nazywana w Ameryce Hiszpańskiej *guanábana*. Owoce te nie rosną dziko, lecz wymagają hodowli.

W Havanie widywałem je również, płacono za nie pół dolara, uchodzą za jedne z najwykwintniejszych owoców.

Uwagę moją zwracają jakieś „niby melony", wziąłem je z początku za mamão (papaya); kobiety się uśmiechają.

— *Cacuí*.

— Tak, tak — potwierdza Veiga i zaczyna wykład na temat użyteczności tego owocu. Panie oglądają tymczasem olbrzymie strąki przeszło półmetrowej długości. Jeden z chłopców rozszczepia strąk. Ukazują się szeregi ułożonych jedno przy drugim na-

sion, obrośniętych jakby białym mchem. Brazylianie zaczynają wybierać te nasiona i wysysają je z lubością. Próbujemy. Są orzeźwiające. Paniom smakują również, zabierają cały koszyk na zapas. *Ingá*, mówią jedni. *Cacéte*, mówią drudzy. Veiga rozstrzyga. *Ingá*. *Cacéte* są cieńsze i stosunkowo dłuższe. Panie wolałyby ananasy, ale jest jeszcze na nie za wcześnie, przynoszą nam za to zielonych pomarańcz, które mimo to są słodkie i soczyste.

Dzień schodzi na przyglądaniu się z bliska miejscowej przyrodzie, bo nasza „Victoria" w przeciwieństwie do „Aidana" usiłuje trzymać się jak najbliżej brzegu, chwilami ociera się o szuwary, a nawet o gałęzie drzew bardziej wysunięte nad wodą. Pozwala to na oglądanie rozmaitych zwierząt. Tu ryjkonosy uciekają podnosząc ogony i skacząc jak wiewiórki, tu niepokoimy jakiegoś jeżozwierza, który nastawiwszy swe straszne kolce, szybko wdrapuje się na wierzchołek drzewa, tam całe stado małp, podobnych do wyjców, ciekawie przygląda się parowcowi prawie się nie poruszając, ówdzie gromada malutkich uistiti strasznym skrzekiem usiłuje odstraszyć rzekomych napastników. Maleństwa te siadają w kucki, piąstki przyciskają do piersi i drą się niemiłosiernie. Wszyscy trzymamy stale lornetki w pogotowiu. Veiga, który ma wzrok żbika, co chwila wykrzykuje jakieś nazwy i alarmuje towarzystwo.

Mijamy ujście rzeki Purús; za pięć godzin będziemy mijać następne; każde z nich ma około 2 kilometrów szerokości. Rzeka ma 3.500 km długości i wije się fantastycznie. Wzdłuż biegu posiada liczne jeziora i kanały. Purús ma dość nikły spadek, jedynie w górnym biegu zaczynają się bystrzyny. Parowce o słabym zanurzeniu mogą dochodzić do miejsca oddalonego o 3.200 kilometrów. Deszcze w dorzeczu Purús są niezwykle gwałtowne; poziom wody podnosi się niejednokrotnie do 17 metrów. Górne jej dopływy mają opinię rzek niesłychanie malarycznych i obfitujących w komary. Rzeka jest rybna, brzegi pełne zwierzyny. Głębokość jej waha się od 5 do 30 metrów. O 2.000 kilometrów od ujścia, po przyjęciu dopływu Acre, głębokość Purús wynosi 20 metrów. Cały jej system

wodny odznacza się najdalszym w dorzeczu Amazonki zasięgiem wylewów. Lasy nad Purús i Acre słyną z bogactwa kauczuku, kakao, salsaparilli, wanilii i drzew szlachetnych. W namułach Purús znaleziono najwięcej szkieletów przedpotopowych stworzeń, jeszcze niesklasyfikowanych.

Nad ranem jesteśmy w Codajáz. Wysoka szkarpa, sporo roślinności. Mieścina malutka, na samym wstępie placyk; mały, ale dobrze utrzymany kościołek, przed którym rośnie wspaniała manga. Idziemy oglądać *cacuí*. Drzewo wielkości średniej gruszy. Owoce wyrastają na pniu i na grubszych gałęziach, podobnie jak na kakaowcu. Drzewo jest dzikie. Ileż tu możliwości dla ogrodnika. Veiga pyta o *curupirę;* jakiś chłopak przynosi kilka owoców; mają formę gruszki, w której wnętrzu tkwią luźno osadzone orzechy, niestety jeszcze zielone; podobno nie ustępują w smaku *sapucai*.

Przy brzegu ogromne łodzie wykonane z mahoniu i cedru, i inne, których dno jest zbudowane z drzewa *itauby*, nie gnijącego podobno nigdy.

Na łodziach daszki z liści palmowych, wysunięte trochę na dziobie łodzi, aby osłonić wioślarzy od słońca. Z tyłu malutkie pomieszczenie w rodzaju kabiny. Wiosła indyjskie, szerokie i krótkie, malowane w przeróżne desenie, niektóre gładko na czarno. Pytam, skąd mają farbę. Pokazują mi drzewo w pobliżu. Owoce wyglądają jak spore zielone jabłka, sok z nich czernieje na powietrzu. Indianie malują nim rozmaite przedmioty, nie wyłączając swoich własnych postaci. Niektóre szczepy mają zwyczaj ozdabiać twarze, a czasem i nogi niezwykle subtelnym rysunkiem. Celują w tym kobiety. Są i tacy, którzy malują całe dłonie i stopy na czarno. Ma to być niezawodnym środkiem przeciw dżumie, cholerze i innym chorobom, nie wyłączając ukąszeń węży i moskitów, głównie zaś chroni od uroku „złego oka" i to jest najważniejsze. Samo drzewo nazywają *huito* lub *genipapo*. Owoce jego są jadalne.

Na wszelki wypadek zabieramy jednak pomarańcze. O banany nie potrzebujemy się troszczyć, komisarz zawiesił nimi cały tył statku.

Po krótkim postoju odpływamy. Po kwadransie stajemy znowu przy *posto de lenha*, to znaczy przy punkcie opałowym. Na niewielkim wyrąbanym w puszczy placu ustawione szeregami stosy drzewa dwumetrowej wysokości. Zabranie ze sobą dostatecznej ilości opału jest dla nas sprawą najistotniejszą, gdyż nasza „Victoria" spala najmniej 550 szczap [1]) na godzinę; a płynąc pod prąd potrafi zużyć w ciągu 24 godzin 17.000.

Załoga parowca nie jest obowiązana do noszenia drew, toteż ładowanie odbywa się w inny sposób. W momencie, kiedy należy uzupełnić zapasy paliwa parowiec zaczyna przeraźliwie gwizdać. Jest to znak dla okolicznej ludności, że trafia się okazja zarobku; śpieszy więc bractwo z najbliższej okolicy na wyścigi.

Po godzinie gwizdania, zbiera się pięćdziesięciu ludzi. Zrzucają marynarki, o ile kto ją miał, i koszule, pracują tylko w spodniach. Parowiec dostarcza im obowiązkowo starych worków, które robotnicy podkładają pod szczapy.

Jestem obecny przy następującej scenie: oto zabrakło starych worków; kilku młodszych chłopców, którzy także stanęli do pracy, prawie z płaczem błaga o szmaty. Nie ma. Bosman rozstrzyga krótko. — Nie będziesz nosił. — Konsternacja. Starsi próbują wstawić się za nimi. Nie ma apelacji. Ale następuje nieoczekiwane rozwiązanie. Kilku tęgich, pysznie zbudowanych mężczyzn rzuca swe worki chłopcom. Sami będą nosili drzewo na gołym ciele. Skóra zahartowana w wodach Amazonki i na słońcu Południa — twarda jest i wytrzymała. Ale serca ludzkie są tam widocznie miększe od skóry.

Straciliśmy na gwizdanie i organizację ładowania przeszło półtorej godziny. Kapitan obiecuje po szklaneczce wódki dal wszystkich, jeśli się pośpieszą. Po skończonej robocie ociekający potem ludzie stają w szeregu. Kilku krwawi, pokaleczyli się drzewem. Właściciel drew z posługaczem z parowca wydzielają porcje wódki. Gdy podchodzą do chłopców, ci biorą swoje porcje i niosą je swym dobroczyńcom. Czterech mężczyzn

[1]) *W* metrze sześciennym bywa od 130 do 150 szczap.

nie przyjęło poczęstunku. Niech chłopaki też użyją, uczciwie zapracowali. Jeden nadpił trochę, widocznie żeby chłopakowi nie zrobić przykrości.

W ciągu czterech godzin załadowaliśmy 25 tysięcy szczap. Każdy z robotników otrzymał po dwa i pół milrejsa; licząc pośpiech, dojazd, niejedną pokaleczoną skórę i dość rzadko zdarzającą się okazję do zarobku nie jest to szczególna zapłata. Ale ludzie patrząc na otrzymane niklowe krążki mieli miny zupełnie zadowolone.

Przed odjazdem zwracam uwagę Veigi na olbrzymie drzewo, które wystrzela trochę z boku za „portem".

— Aha, *samumeira*. Widzi pan, byłbym zapomniał. To największe u nas drzewo nad Amazonką, może nie najwyższe, ale najtęższe; szkoda, że daje słabe drewno. Są tu okazy, mające po kilkanaście metrów w obwodzie, mierzyłem kiedyś i takie drzewo, którego obwód liczył trzydzieści metrów.

— Czy nie *sapupema*? — pytam.

— Zdaje się, że tak się nazywa na południu. My nazywamy tak jego wyrosty korzeniowe, te jakby odnogi, nieraz na kilka metrów wysokie. A te białe niby kwiaty na wierzchołku, to rodzaj bawełny. Służy Indianom do przędzenia. Jest słabsza, ale ma połysk jedwabiu. Niestety zbiór, jak pan widzi, nie łatwy, trzeba by chyba używać małp do pomocy. Indianie czekają, aż przędza opadnie; jednak przy tym niszczy się i wala na ziemi, często również marnuje się od wilgoci i deszczu. Kto wie — może zabierzemy się kiedyś i do niej. Amazonka jeszcze nie zdradziła wszystkich swych tajemnic, nie znamy nawet połowy jej możliwości.

W nocy kilka wstrząsów przestrzega nas, że dostaliśmy się między warstwy spływającego drzewa. Parowiec co kilkanaście minut staje, ażeby przepuścić większe pnie, które dostały mu się pod dno. Turkot taki jakby ktoś ciężkim wozem jechał szybko po belkach. Wreszcie zatrzymujemy się na dłużej. Słyszę jakiś gwar i bieganinę. Wyskakuję na pokład. Co się stało? Kapitan, zastępca, mechanicy — wszyscy na rufie. Ogólne zaniepokojenie. Jest oczywiście i Veiga. Jakżeby mógł stracić taką okazję.

— Nic wielkiego. Na pewno urwaliśmy śrubę. Dobrze jeszcze jeśli nie obie.

Po kwadransie ustalono, że wszystkie trzy płaty lewej śruby są urwane, prawa natomiast jest nieuszkodzona. Ruszamy i posuwamy się jedną maszyną i jedną śrubą. Nie jest to łatwe zadanie w nocy, kiedy trzeba przepływać pomiędzy zwałami drzewa i przy prądzie, który się ciągle wzmaga. Pilotów jednak mamy doskonałych, a oficerowie — to starzy amazończycy. Dadzą sobie radę. Posuwamy się powoli. Na dziobie ustawiono posterunek; poniżej burty zawieszono reflektor, który oświetla niewielkie pasmo wody, tak żeby nie przeszkadzać pilotowi. Jeden z marynarzy trzyma w ręku sznur od dzwonu okrętowego. Gdy zbliża się większe drzewo lub pień płynący w poprzek, uderza się w dzwon. Parowiec natychmiast staje; gdy niebezpieczeństwo mija, ruszamy znowu. Urwanie drugiej śruby może grozić katastrofą. Zakotwiczenie na głębokościach, które przebywamy, nie jest ani pewne, ani łatwe. Ciekawe, że śruby fabryczne odlane z jednego kawałka brązu nie mają tu zastosowania. Doświadczenie wykazało, że najbezpieczniejsze są płaty oddzielne z lanego żelaza, przykręcone do łożyska na wale. W wypadku uderzenia urywają się względnie łatwo, bez szkody dla wału i korbowodów. Łatwiej też je zastąpić innymi na pierwszym lepszym postoju, musimy jednak czekać dnia, aby się móc zatrzymać.

Toteż gdy ukazały się pierwsze promienie słońca, stajemy przy brzegu. Kapitan każe spuścić specjalnie przeznaczoną do tego celu tratwę, którą przymocowuje się do rufy. Dwóch nurków spuszcza się do wody, by zbadać bliżej uszkodzenie i poodkręcać resztki śmig, o ile nie urwały się przy samych gwintach. Zadanie niełatwe do wykonania na głębokiej wodzie. Po wielu wysiłkach udaje się oczyścić wały z resztek śruby. Teraz spuszczają śmigi — *palety* — jak tu mówią. Prąd jest nadzwyczaj silny, podrywa co chwilę palety do góry. Po bezowocnych próbach wstawienia ich na miejsce, kapitan decyduje się ruszyć dalej do najbliższego portu, gdzie znajdziemy spokojną i mniej głęboką wodę.

Przed samym południem jesteśmy w Coarý. Miasteczko leży nad sporą zatoką. Jest tu plaża, co dowodzi, że woda płytka i nie ma prądu. Stajemy tyłem do lądu. Cała załoga i pasażerowie drugiej klasy przesuwają część ładunku na dziób, ażeby odciążyć rufę i podnieść ją jak można najwyżej. W ten sposób uzyskujemy prawie metr różnicy. Ułatwi to pracę nurków. Teraz mogą oni przykręcać palety siedząc na tratwie, którą w tym celu zanurzają, obciążywszy ciężarami. Cała operacja trwa trzy godziny.

Korzystamy z Veigą z postoju i ruszamy łodzią na brzeg. Miasteczko leży po dwu stronach niewielkiej rzeczki, tej samej co i ono nazwy. Obie części osiedla są połączone sporym mostem. Obok portu szereg sklepów mizernie i niepozornie wyglądających, domy niektóre budowane z cegły dość porządne, widocznie powstały za lepszych czasów. W oddali kościół otoczony szeregiem drzew. W kilku miejscach grupy palm kokosowych, wyglądających dość okazale, wbrew rozpowszechnionemu tu dawniej mniemaniu, że mogą rosnąć tylko na piaskach i to jedynie w pobliżu morza. Za jednym z domów spostrzegam znaną mi sylwetkę palmy; czyżby daktylowiec? Zwierzam się ze swoich domysłów Veidzie. Okazuje się, że jest to daktylowiec naprawdę. Idziemy go obejrzeć. Rozrośnięty jest wspaniale, ale właściciel skarży się, że daje mało owoców.

W miasteczku sporo drzew owocowych. Pytam o ananasy, których spragnione są nasze Amerykanki. Przynoszą mi kilka. Niestety jeszcze niedojrzałe. Veiga zapewnia, że w kabinie dojrzeją, będą tylko trochę kwaśne. Zabieram je więc na parowiec.

Schodząc ze szkarpy, zwracam uwagę, że grunt tu jest gliniasty i nie wygląda na namół. Szkarpa dość wysoka. Podług Veigi jest to terra firme, co ma oznaczać, że tutejsza gleba nie jest formacją osadową, ale pochodzi z rozkładu opoki. Mamy zresztą geologa na pokładzie, postanawiam więc przeprowadzić z nim wywiad na ten temat. Veiga twierdzi, że cały prawy brzeg aż do granicy jest wysoki, spotkamy tam tylko drobne rzeczki, mające najwyżej po jakieś 800 kilometrów długości.

Na parowcu odbywa się gwałtowne przesuwanie drew i ładunku. Wracamy do normalnej pozycji, za kwadrans mamy ruszać.

Przy burcie zastaję łodzie rybaków. Komisarz kończy zakupy. Ryb mało, starczy tylko na dwa posiłki. Złocą się piękne dorady, różowieją corbiny, połyskują i bielą spore flądry, ale jest tego zaledwie dwa koszyki — może trzydzieści kilo. Komisarz wymyśla sprzedającym od leni i nierobów.

— Kiedy nie ma ryb.

— A dokąd uciekły? Co mi tam będziecie opowiadać. Idźcie do mechaników i zobaczcie, ile oni nałowili w ciągu godziny.

Rybacy nie są ciekawi. Biorą pieniądze i wynoszą się czym prędzej.

Idę na rufę, żeby obejrzeć zdobycz.

Rzeczywiście, jest czemu się dziwić. Kilkanaście sporych ryb jeszcze podskakuje na pokładzie, obok leży przeszło metrowej długości okaz o bardzo potężnych pletwach szczególnie na grzbiecie i na brzuchu, ma sztywne wąsy, długie na pół metra; u nasady głowy wyrastają mu pod prostym kątem również dwa wąsy mniej sztywne i trochę krótsze, oczy ma na wierzchu, głowa duża pokryta twardą skorupą sięgającą dalej na kark i prawie trzecią część tułowia; skóra szorstka bez łuski, barwy ciemnostalowej z żółtawym połyskiem, paszcza opatrzona silnym uzębieniem.

— *Filhote* — objaśnia mnie jeden z mechaników-rybaków,— tak się broniła, że nie mogliśmy jej zdjąć z haka, musieliśmy odciąć wędkę.

Właściwie rybę tę nazywają *piraiba*. Nazwa *filhote* odnosi się jedynie do młodych okazów. Stare dorastają niekiedy do trzech metrów długości. Piraiba uchodzi wśród miejscowej ludności za niejadalną. Istnieje przesąd, że człowiek, który spróbuje jej mięsa, nabiera żółtego koloru skóry. Veiga, który znów znalazł się koło nas, twierdzi, że nawet zielone papugi, po zjedzeniu mięsa *piraiby*, zmieniają barwę upierzenia. Postanawiam zrobić próbę. Ponieważ tuż obok jest kuchnia, proszę, żeby mi usmażono lub ugotowano kawałek tej ryby. Mechanicy się śmieją.

— Nie boi się pan?

— Cóż, zaryzykuję. Ostatecznie Chińczycy są żółci i nic im to nie szkodzi.

— Panie, tu nikt ze służby nie tknie tej ryby, ale my ją jemy. Jest ona bardzo żarłoczna, a zęby ma tak ostre, że potrafi jednym kłapnięciem odciąć całą rękę. Drze sieci, przegryza nawet cienki drut, dlatego jej tak nienawidzą. Reszta to zabobon.

Nagle drugi mechanik gwałtownie zaczyna odwijać sznur od wędki. Znów złapała się duża ryba. Zaczynają ciągnąć. Czyżby także *filhote*? Nie. Zdaje się, że coś większego. W tej chwili ryba ukazuje się na powierzchni wody i robi przeszło metrowy skok w górę.

— *Bacú*! — wołają razem mechanicy i Veiga — zobaczy pan coś pięknego. Ryba zaczyna się szamotać w straszny sposób. Żeby nie pozwolić jej urwać się z haka, opuszczają wędkę w dół. Ryba niknie w głębi. Po jakimś czasie zaczynają ciągnąć ponownie. Znów rzuca się gwałtownie. Za trzecim razem traci widocznie siły i pozwala się ciągnąć do góry. Gdy jest już na połowie drogi do burty, jeden z mechaników nachyla się i uderza ją z całej siły obuchem w głowę. Ryba usiłuje się szarpnąć, ale dostaje drugie uderzenie. Jest tak ciężka, że trudno ją wywindować. Jeden z marynarzy robi pętlę i zgrabnie zarzuca ją na ogon zdobyczy. Teraz jest już nasza. Po chwili zwija się w konwulsyjnych drganiach na pokładzie. Jeszcze kilka uderzeń i wreszcie nieruchomieje.

Okaz blisko dwumetrowy, kształtem przypomina *filhote*, ale ma mniejsze pletwy i nie posiada drugiej pary wąsów. Głowa, kark i boki w pancerzu tak twardym, że nie zgniotły go uderzenia obucha. Grzbiet ma pokryty dużą, grubą łuską, przyrośniętą jak u krokodyla. Zęby prawie jak u rekina. Ogon wycięty. Bywają podobno ryby tego samego gatunku znacznie większe niż nasza.

— Ma pan tutejszych ludzi. Twierdzą, że nie ma ryb. Przecież tu aż gęsto od nich. Ale oni wolą siedzieć nad szklaneczką wódki, a łowią tylko wtedy, gdy nie mają grosza przy duszy — złości się Veiga.

— Właśnie dlatego, że jest taka obfitość ryb, nie chce się rybakom pracować. Po co się ma człowiek wysilać, gdy wystarczy jedynie ręką sięgnąć, ażeby zarobić na życie.

— Wegetacja, nie życie — myślę sobie, ale chowam tę uwagę dla siebie.

Zresztą Veiga ma rację. To nie klimat tutejszy, a właśnie bogactwo fauny i flory rozleniwia człowieka do ostateczności. Sił ani wytrzymałości tu nie brak (wystarczy przypomnieć sobie ładowanie drzewa na parowiec), ale brak potrzeby i ambicji. Trzeba wzbudzić ambicję, stworzyć potrzeby, a niesłusznie zapomniany i przeklinany kraj zdobędzie może kiedyś jedno z pierwszych miejsc na świecie.

Humboldt posunął się nawet dalej, prorokując, że przyjdzie czas, gdy ośrodek cywilizacji przeniesie się właśnie nad Amazonkę. Gdyby nawet uznać ten pogląd za zbyt entuzjastyczny, to jednak nie ulega kwestii, że pierwsze cywilizacje świata powstały w strefach gorących i że ludy północne zawsze więcej niszczyły niż tworzyły. Nawet podstawy tej cywilizacji, którą się dziś tak chlubią, zrabowały lub zapożyczyły na południu. Dość wspomnieć Asyrię i Babilon, Egipt, Indie, Chiny południowe, a nawet Grecję i Rzym. Zresztą nie piszę przecież historii cywilizacji. Jestem sobie zwykłym pasażerem „Victorii", która pruje w tej chwili szerokie wody Amazonki, co pozwala mi od czasu do czasu zaglądać do otwartej przede mną księgi przyrody, chłonąć jej dziewicze piękno, podziwiać jej mądrość i bogactwo, no i pofilozofować czasem na temat znikomości i zmienności rzeczy ludzkich, do czego usposabia ten rozwierający się coraz szerzej horyzont, który zawsze ma w sobie coś z nieskończoności.

Wchodzimy w tej chwili w jakiś wąski kanał pozostawiając na prawo dwa szersze wyloty innych. Nie mogę powstrzymać się od wyrażenia podziwu dla pewności, z jaką pilot odszukuje swą drogę w tych labiryntach wysp, ramion, rozwidleń i rozlewisk.

— Nie zawsze tak bywa — podchwytuje Veiga — właśnie tutaj przed dwoma laty jeden z parowców zmylił drogę i dostał

się na jezioro wewnętrzne. Błąkał się tam przez dwa dni, nim odszukał drogę z powrotem. Mogło się skończyć tragicznie, bo szedł ostatkami paliwa. Wydaje się to paradoksalne, ale w bezbrzeżnej puszczy nie łatwo o drwa, przecież wilgotne drzewo nie będzie się palić; trzeba co najmniej dwu miesięcy czasu, ażeby jako tako wyschło, a są gatunki, które nawet suche tlić się będą zaledwie. Decydowano się już wtedy porozbierać nadbudówki i porąbać meble, ale starczyłoby tego zaledwie na trzy godziny.

Trzeba dodać, że na całym lewym brzegu Amazonki od Codajáz, gdzie stawaliśmy wczoraj, aż do Tocantins leżącego przy ujściu tak zwanego Anatí Paraná, na przestrzeni przeszło sześciuset kilometrów, rozciągają się najczęściej podlegające zalewom okolice; są to najniższe miejscowości w całym dorzeczu Amazonki. Poprzecinane niezliczonymi kanałami i jeziorami łączą się nimi z dopływem Yapurą. Szerokość doliny wynosi od stu do 150 kilometrów, niektóre z kanałów mają po trzysta kilometrów długości i często nie wiadomo, czy są odnogami Amazonki czy Yapury, tym bardziej, że prąd zmienia się tu zależnie od przyboru. Gdy Amazonka wzbiera, prąd idzie ku Yapurze, gdy wzbiera Yapura, woda płynie w kierunku odwrotnym. Każdy przybór wywołuje istną rewolucję w tym układzie; rzeka zamula jedne kanały, a rzeźbi nowe.

Yapura ma 2.800 kilometrów długości. W górnym swym biegu poprzecinana jest szeregiem katarakt.

Na 1370-ym kilometrze od ujścia znajduje się jeden ze wspanialszych wodospadów tych okolic wysokości 30 metrów. Przez Yapurę istnieje komunikacja wodna z Kolumbią. Kraina ta nie wyłączając brzegów Amazonki jest najmniej zaludniona z całego jej dorzecza. Rasy białej prawie wcale się tu nie spotyka.

Piękny wieczór oraz wspólnie oglądane i podziwiane cuda natury powodują wytworzenie się serdeczniejszych stosunków pomiędzy mną a Amerykanami, zasiadamy nawet razem do brydża. Gra jakoś się nie klei. Uwagę naszą odrywają co chwila nowe widoki, wywołujące tu komentarze i dyskusję. Geolog od roku prawie pracuje nad Ucayali, nauczył się kilku-

dziesięciu słów hiszpańskich, które wystarczały mu do porozumiewania się, dość ograniczonego zresztą, z niższym personelem podczas ekspedycji; nie wystarcza to jednak na parowcu brazylijskim i muszę często służyć za tłumacza. W zamian dowiaduję się mnóstwa ciekawych wiadomości o tamtych okolicach. Dotyczą one oczywiście tylko topografii i przyrody. Jego spostrzeżenia społecznej i etnograficznej natury są więcej niż skromne. Poza własną specjalnością nic go nie obchodzi. Za to dziennikarka chciałaby wszystko wiedzieć i wszędzie zajrzeć. Robi to jednak dość powierzchownie. Jest spostrzegawcza, ale nie posiada krytycyzmu. Wszystko, co się jej mówi, przyjmuje za dobrą monetę i jest gotowa zapisywać w notatniku największe bzdury. Jakiż zamęt musiał powstać w jej umyśle, jak wielki chaos zapanuje w głowach jej przyszłych czytelników. Toteż nie można się dziwić, jeśli sądy o badanym w ten sposób kraju są wypaczone, lub wręcz fałszywe. A przecież poznajemy znikomą jego cząstkę, boć przecie płyniemy jakby szparą, przez którą wdziera się w te niezmierzone puszcze cywilizacja, pozostawiając co paręset kilometrów dość nikłe ślady swej bytności. A droga nasza ciągnie się już przeszło 3.000 kilometrów i drugie tyle mamy jeszcze przed sobą.

Francuz Le Cointe, jeden z najlepszych znawców Amazonki i jej przyrody, opowiada w przedmowie do któregoś ze swych dzieł, że przyjechawszy w celach naukowych nad Amazonkę, obiecał sobie, że nie napisze i nie opublikuje o niej ani słowa przed upływem dziesięciu lat. I przyrzeczenia tego dotrzymał. Jego główne dzieło „*L'Amazonie brésilienne*" zostało wydane po dwudziestu pięciu latach badania. Jak sam pisze, bynajmniej nie uważa swej pracy za kompletną lub wyczerpującą i opinie jego są zawsze nacechowane powściągliwością w wygłaszaniu kategorycznych zdań. No, a przecież nie tylko Amerykanie, ale i my wszyscy grzeszymy przede wszystkim pochopnością do syntetyzowania i operowania twierdzeniami niesprawdzonymi. Jest to oczywiście ogromnie szkodliwe dla rzeczywistego obrazu, który usiłujemy odtworzyć. Nas — Polaków — trochę tłumaczy zrozumiały pośpiech, którym staramy się nadrobić lata stra

cone z przyczyn od nas nie zależnych, ale innych pisarzy żadne tłumaczenia nie uwolnią od zarzutu pewnej powierzchowności i lekkomyślności.

Podczas innej mojej podróży, również po Amazonce, mieliśmy na pokładzie znaną dziennikarkę angielską. Woziła ze sobą całe stosy wycinków z prasy ze swymi korespondencjami i reportażami, a także wzmianki o sobie i swoich podróżach, umieszczane w szeregu pism z rozmaitych krajów na całej kuli ziemskiej. Oczywiście nie umiała ani po portugalsku, ani po hiszpańsku, a bardzo słabo po francusku. Była wścibska i ciekawa. Bez przerwy wypytywała wszystkich o rozmaite rzeczy, nazwy, dane i ostentacyjnie notowała je w dzienniku. W pewnej chwili zatrzymaliśmy się przy jakiejś osadzie. Zwróciła się do obecnego Peruwiańczyka z zapytaniem o jej nazwę. Informator się zawahał i albo w ogóle nie wiedział, co to za „port", albo może „port" ten żadnej nazwy jeszcze nie posiadał. Wzruszył więc ramionami i rzucił:

— *Hm. Um puerto qualquiera.*

Po hiszpańsku znaczyło to: Ot, jakiś tam port bez znaczenia.

Angielka zanotowała skrzętnie: *puerto Qualquiera,* przez duże *Q.*

Wyobrażam sobie podróżników, którzy będą kiedyś szukać tego portu Qualquiera. Możliwe również, że na jakiejś mapie angielskiej, korygowanej przez tę spostrzegawczą i pracowitą damę, znajdzie się Puerto Qualquiera dla oświecenia i pouczenia badaczy i uczniów.

Od paru dni, mniej więcej o trzeciej po południu, zrywał się wiatr, który silnie obniżał temperaturę. Wieczorami robiło się zupełnie chłodno, chowaliśmy się więc do hallu zamykając drzwi na werandę. Niektórzy uciekali się pod opieką barmana. Pito whisky i koniaki, naciągano na siebie, co kto miał najcieplejszego. Najbardziej odczuwali zimno Amerykanie, którzy pochodzili z Chicago i ja, który urodziłem się i znaczną część życia spędziłem w północnej Rosji. Południowcy byli bardziej wytrzymali na zimno, ale i oni zacierali ręce.

— *Um diabo de frio* — słyszało się raz po raz.

Wyobrażam sobie biednych Indian, którzy nie studiowali geografii, nikt im nie mówił, że równik jest najgorętszym miejscem na ziemi, a dla ochrony od zimna mają jedynie mniej lub więcej subtelne rysunki na twarzy i innych częściach ciała.

Toteż nie mogliśmy długo wysiedzieć na jednym miejscu. Coraz to ktoś uciekał do łóżka w nadziei, że tam rozgrzeje się prędzej.

Z rana mijamy parowczyk kolumbijski, który dąży do Manaos, po chwili przejeżdżamy obok niewielkiej osady Jotica. Płyniemy tuż przy prawym brzegu, ażeby nie przeoczyć ujścia do kanału, prowadzącego do rzeki Teffé i miasteczka tejże nazwy.

Przybywamy tam o pierwszej. Kanał zarośnięty bujną roślinnością, brzegi niskie, woda przy brzegu zasnuta szerokolistną trawą. Veiga twierdzi, że będziemy musieli stanąć, by zabrać zapas tej trawy dla naszych wołów. Rzeczywiście po paru kilometrach drogi stajemy. Spuszczają dwie łodzie i kilku ludzi z załogi uzbrojonych w długie noże odbija od parowca.

Trawę tę jedni nazywają *canarána*, inni znów dzielą tę nazwę na dwa wyrazy i wymawiają: *cánia-rana*. Cania — to zdrobnienie od canna — trzcina. Kto ma rację, nie wiadomo, dlatego też wolę podać obydwa brzmienia. Veiga oczywiście wie jak zawsze najlepiej. Twierdzi, że to nazwa indyjska, ale większość podróżnych jest innego zdania. Oto przykład, jak ostrożnie trzeba przyjmować rozmaite nazwy i twierdzenia. Zresztą poza tzw. *lingua geral* [1]), którym jest *tupý*, wszystkie szczepy mówią tu własnymi narzeczami. Może być, że jedne zapożyczając słownictwa u innych nieraz je wypaczają; zdarza się to zresztą i u cywilizowanych narodów Europy.

Rozwija się na ten temat dyskusja. Ktoś wysuwa sprawę nazw. Mijamy w tej chwili piękną grupę wachlarzowatych palm niewysokich, ale o budowie, że tak powiem, klasycznej.

— Czy nie prawdziwy ogród botaniczny? Jakby je tu kto pielęgnował. Te *Mirity* to prawdziwa ozdoba tutejszych lasów.

[1]) Język ogólny.

— Jak pan powiedział? Miał pan na myśli *Buritý* [1]).

— Nie, mówię o tych wachlarzowatych.

— No właśnie, *Buritý*, ale nie *Miritý*.

Wołamy pilota, który jest czystej krwi Indianinem. Niech rozstrzyga. Po chwili wyprawiony służący przyprowadza nam typowego *tapuio*.

— Buritý — orzeka.

— Skądże pochodzi ta nazwa Miritý?

Indianin wzrusza ramionami.

Spór się zaostrza i nigdy byśmy go nie skończyli, gdyby nie nowy, nieoczekiwany widok. Brzeg od jakiegoś czasu się podnosił. W tym miejscu dochodzi do wysokości co najmniej dwudziestu metrów. Widać w nim jakby wklęśniecie, coś na kształt drewnianej rynny, a pod nią zwał drew. Jest to urządzenie do spuszczania drzewa na brzeg. Las leży na wyniosłości, a ponieważ nigdzie tu nie używa się ani wozów, ani zwierząt pociągowych, wymyślono pochyłą rynnę, która ułatwia zwózkę.

Na brzegu dwie olbrzymie Bertoletie. Część owoców już opadła, w górze tylko widać nieliczne okazy, które zdołały się wybić spod bujnego listowia. Z daleka przypominają kokosy obrane z powłoki włóknistej, takie, jak je przeważnie widzimy w handlu. Trochę dalej piękna grupa palm kokosowych oblepiona owocem.

Dyskusja ostatecznie upada. Zbliżamy się do Teffé, które uchodzi za najdalej wysunięty ośrodek cywilizacyjny na terytorium Brazylii. Inne osady nie mają już tego znaczenia.

Wysoki brzeg się urywa. Spora dolinka przecięta potokiem, w dole cegielnia, dalej na wzgórku pokaźny budynek z drzewa — jest to szkoła i siedziba księży z zakonu Św. Ducha. Założyli ją Francuzi, którzy tu kilkanaście lat pracowali. Po wojnie wycofali się gdzieś na kolonie francuskie. Obecnie osiedlili się tu Niemcy. Na lewo zatoka cała zasnuta zielenią.

---

[1]) W rzeczywistości botanika odróżnia te palmy: miritý — *Mauritia flexuosa*, Mast. i buritý — *Mauritia vinifera*, Mast. Ludność jednak przeważnie ich nie rozróżnia.

— Co to? pytają zaniepokojone Amerykanki.

Ryzykuję odpowiedź:

— Victoria regia. Nareszcie!

Roślina ta lubi czyste, niezmącone, spokojne wody. Właśnie kanał, którym płyniemy, ma wodę przezroczystą i jest pozbawiony prądu. Dla miejscowych nie jest to żadną rewelacją. Takie sobie niepotrzebne zielsko. Ale na nas, ludzi północy widok ten robi silne wrażenie, tym bardziej, że jest tak nieoczekiwany. Po blisko dwutygodniowej podróży Amazonką skłonni byliśmy przypuszczać, że tego cudu natury już nie ujrzymy. Większość podróżników twierdziła, że rośliny te znajdują się jedynie na jeziorach wewnętrznych.

Są i kwiaty podobne do olbrzymich nenufarów. Gdzieniegdzie wyrastają pąki wielkości ludzkiej głowy. Liście mają średnicę jedno lub dwumetrowej długości. Zarastają wodę tak szczelnie, że można by po nich spacerować. Brazylianie, przyzwyczajeni do bujnej natury i jej rozrostu, spoglądają na nasz entuzjazm ironicznie.

Znów domek. Na wyciętym w lesie poletku plantacja manioku. Dwie kobiety zajęte kopaniem. Doskonale widać, że niektóre korzenie mają około metra długości, a grube są jak duże szczapy; nać ma przeszło dwa i pół metra. Nic podobnego jeszcze nie widziałem. Mijamy skład drzewa i parę domków. Przed nami szeroka tafla wody, ciemna i przezroczysta. To rzeka Teffé. Zakręca tu na lewo. Tuż koło ujścia kanału, którym płynęliśmy, widać wylot innego, jeszcze piękniejszego niż poprzedni. Tędy mamy płynąć, gdy będziemy wracali na Amazonkę.

Do miasteczka jeszcze trzy kilometry. Brzeg zarośnięty drzewami, dalej sady, zarośla bananów, palm. Zawracamy jeszcze raz na lewo. Spory przerąb i wreszcie miasteczko.

Część domów murowana, bielą się ściany, czerwieni dachówka, mnóstwo drzew i zieleni, wśród liści złocą się pomarańcze. Trochę na uboczu spory gmach piętrowy. To szkoła i internat sióstr franciszkanek. Po drugiej stronie ulicy czerwony budynek, dwupiętrowy — seminarium dla księży. Na wprost, kościołek z niewielką wieżyczką, obok sklepy w małych

domkach piętrowych w stylu portugalskim. Zaraz za miastem rzeczka, która jest jakby jego granicą. Dalej tak zwane jezioro Teffé; stanowi ono właściwie rozszerzenie rzeki szerokości 14 kilometrów.

Korzystamy z kilku godzin postoju, by złożyć wizytę siostrom w zakładzie i powałęsać się po miasteczku.

W zakładzie zastaliśmy istną wieżę Babel rozmaitych narodowości. Siostry okazały się gościnne, wesołe i sympatyczne, szczególnie Francuzki. Włoszki i Brazylianki zachowywały się z rezerwą. Widoczne było, że nie miały usposobienia towarzyskiego, przeciwnie — podkreślały jakby swoim sposobem bycia, że sprawy doczesne ich nie interesują. Poczęstowano nas kawą i osmażanymi w cukrze *cajú* [1]). Znałem ten owoc z południowej Brazylii, ale Amerykanki zapragnęły obejrzeć go na krzakach. Dzięki temu zwiedziliśmy ogród, starannie utrzymany, pełen kwiatów i bluszczów, które całkowicie pokrywały wszystkie wewnętrzne mury i niektóre drzewa. Najwspanialej wyglądały fioletowe i pąsowe *Bougainvillea*, tak gęsto obrośnięte kwiatami, że liści zupełnie nie było widać.

Cajú wzbudziło zachwyt Amerykanek; krzak, a właściwie karłowate drzewko, o liściach brzydkich i mięsistych okryte było owocami, wyglądającymi jak żółtawe jabłuszka, podobnymi do rozmarynów, tylko na końcu każdego wyrastała duża, prawie czarnego koloru fasola, która stanowiła właściwe ziarno. Fasoli tej nie można brać do ust, gdyż piecze, jak najostrzejszy pieprz,[2]) natomiast owoc jest soczysty, kwaskowaty i niezwykle orzeźwiający. Zastanawialiśmy się, jaki jest lepszy, świeży czy osmażany; oba były pyszne.

W miasteczku niewiele było do oglądania. Nasza wizyta wzbudziła sensację wśród mieszkańców. Wychylano się z mieszkań i zapraszano do wnętrza. Kobiety z niekłamanym podziwem patrzyły na kapelusze i parasolki pań, mężczyźni z niemniejszym zachwytem podziwiali ich sylwetki i jasne włosy.

[1]) *Anacardium occidentale.*

[2]) Piecze właściwie tylko skórka na fasoli. Po podprażeniu skórka odstaje i samo ziarno smakuje jak migdał.

Postawne i dorodne, rzeczywiście odbijały energią i promiennością od ciemnych, drobnych, jakby zmatowanych i powolnych kreolek. Po powrocie na „Victorię" zastaliśmy tam dwie siostry, które przybyły z rewizytą i przyniosły koszyczek *cajú*. Za nic nie chciały przyjąć ofiarowywanych im czekoladek. Uważały widocznie, że prezent, którym nas obdarowały, straciłby wówczas całą swą wartość. Zaledwie zgodziły się skosztować jakiegoś likieru. Pomimo ciężkich warunków, w których niewątpliwie żyły tu i pracowały, zdradzały niezwykłą werwę i promieniejącą z oczu i postaci radość życia.

Przy tej tężyźnie duchowej energia naszych Amerykanek wyglądała raczej blado.

Rzeka Teffé ma niespełna tysiąc kilometrów długości, ale płynie w ostatecznie ustalonych brzegach, wodę ma przezroczystą i uważana jest za bardzo zdrową.

Wracamy z powrotem na Amazonkę. W nocy, stajemy przy Caiçára. Niewielka osada i spora, w pojęciu miejscowej ludności, gorzelnia. Wyrabiają tu także cukier z trzciny cukrowej. Jest to właściwie zgęszczona melasa, którą zawijają w liście bananowe i w tej formie wypuszczają na rynek. Tak wódkę, jak i melasę czuć fuzlami na kilka kroków, ale niewybredna publiczność bardzo sobie ceni i jedno i drugie.

Już mieliśmy odpływać, gdy otoczyło nas kilkanaście łodzi indyjskich mieszkającego w pobliżu szczepu Miranhas. Okazało się, że chcą skorzystać z parowca, by razem z łodziami dostać się do São Páulo de Olivença, o 4 dni drogi w górę. Po długich targach kapitan zgodził się ich zabrać, za opłatą 16 milrejsów za łódź. Mieli się żywić sami. Gdy im zaproponowano, ażeby pomagali przy ładowaniu drew, odrzucili propozycję z oburzeniem. Pytam kapitana, czy często mu się zdarzają podobni pasażerowie.

— Podczas prawie każdej podróży.

— A wie pan dlaczego oni jadą? Dla sportu. Po prostu chcą, żeby ich podciągnąć w górę, potem puszczają się z prądem. Uważają to za wielką przyjemność. Łowią po drodze ryby, polują. Po sześciu-siedmiu dniach są z powrotem.

Indianie mieli trochę pieniędzy, ale płacili głównie różnymi produktami. Były skóry pekari, wydr, małp, ocelotów, trochę kauczuku i kilkanaście żywych żółwi. Te ostatnie poszły do kuchni. Były między nimi dwa okazy średnicy blisko metrowej, ważące po 90 kilo. Po wpłaceniu należności wybrało się z nami w drogę dwunastu Indian z sześcioma łodziami.

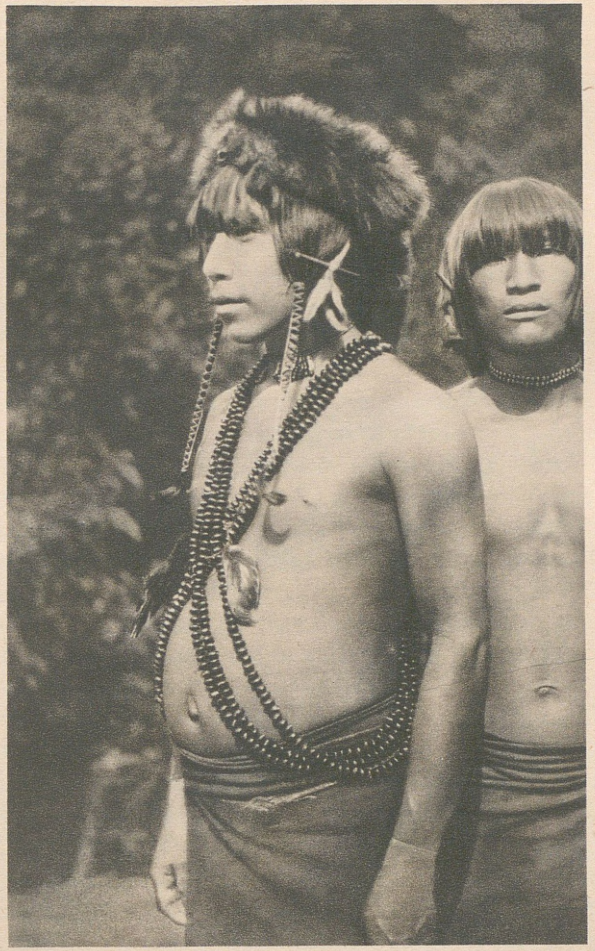
Było to pierwsze zetknięcie się nasze z Indianami żyjącymi jeszcze w stanie prawie dzikim. Jedni mieli na sobie jakby worki tkane z brązowych włókien, kilku było w spodniach, ale bez koszul. Mówili tylko po indyjsku. Gdy poczęstowałem ich papierosami, przyjęli je bez najmniejszego skrępowania. Usiedli w kółko, śmiejąc się i kiwając z wielkiej uciechy, zapalili papierosy zapałką, którą im podał jeden z marynarzy. Na otoczenie nie zwracali najmniejszej uwagi.

Ponieważ tylko jeden z pilotów mówił ich narzeczem, a ten przeważnie albo spał, albo stał przy sterze, więc nie mogłem przeprowadzić z nimi wywiadu.

Z rana poszedłem ich odwiedzić. Posilali się suszoną rybą. Łodzie zostały wciągnięte na pokład, ponieważ w nocy pokazały się na rzece zwały drzewa i nie trudno było przewidzieć, że zgniotłyby łodzie o burty parowca. Przyniosłem znów papierosów, żeby jakoś uzasadnić swoją wizytę i móc dokładniej obejrzeć rzeczy, które mieli ze sobą. Nie zobaczyłem jednak nic nadzwyczajnego. Znane mi już dawniej harpuny na długich trzonkach, łuki, strzały, garnki do gotowania wylepione z czarnej gliny i kilka koszy z zapasami. Jedno tylko zwróciło moją uwagę, a mianowicie małe woreczki przewieszone przez ramię, do których raz po raz któryś z nich sięgał.

— Co to? — zapytałem.

Zrozumieli widocznie i zaczęli jeden przez drugiego coś mówić, usiłując mi to wytłumaczyć, naturalnie bez skutku. Dopiero jeden z mechaników objaśnił, że jest to sproszkowana roślina, zwana *padú*, którą zażywają tak, jak górale peruwiańscy i boliwijscy kokę. Musi być przyjemna i działać podniecająco. Jeden z Indian podał mi swój woreczek, żebym spróbował; gdy podziękowałem, ubawiło ich to widocznie, aż się pokładali ze śmiechu.



Indianie znad Rio Negro

Przeglądam notatnik geologa dotyczący przejścia od rzeki Pisqui na Ucayali do Aguaytii; mniej więcej sto kilometrów drogi przez las dziewiczy. Szedł tą drogą z czterdziestu Indianami. Prowadzili ekspedycję dwaj *caschibos* ze szczepu, który uchodzi za szczep ludożerczy. Amerykanin się śmieje. Nie lepsi, ale i nie gorsi od innych. Jeśli jedzą ludzi, to tylko zmarłych, zresztą jest to u nich wyrazem przywiązania i szacunku. Standart Oil zatrudnia ich w charakterze przewodników i dozorców. Są odważni, silni i umieją wzbudzać posłuch u innych. Żaden Indianin z innego szczepu nie ośmieli się z nimi zadzierać. Maczuga w jednej chwili przekona go o konieczności bezwzględnego posłuchu...

Notatnik, który dostałem, nie zawiera żadnych danych geologicznych, są one trzymane w tajemnicy. Znajduję w nim jedynie spostrzeżenia dotyczące temperatury, flory i fauny. Podróżnicy widzieli tam mnóstwo mahoni; te, które były na samej drodze, mierzono. Kilka razy spotykam cyfry: 20, 24, 30 stóp w obwodzie. Zwierząt spotykano mało, zresztą w lesie trudno je podejść i dojrzeć. Teren dość wyniosły i suchy. Wbrew opinii, że grasują tam duże bandy Indian niesłychanie napastliwych, nie natknęli się na żadne ślady ich istnienia. Las był jakby wymarły.

Dnia tego mijamy deltę jednego z większych dopływów Amazonki — Juruá. Rozpiętość jej wynosi 150 kilometrów. Rzeka ma 3.200 kilometrów długości, jest bogata w kauczuk i spławna niemal na całej swej długości, szczególnie w porze dżdżystej.

Legenda indyjska twierdzi, że mieszkali tu niegdyś ludzie mający ogony. Ponieważ w każdej legendzie jest trochę prawdy, próbuję ją uzasadnić wyglądem spotkanych przed chwilą małp o wydatnych wolach, nazywanych *guariba*; są to największe małpy, jakie tu widzieliśmy. Wzrostem dorównywują pawianom, ale budową czaszki raczej przypominają goryla, nie mają tylko jego wydatnych kłów. Veiga twierdzi, że legenda jest prawdziwa. Nie upieram się więc dłużej.

W górze rzeki, blisko na dwa tysiące pięćset kilometrów od ujścia, rząd brazylijski wybudował niedawno miasteczko

Cruzeiro do Sul, które jest stolicą departamentu Alto Juruá. Podobno liczy ono trzy tysiące mieszkańców i ma pewne możliwości rozwoju.

Przy ostatnim na zachód ramieniu delty jesteśmy świadkami rozmywania brzegu przez rzekę. Ogromne drzewa walą się w naszych oczach do wody, brzeg się osuwa coraz dalej i nowe szeregi drzew walą się na poprzednie. Trzask łamanych pni i konarów robi wrażenie grzmotu, od brzegu idzie ku nam ogromna fala, za nią druga i trzecia. Nawet potężna „Victoria" zaczyna się kołysać. Pasażerowie wybiegają z kajut. Nie wszyscy od razu zdają sobie sprawę z tego, co się dzieje. Krzyżują się zapytania i odpowiedzi. Po chwili walący się las zostaje za nami. Publiczność się uspokaja, ale wrażenie pozostaje niezatarte i cały parowiec rozbrzmiewa najrozmaitszymi uwagami.

Stajemy w Fonte Boa.

Miasteczko małe; kościołek, brzeg urwisty, prowadzą nań wysokie schody z poprzecznych balików. Oddajemy pocztę i zabieramy jednego pasażera. Tuż za miasteczkiem ukazuje się na brzegu grupa ogromnych drzew, okrytych białymi bukietami kwiatów; przysiąc by można, że są to krzewy bzu potwornej wysokości. Wyglądają czarująco. Nazywają się *mulateiro*, nadają się jedynie na drwa, ale mieszkańcy niechętnie je ścinają, gdyż zwykle pokryte są tysiącami mrówek, których ukąszenie parzy jak ogień.

Tuż obok kilka wyniosłych drzew, na które zwraca naszą uwagę Veiga. Są to *Abiurana*, dają one rodzaj gutaperki; sok ścina się spirytusem. Stąd dość duże koszty eksploatacji. Veiga twierdzi, że wiele zarobi pieniędzy ten, kto wynajdzie tańszy sposób otrzymywania gutaperki. Z drzew zrywają się z głośnym krakaniem czarne, duże ptaki o bardzo długich, ostrych dziobach. Jest to *coroca*, którego mięso uznawane jest przez myśliwych za jeden z najsmaczniejszych kąsków. Ptak ten trochę śmiesznie wygląda z tym swoim za długim i za cienkim dziobem, zupełnie nieproporcjonalnym do tułowia.

Pokazuje się teraz coraz więcej skupień drzew o jasnej, zielonej lub czerwonej, łuszczącej się korze. Kolory te są tak

intensywne, że drzewa wyglądają jak pomalowane. To *Capirona* [1]). Drzewo jest wyniosłe, mało rozgałęzione u dołu, w górze tworzy rozłożyste korony. Twierdzą wszyscy, że daje najlepsze drwa i doskonały węgiel; drewno ma białe, zwięzłe i błyszczące; podobno nadaje się ono na podłogi i meble. Niektóre drzewa obwieszone długimi gniazdami kacyków — *japiím*, jak je tu nazywają.

Wieczorem, gdy statek za bardzo zbliżył się do brzegu, zostajemy napadnięci przez niespotykane dotąd owady; są one ciemnożółte i mają budowę miniaturowego skorpiona nie posiadającego szczypiec. W ten sam sposób jednak podnoszą ogon i tak samo nim uderzają. Jad, który mają w ogonie, pali podobno jak kwas siarczany, a ranka trudno się goi. Owady te mają skrzydła jak u termitów, które tak samo łatwo odpadają; łażą wtedy dość prędko. Chociaż było ich sporo, nie ugryzły nikogo i nie mieliśmy możności sprawdzić przypisywanych im złośliwych właściwości. Kto wie, może to jedna z tak pospolitych na świecie potwarzy.

Z rana mijamy Jutahý. Rzeka o czarnej, ale czystej wodzie i dość silnym prądzie. Wrzyna się jakby w Amazonkę i nie od razu miesza się z jej wodami, lecz odcina się od niej na znacznej przestrzeni; w końcu stwarza wir. Wody Amazonki zawracają na prawo, Jutahý na lewo, a pośrodku dobywają się z głębi nurtu skotłowane, plamiste fale, które trochę dalej zlewają się z Amazonką w jedną całość.

Rzeka „mała" ma tysiąc dwieście kilometrów, z czego tylko 700 dostępne dla parowców.

W nocy dobijamy do Tocantíns. Odbywa się tu wielkie ładowanie drzewa, co przeszkadza nam spać. Zabieramy ze sobą 50 tysięcy szczap. Tu kończy się depresja gruntu na lewym brzegu, o której wspominałem wyżej. Odtąd będziemy mieli znów wyraźnie zaznaczoną szkarpę i brzeg niezalewny.

Zaczynają pokazywać się nowe palmy. Najważniejsza jest *Yarina*, dająca duże, niesłychanie twarde, trójkątne orzechy

[1]) *Calycophyllum spruceanum.*

nazywane *marfim vegetal* — kość słoniowa roślinna. Przez Belém przewozi się rocznie dziesięć tysięcy ton tych orzechów. Większość tak zwanych kościanych guzików z nich właśnie się wyrabia. Palma jest niska, o pniu bardzo krótkim, ma piękne pierzaste l ście, których używa się na pokrycie dachów. Druga użyteczna palma to *baccaba*. Wyniosła, podobna do assahý, ma trochę grubsze liście i mniejsze owoce, z których otrzymuje się wino. Jej kolba jest również jadalna. Podszycie na przestrzeni całych kilometrów stanowi tu palma *Murumurú*, niska, wyrastająca jakby wprost z ziemi bez pnia, a nawet bez żadnego zgrubienia. Owoce jej po wygniciu miąższu dostarczają ogromnych ilości bardzo twardych ziaren wielkości orzecha włoskiego. Zapalone dają silny i długo utrzymujący się żar, nadają się więc nawet do palenia w kuźni, gdzie zastępują węgiel kamienny.

Około pierwszej po południu jesteśmy w ujściu Putumaio, inaczej Icá. Rzeka ma blisko dwa tysiące kilometrów, dostępna dla parowców na przestrzeni 1.700 kilometrów. Łączy ona te okolice z Kolumbią, gdzie ma swe źródła na zboczach wulkanu Bordoncillo. Brzegi jej są mało zamieszkane, rośnie tu dużo dzikiego kakao, salsaparilli i tak zwanych *strychnos*, używanych do wyrobu kurary [1]); rozchodzi się stąd kurara między Indianami dorzecza Amazonki, sprzedawana w małych glinianych garnuszkach, wygląda jak lep.

Ujście jest szerokie, odcina się wyraźnie. Prąd silny. Mała mieścina Santo Antonio na lewym brzegu w stanie wysokiego zaniedbania, niezbyt dobre daje pojęcie o mieszkańcach, ale okolica jest prześliczna, widok na rzekę i obramujące ją brzegi jeden z piękniejszych, jakie widziałem.

Mijamy parę małych osiedli, wreszcie São Paulo de Olivença, gdzie opuszczają nas Indianie. Prawie przy samym

[1]) Jedna z najsilniejszych trucizn na świecie, nieszkodliwa przy użyciu wewnętrznym, bezwarunkowo śmiertelna przy dostaniu się do krwi. Indianie używają jej prawie wyłącznie do polowania na zwierzęta. W tym celu maczają w niej końce drobnych strzał, które następnie wydmuchują za pomocą świstuł, nazywanych *Pucana*.

brzegu stoi kilkanaście drzew kauczukowych. Są to słynne *Hevea*. Pierwszy raz je widzimy nad wodą, zwykle trzeba ich szukać w lesie.

Za São Paulo lasy są coraz piękniejsze. Wyniosłe drzewa, palmy okryte bluszczami, wysokie brzegi. Rzeka przez dłuższy czas płynie równym, pełnym korytem, wygląda majestatycznie. Na południu pasmo wzgórz.

O czwartej po południu podróż przerywa nam deszcz. Leje tak, że świata Bożego nie widać. Parowiec rzuca kotwicę. Głębia ogromna. Kotwica nie może dobrze uchwycić dna. Ruszamy w kierunku domniemanego brzegu, gdyż nic nie widać. Wreszcie zakotwiczamy statek na sześćdziesięciometrowej głębinie.

Stoimy w miejscu cztery godziny. W końcu ulewa ustała, niebo się oczyściło, wyjrzały gwiazdy. Ruszyliśmy w dalszą drogę.

O wschodzie słońca jesteśmy w Belém. Wygląda tak, jakby nie było tu wcale ludzi. Przy brzegu silny prąd, jakiego nie spotkaliśmy jeszcze. Jakaś łódź indyjska z dwomia wiosarzami próbuje podpłynąć w górę. Wiosłują zawzięcie bez przerwy. Chwilami mimo wysiłku stoją w miejscu, chwilami posuwają się parę metrów naprzód, ale zaraz znosi ich woda i zaczynają pracę na nowo; wreszcie przysuwają się prawie do samego brzegu i odpychają się odeń długimi trzcinami. Teraz powoli mogą się poruszać.

Gdy próbujemy ruszyć z miejsca, prąd znosi nas o kilkadziesiąt metrów. Dopiero komenda: „pełną parą naprzód" pozwala nam wyrwać się z tej bystrzyny. O dwieście metrów od brzegu prąd wydaje się normalny, ale też i miejsce płytsze.

Przed wieczorem stajemy w Recreio. Parę domków ukrytych w sadzie budzi nasze zainteresowanie. Veiga wybiera się z nami. Zaraz na wstępie staję przed czymś dla mnie nowym. Pomarańcze, czy nie pomarańcze? Drzewa podobne, liście także, tylko jaśniejsze i mniej sztywne, owoce kształtem również je przypominają, kolor mają zielonkawy z żółtawym odcieniem, ale przy korzonku są prawie ciemne. Na pewno nie pomarańcze.

— *Caimito* – informuje Veiga — tu nazywają je *ábio*. Zrywamy parę. Obrać nie można, bo skórka przylega do miąższu. Ścinam wierzchołek scyzorykiem. We środku delikatna, prawie przejrzysta galaretowata masa, chłodna, soczysta, rozpływa się w ustach, żadnych plewek ani włókien, kilka dużych ziarn oddzielających się łatwo. Pyszne. Amerykanki zachwycone. Nie spodziewały się czegoś podobnego. Tylko, po zjedzeniu, ściąga z lekka wargi. Ale Veiga naturalnie zna środek: należy przeciągnąć po wargach kawałkiem cytryny, albo ostatecznie pomarańczy. Zresztą można się do tego przyzwyczaić.

Zachęceni dobrym początkiem, idziemy dalej oglądać ogród. O kilka kroków od nas rośnie pomarańcza, owoców nie dużo, ale niezwykle okazałe, prawie czerwone z silnie pomarszczoną skórką. Jedna z pań sięga po owoc. Gospodarz się uśmiecha.

— Nao serve. Nie zdatne do jedzenia.

— Dlaczego? pytamy.

— Gorzkie — objaśnia Veiga. Skórka nadaje się do osmażenia i na konfitury.

— Wie pan — zwraca się do mnie — że one są tu drogie. Zwykłych nikt nie kupuje, bo wszyscy je mają, ale te gorzkie spotyka się rzadko, jakoś nie wszędzie rosną; nie rozumiem dlaczego; zresztą mają mało pestek i są trudne do hodowli; jedno na sto wschodzi. Nasze kobiety bardzo ich poszukują do smażenia i za jedną gotowe są dać pięć a nawet dziesięć słodkich. Czasem wyrastają olbrzymie, blisko kilogramowej wagi; te tutaj — to drobiazg. Ale ja tu państwu coś pokażę; byłbym zapomniał.

— Czy macie *mecheriqueirę*? — zwrócił się do gospodarza.

— Nie znam.

— No jakże, *sapotilha?*

— *Sapotilhę* mamy, tam tuż przy domu.

— Tu widzi pan, niby jeden kraj i niby te same prawie rośliny. Ale od Manaos w dół daremnie byś pan szukał *sapotilhi*, a w górę od Manaos *mecheriqueiry*, a przecież to to samo. Tu na zachodzie wreszcie często używają nazw hiszpańskich, albo

indyjskich ale pochodzących od szczepów zachodnich. Prawdziwa wieża Babel. Nowemu przybyszowi nie łatwo w tym wszystkim się zorientować. Rzeki na przykład mają czasem po pięć, sześć nazw. Rio Negro tośmy sami niedawno tak nazwali. Siedem nazw było za mało, tośmy dodali ósmą.

— Jakież siedem?

— Zaraz, zaraz — zaczął się zastanawiać, — żeby tylko języka nie połamać: Guasama, Quiarý, Guriguacurú, Uruna, Ueneassu, Ueneya, Guainia. Uf! Każdy szczep inaczej.

Zerwano nam kilka *sapotilhi*. Niewielkie jabłuszka, o zielonkawej skórce, wypełnione delikatnym, przyjemnie pachnącym miąższem, coś pośredniego między pomarańczą a tylko co poznaną *caimito*, w środku dwie czarne płaskie pestki.

— *Very fine*, opiniują Amerykanki.

Jestem tego samego zdania. Prawdziwa kopalnia owoców. Ale Veiga nie daje za wygraną. Znają go tu dobrze. Czuje się jak u siebie.

— *Maracujá* macie?

Znów nieporozumienie.

— Aha! *granadilla*, jakże, ale mamy tylko tę dużą.

— Dawajcie dużą.

Podchodzimy do wysokiego ogrodzenia, okrytego bluszczem, o bardzo ładnych silnie wyciętych liściach. Wiszą tu duże zielone kule, wielkości gęsich jaj; dojrzałe owoce mają gdzieniegdzie brązowy odcień. Gospodarz wybiera nam najdojrzalsze. Skórka twarda, trzeba nadciąć nożem. W środku ciemnoszara galaretowata masa, pełna drobniutkich pestek. Owoc wygląda jak olbrzymi agrest. Trzeba go wysysać. Chłodny, kwaskowaty, rzeźwiący. Amerykanki zachwycone. Veiga twierdzi, że małe fioletowe gatunki są delikatniejsze. Chętnie wierzymy, ale i te są doskonałe. Ktoś dostrzegł kilka spóźnionych kwiatów. Zielone, duże, o wymyślnej budowie, ze sporym rozgałęzionym słupkiem pośrodku. Można by je uważać za jakiś oryginalny gatunek orchidei.

Veiga spogląda na nas z dumą. Niestety, nad ranem ma już opuścić parowiec. Chce się nam jeszcze przysłużyć przed

pożegnaniem. Wydaje jakiś rozkaz, którego nie rozumiem. Jeden z chłopaków otaczających nas podejmuje się prowadzić. Wychodzimy za ogrodzenie; ktoś niesie blaszany kubek. Idziemy krętą ścieżką w głąb lasu. Po kilku minutach jesteśmy na miejscu. Tuż przy ścieżce rozłożyste, spore drzewo o gęstym ulistwieniu. Przypomina znane mi z południa Brazylii *loro*. Veiga przyznaje mi słuszność, powiada, że należy ono do tej samej rodziny, ale ma tu nieznane na południu właściwości. Wyciąga nóż i ostrzem robi dość głębokie nacięcie na korze. Cieniutką stróżką zaczyna płynąć sok. Kubek napełnia się dość szybko. Veiga przytyka zapaloną zapałkę do jego zawartości. Płyn zaczyna pryskać i pojawiają się nikłe płomyki; zapałka gaśnie. Czekamy z pewnym niedowierzaniem, co będzie dalej. Ale Veiga nie traci cierpliwości. Zapala nową zapałkę i znów przytyka ją do powierzchni. Po chwili płyn zajął się nikłym wprawdzie, ale jasnym płomieniem.

Stoimy zdziwieni. Ktoś próbuje zapalić papierosa, jakby nie wierzył, że widzi prawdziwy płomień. Udało się naturalnie. Veiga triumfuje. Jest to *Inamuhý*, jedno z cudownych drzew Amazonki. Niestety gwizdek z „Victorii" przypomina nam w tej chwili, że musimy kończyć tę poglądową lekcję botaniki. Naszej dziennikarce wyrywa się — *Goddam!*

Przed samym odejściem, już przy furtce, Veiga pokazuje nam dwa krzaki trochę przypominające liśćmi maniok, na których wiszą jakby drobne fasolki o ziarnach podobnych do rycynusu.

— Niech państwo trochę wezmą, w podróży się przyda. Smakuje jak migdał. Dwa orzeszki dobrze pogryzione popić dobrym łykiem wody — wystarczy. Pewniejsze od rycyny. — Pinião — proszę zapamiętać.

Dnia tego siedzieliśmy jak zwykle wieczorem w towarzystwie Veigi. Rozmawialiśmy o sprawach gospodarczych. Veiga mówi o błędnej polityce rządów stanowych i federalnych, które nie umieją wykorzystać możliwości gospodarczych kraju. Przeceniane są obecne bogactwa, a niedoceniana jest potrzeba położenia trwałych podstaw pod przyszły rozwój tego olbrzymiego

terytorium. Krótki okres bajecznych zarobków w czasach wysokich cen na kauczuku przyczynił się do powstania poglądu, że ziemia ta jest kopalnią złota. Cała polityka ograniczała się do pobierania wysokich opłat za wywóz i przywóz towaru, pomijając zupełnie zagadnienia, których miejscowe sfery nie umieją i nie mogą rozwiązać. Do tych spraw należy między innymi zagadnienie kolonizacji. Na kolonizację swoją południowa Brazylia wydała setki milionów i w ten sposób stworzyła podstawy do swego rozwoju gospodarczego. Tu nie wydano ani grosza. Dla Brazylian z południa dorzecze Amazonki stanowi jeszcze krainę legendarną, którą chętnie nazywają Chinami. Nikt jej nie zna i nie bada.

— Tymczasem nie są to Chiny, a Afryka — mówi Veiga — gdzie rządzą obcokrajowcy. Anglicy przede wszystkim. Dość spojrzeć na kapitał. Jedyne towarzystwo parowcowe, dzięki któremu płyniemy, nawet nazwę ma obcą, nie brazylijską. „Amazon River Steam Navigation Co". Bardzo dźwięczne, nieprawdaż? „Port of Pará". „Manaos Harboor" i tak dalej i tak dalej. Nic nie mam przeciwko kapitałowi zagranicznemu na tym terenie, ale nie zgodzę się na to, aby on narzucał nam politykę i ceny. Jedynie dla ruchu pasażerskiego mamy tu pewne ułatwienia, ale płacimy za to dwa miliony sześćset tysięcy milrejsów rocznej subwencji. To nie wyrównywa strat, które ponosimy na przewozie naszych produktów. Booth Line mająca tu nie prawny, ale faktyczny monopol na transporty, pobiera przeważnie za przewóz towarów po Amazonce opłaty przewyższające koszty przewozu z Belém do Europy. Zresztą ma niesłychanie zróżniczkowaną taryfę, która daje pole do wszelkiego rodzaju nadużyć. Toteż jesteśmy tu gospodarzami tylko z imienia i — dopóki się to nie zmieni, nie widzę żadnego innego rozwiązania sytuacji.

Będziemy wegetować, bo życie tu jest łatwe. Widział pan trochę nasze rolnictwo. Chyba nie ma na kuli ziemskiej lepszych warunków, wszystko rodzi się i rozwija fantastycznie. Znam Anglika, który opowiada, że nigdy nie pozostawia laski na dworze, gdy wchodzi np. do sklepu, z obawy, by mu nie zakwitła,

nim wyjdzie. Las jest pełen owoców, jeśli nie zawsze nadających się na pokarm dla ludzi, to stanowiących doskonałe pożywienie dla nierogacizny i ptactwa domowego. Z soku niektórych drzew wyrabia się mydło. Sam pan się przekonał, że pewnych roślin można używać do oświetlenia. Drzew odpowiednich na budowle, budowę statków i wyrób mebli jest ilość niesłychana. Ileż tu roślin lekarskich, włókna itd. itd. Wszystko to czeka na człowieka. Boć przecie nie powie pan, że terytorium odpowiadające wielkością połowie Europy, może rozwijać się przy czterystu tysiącach ludności jak w stanie Amazonas, a nawet miliona czterystu tysięcy, jak w stanie Pará. Toć w porównaniu z tym nawet Afryka wydaje się krajem przeludnionym. A jak pan sobie wyobraża jakąkolwiek pracę i rozwój bez ludzi? Dlaczego tu nie przyszli? To już wina propagandy, a właściwie jej braku.

Mój Veiga miał oczywiście rację. Należy jednak pamiętać, że jeżeli nie łatwo jest robić propagandę kraju nieznanego, na którym żadne oskarżenia nie ciążą, to o ileż jest to trudniejsze, jeśli idzie o terytorium, owiane legendą jakiejś bliżej nieokreślonej grozy, do której różni podróżnicy i badacze dodali wiele zupełnie konkretnych zarzutów. Jedni nie znaleźli tu obiecywanego Eldorado, drugich przygnębiły ogrom i niedające się wzrokiem objąć przestrzenie, zniechęciły trudności podróży, niebezpieczeństwo zabłąkania się w tym labiryncie rzek, kanałów, jezior, w tej nieprzebytej, nieprzystępnej, ciągnącej się tysiącami kilometrów puszczy. Nieliczna dbająca o swoją swobodę ludność nie tylko nie ułatwiała badań, ale je utrudniała w najwyższym stopniu. Trzeba było mieć nerwy Livingstonów, Stanley'ów, a bodaj Gordonów. Toteż odkrycia odbywały się tu drogą zbrojnych napadów, budziły gwałtowne sprzeciwy, powodowały krwawe represje. Wysiłki i ryzyko nie przynosiły doraźnych rezultatów. Nie było ani złota, ani drogich kamieni, ani kości słoniowej. Zniechęcało to awanturników, utrudniało badaczom zdobywanie środków dla swych przedsięwzięć, nawet wtedy gdy nie mieli oni na celu osobistych korzyści.



Melonowiec

OPOWIEŚĆ VEIGI

Nie chciało mi się spać. Wziąłem parę cygar i wyszedłem na werandę. Noc była wymarzona. Lekki wiaterek zalatywał od strony puszczy niosąc jakieś nieznane wonie i muskał pieściwie twarz. Po ugwieżdżonym niebie goniły się nikłe chmurki srebrząc się w blasku księżyca. Cicho było i spokojnie. Usadowiłem się wygodnie na leżaku.

Wszedł Veiga, mniej natarczywy niż zwykle i oparł się o parapet.

— Nie śpi pan?

— Jakoś mi się nie chce. Zresztą wysiadam za parę godzin.

— Piękna noc. Tylko marzyć. Może cygarko?

— Dziękuję. A, corona! Dawno ich nie paliłem. Dawniej... szkoda gadać. Zresztą i mnie ta noc rozmarzyła. Przypomniała mi się historia...

Zamilkł.

— Cóż za historia? Niech pan opowie. Chętnie pana posłucham.

— Taka sama była noc i gdyby nie dramatyczne jej zakończenie, byłbym jej może nie pamiętał. A tak staje mi zawsze przed oczyma. Dużo widziałem i przeżyłem, ale tego wypadku nie mogę wspominać bez wzruszenia.

— Jeśli to rani pańskie serce, to przepraszam...

— Zresztą niech będzie, nie ma w tym nic osobistego. Byłem w to zamieszany zupełnie przypadkowo. Ale czasem lżej być aktorem dramatu, niż jego widzem. Gorzej dla biednej Daisy.

— Więc kobieta? Cóż to za Daisy?

— Nie wiem nawet, czy żyje. Ostatni raz miałem od niej wiadomość w 18 roku; przysłała mi kartkę z pozdrowieniem i wiadomością, że poszła jako pielęgniarka na front. Od tego czasu nic o niej nie słyszałem.

Usiadł w drugim leżaku i zaciągnął się cygarem. Żarzyło się jakiś czas silnie w pomroce werandy. Veiga widocznie porządkował wspomnienia. Nie chciałem mu przeszkadzać. Milczałem.

— Pyszne. Słyszał pan kiedy o *piraniach* [1])?

— Oczywiście, nawet oglądałem złowione.

— Diabelne ryby. Wie pan, że potrafią w ciągu kwadransa obrać z mięsa wołu. Naprawdę. Indianin pójdzie z nożem na jaguara, będzie stroił figle z krokodylami, przed piraniami zaś odczuwa paniczny strach i nie zrobi kroku w rzece, gdzie one się pojawiają. Z nimi nie ma żartów. Atak ich jest błyskawiczny, ukąszenia nad wyraz bolesne. Człowiek napadnięty przez piranie o cztery kroki od brzegu nie ma żadnej szansy uratowania się. Ból ukąszeń odbierze mu wszelką orientację, sparaliżuje go, niezdolny będzie ani do obrony, ani do ucieczki. Co tam człowiek. Pamiętam, jak kiedyś płynąc silnym zakrętem rzeki niespodziewanie wpadliśmy na jaguara, który raczył się na brzegu zabitym przed chwilą krokodylem. Byliśmy może o piętnaście kroków. Strzeliłem. Ranny jaguar odwrócił błyskawicznie głowę i rzucił się jednym susem do wody; nie lubi, gdy go kto niepokoi podczas uczty. Szczęściem nasza łódź miała dość wysoką burtę, szczególnie na dziobie i jaguar nie mógł dosięgnąć z wody krawędzi pazurami, inaczej w mgnieniu oka byłby na łodzi. Sternik nie stracił głowy i tak manewrował, żeby dziób mieć ciągle zwrócony przeciw niemu. Jaguar musiał krwawić, zwabiło to piranie; gdy się nań rzuciły, w minutę był już tylko drgającą masą skóry i mięsa. Te straszne stworzenia wyrywały mu kawałami ciało z pyska. Stałem na łodzi o kilka kroków od rozgrywającej się sceny. Chciałem posłać mu kulę, żeby się nie męczył, ale nie mogłem. Byłem jak sparaliżowany...

[1]) *Pirania* po portugalsku, *paña* po hiszpańsku — *Serrasalmo*.

– Ale przecież Daisy żyje, czy żyła?

— Niech pan poczeka.

— Już milczę.

— W 1908 roku... tak, dobrze mówię, w 1908, prowadziłem kilka przedsiębiorstw na rzekach Purús i Javarý. Kauczuk się wówczas opłacał, żyliśmy jak w gorączce, w ciągłym podnieceniu wydzierając sobie to czarne złoto, które bodajby nigdy nie pojawiło się nad Amazonką.

Miałem kilka parowczyków, którymi odbywałem podróże w górę rzeki, przesiadając się nieraz w trakcie podróży z jednego na drugi. Widzi pan, w Manaos, gdzie sprzedawaliśmy kauczuk, nie było trudności. Firmy były przedwojenne, solidne, mowy nie było o oszukiwaniu na wadze, czy na gatunku. Za towar płacono gotówką. Byle kto dawał sobie z tym radę. Trudności były na rzece, tam w głębi tych przeklętych lasów, nad brzegami mniejszych dopływów, gdzie łatwo spotkać się było z kulą konkurenta, lub strzałą mszczących się za zajmowanie ich terenów Indian. Dawaliśmy kauczerom [1]) ogromne kredyty, bo inaczej nie można było zdobyć kauczuku. Niech pan pamięta, że i oni ryzykowali życie. To nie żarty siedzieć po 7—8 miesięcy w dziewiczym lesie we dwóch, trzech, nieraz w pojedynkę. Bo to i Indianie i zwierzęta i deszcze i wylewy i gorąco, wreszcie malaria dokuczały ludziom. Drobne skaleczenie w tych warunkach często kończyło się śmiercią. Trzeba było mieć wytrzymałość muła, a nerwy jak postronki. Ciągle na straży, ciągle w obliczu niebezpieczeństwa, które nie wiadomo skąd, nie wiadomo jak mogło spaść na człowieka. *Hevea*, ani *castilloa* nie rosną zwarcie; szukając ich, trzeba się porządnie nabiegać po lesie. Gdy się już znajdzie drzewo, trzeba je połączyć ścieżką, u nas mówią — estradą [2]); jaka tam estrada! Ciągnęła się ona nieraz na przestrzeni pięciu, sześciu kilometrów, którą kauczero musiał przebywać dwa razy dziennie. W lesie to nie żarty. Trzeba było nieść wiadro, do którego zlewało się sok z zawie-

[1]) Zbieracz kauczuku.

[2]) Estrada — droga po portugalsku.

szonych na drzewie blaszanych kubków, robić dalsze nacięcia na drzewie, uważać pod nogi, żeby nie nadepnąć na węża, patrzeć na strony, żeby nie podejść za blisko do jaguara lub innego jakiego diabła, a po przybyciu do domu... Domu! cha, cha! do szałasu z chrustu i liści palmowych, ściąć zebrany sok nad ogniskiem, bo inaczej rozkładał się i tracił wszystkie swoje własności. A trzeba było jeszcze myśleć o pożywieniu, wodzie, specjalnym drzewie na ognisko, bo przy ścinaniu soku grał rolę dym, który dawały tylko niektóre drzewa, a te nie zawsze były w pobliżu.

Cóż dziwnego, że ludzie pili, dziczeli i że ginęli setkami.

Taki kauczero, gdy wywiózł swój kauczuk i oddał go kupcowi, pozostawał zwykle bez grosza. Robił więc nową umowę, brał gruby zadatek, kupował amunicję i żywność, a za resztę hulał w mieście. Dopiero jak stracił resztę pieniędzy, jechał na swoją estradę.

Trzeba było ich pilnować. Zakładaliśmy faktorie w lesie nad brzegami rzek, żeby zabierać gromadzony kauczuk w miarę postępu pracy, inaczej — „szukaj wiatru w polu". To nie była synekura. Trzeba mieć twardą rękę i dobre oko. Znać trzeba było ludzi i samemu ryzykować życie co chwila. Ciężka praca...

Miałem w Manaos odbiorcę, agenta pewnego domu angielskiego, Anglika oczywiście, z którym głównie pracowałem. Znaliśmy się od lat kilku. Czasem wyjeżdżał ze mną w teren na kontrolę. Wszystko szło nieźle, aż tu raptem przyjeżdża do niego żona. Ot, tak z wizytą na kilka miesięcy. Śliczna była, obraz zdrowia; nie dziwię się, że zatęskniła za mężem. Przywiozła ze sobą córeczkę sześcioletnią, piękną, jak tylko dzieci angielskie bywają. Układna, mądra nad wiek, szczebiotka, w krótkim czasie podbiła wszystkie serca w mieście. Daisy i Daisy! każdy ją wołał, każdy ją zaczepiał, przynoszono jej kwiaty, motyle, owoce i jakie tylko kto mógł smakołyki. Kokietka była; gdy wstrząsnęła tymi swymi jasnymi lokami, gdy spojrzała niebieskimi oczkami, robiła z nami co chciała. Nie było robotnika w porcie, który by się do niej nie uśmiechnął.

Matka lubiła sporty; sprawiła sobie łódź, na tenis chodziła codziennie. Patrzyliśmy na nią z szacunkiem; żona szefa przecież.

Któregoś dnia musiał nasz Anglik wyjechać na rzekę. Kobiety, bo i ta mała była już kobietką o silnej woli, uparły się, żeby mu towarzyszyć. Popłynęliśmy najlepszym naszym parowcem. Podróż się udała, obie wróciły zachwycone. W parę tygodni potem, znów jakaś sprawa zmusiła Anglika do wyjazdu, tym razem dalej, bo aż na Javarý. Ta sama historia, żona nie chciała słyszeć o tym, żeby go puścić samego. Wakacje jej się kończyły, miała wracać do Anglii, tym bardziej więc chciała towarzyszyć mężowi. Tym razem wybraliśmy się mniejszym parowczykiem, mieliśmy bowiem zapuścić się dość daleko w górę rzeki. Czas był prześliczny, pasażerów nie było, cały pokład mieliśmy dla siebie i podróż zamieniła się w fantastyczną wycieczkę. Stawaliśmy od czasu do czasu, żeby coś pokazać Daisy, narwać owoców lub zbierać kwiaty. Raz nawet natknęliśmy się na Victoria Regia i wywindowaliśmy na pokład parę jej olbrzymich liści i kwiatów ku uciesze małej. Szczebiot jej rozlegał się po całym parowcu i wszyscy byliśmy pod jej urokiem.

Kontrola dała dobre wyniki, naładowaliśmy pełne ładownie i pół pokładu kauczuku i mieliśmy już wracać, gdy przyszła w ostatniej chwili wiadomość, że Indianie napadli na jedną z dalszych faktoryj i wymordowali jej obsługę. Woda była dość niska, więc o dostaniu się tam parowcem nie było mowy. Postanowiłem udać się na miejsce łodzią indyjską z przyczepnym motorem, który zwykle woziłem ze sobą. Miało mi to zabrać najmniej cztery dni czasu. Anglicy się śpieszyli, wydałem więc polecenie kapitanowi, aby płynął do Manaos, a sam z sześciu ludźmi ruszyłem w górę.

Tymczasem spadły deszcze, zaczął się gwałtowny przybór i z trudem w ciągu trzech dni dostałem się na miejsce. Napad rzeczywiście się odbył, lecz ludzie się obronili, jeden z nich tylko trafiony dwukrotnie strzałą dogorywał. Zmarł na drugi dzień. Pochowaliśmy go, zostawiłem im dwóch ludzi, zapas amunicji i polecenie nie wydalania się z baraku do czasu, aż wrócę z większą ilością zbrojnych, co pozwoliłoby nam przed-

sięwziąć karną ekspedycję. Dzikich trzeba trzymać silną ręką, inaczej wymordowaliby nas doszczętnie. Walka z przyborem wyczerpała nam zapas benzyny i w powrotnej drodze byliśmy zmuszeni wiosłować, to też dopiero na piąty dzień dobiliśmy do ujścia Javarý. Po drodze doszła mnie wiadomość o katastrofie, której uległ nasz parowiec. Jedni twierdzili, że zatonął z całą załogą, inni, że część ludzi się uratowała. Dopytywałem się o los Daisy, ale nikt nie umiał mi nic pewnego powiedzieć. Może pan sobie wyobrazić, jak byłem podniecony. Zapewniam pana, że nie myślałem ani o parowcu, ani o kauczuku. Oddałbym wszystkie swoje parowce i cały kauczuk Amazonki za pomyślną wiadomość o losie moich Anglików. Dopiero w samym ujściu w niewielkiej osadzie znaleźliśmy uratowaną Angielkę, w malignie i mocno poranioną. Patrzyła na nas błędnym wzrokiem i powtarzała tylko jedno słowo — Daisy. Angielkę znaleziono uczepioną do wystającego z wody masztu. Pokaleczyły ją płynące z prądem pnie. Dzielna kobieta trzymała się masztu przez całą noc, gdyż jak można było wywnioskować z opowiadań, parowiec zatonął zaraz po zachodzie słońca, słyszano bowiem kilka jego rozpaczliwych gwizdków. Gdy ze świtem udano się na miejsce wypadku, znaleziono na wpół przytomną Angielkę i nikogo więcej. W pobliżu krążyły łodzie Indian, którzy uciekli widząc zbliżających się białych. To wszystko, czego się mogłem dowiedzieć.

Zorganizowałem natychmiast poszukiwania. Przepływający parowiec zaopatrzył mnie w zapas gazoliny, mogłem więc posługiwać się swoim motogodilem. Na jednej z wysepek znalazłem dwóch ludzi z załogi. Od nich dowiedziałem się, że gwałtowny przybór porwał nasz parowczyk i wciągnął go w znany wir przy ujściu. Obciążony ładunkiem statek chybnął się parę razy i zaczerpnął wody; zalało im palenisko. Uderzyli jeszcze z całym impetem w sterczący pień drzewa i widocznie obszycie zostało przedziurawione, dość, że parowiec zaczął tonąć. Rzucono się do łodzi, ale jedna z nich wywróciła się zaraz, a drugiej nie można było odczepić z łańcucha i poszła na dno z parowcem.

Małą widzieli z ojcem na pniu płynącego drzewa, ale było ciemno i stracili ich z oczu, sami wpław dobili do pierwszego brzegu, jaki napotkali. Od kilku dni żywili się jajami żółwi, które znajdowali na plaży. Na szczęście mieli przy sobie noże, więc mogli naciąć łyka i pniaków na budowę tratwy, którą zamierzali puścić się w dół rzeki. Zabrałem ich i dalej prowadziłem poszukiwania, ale prócz kilku drobiazgów nic nie znalazłem. Na miejscu katastrofy po dawnemu wystawał maszt i widać było pod wodą komin. W dwa miesiące potem, gdy woda znacznie opadła, udało nam się wydobyć prawie cały ładunek, o wydobyciu parowca nie było mowy; zasypał go piasek. Z czasem zaczęła się tam tworzyć wyspa, a dziś rośnie na tym miejscu puszcza.

— Smutny koniec — odezwałem się.

— Bynajmniej nie koniec.

— Znaleźliście Daisy i Anglika?

— Ależ z pana gorączka. Tragedia dopiero się zaczyna, a pan chce już postawić kropkę.

— Słucham więc. — Podałem mu papierosy.

Poprawił się na leżaku i otoczył się chmurą dymu.

Czas jakiś trwało milczenie.

— Kobietę dowiozłem do Manaos w stanie prawie beznadziejnym. Zaopiekowali się nią konsulostwo angielscy. Odwiedziłem ją po paru tygodniach, gdy dano mi znać, że czuje się lepiej.

Patrzała na mnie mętnym wzrokiem, jakby mnie nie poznawała.

— Czy pan nie wie, gdzie jest Daisy? zapytała.

— Dlaczego nikt mi nie mówi, gdzie jest Daisy? nie jesteście dla mnie dobrzy. Muszę sama poszukać Daisy.

— Niech pan nic nie mówi, — szepnęła konsulowa — zaraz o tym zapomni.

Kręciły mi się łzy w oczach.

— Kiedy odchodzi parowiec do Anglii? spytała jeszcze.

— Już wielki czas wyjeżdżać. Tylko muszę znaleźć Daisy, przecież nie pojadę bez niej.

Biedna dostała melancholii. Słabo poznawała ludzi, chodziła jak senna, coś do siebie mówiła, cały czas spędzała na poszukiwaniu maleńkiej.

Katastrofy nie pamiętała. Żyła w jakimś odosobnieniu duchowym, na wszystko patrzała obojętnie, nie słyszała, co do niej mówiono. Gdy tylko zjawił się ktoś nowy, pytała o Daisy.

Kazałem jeszcze raz przeszukać okolice katastrofy, ale bezskutecznie.

Tak przeszło dwa lata. Zaczęto zapominać o Daisy i Angielce, aż kiedyś na jakimś parowcu przysłuchując się rozmowie kauczerów usłyszałem spór dotyczący albinosów. Jedni twierdzili, że w Afryce pomiędzy murzynami spotyka się ludzi o kolorze skóry nie czarnym, a prawie białym. Inni uważali to za niemożliwe. Twierdzili, że albo byli to mieszańcy, albo wprost porwane dzieci ludzi białych, które wychowały się między murzynami. Ktoś twierdził nawet, że i tu wśród Indian można zobaczyć albinosów. Zakrzyczano go. On upierał się jednak. Słyszał, że gdzieś prawie u samych źródeł Javarý spotkano plemię, pośród którego była biała dziewczynka. Uderzyła mnie ta wiadomość. Przywołałem natychmiast kauczera i zacząłem go wypytywać. Nie wiele wiedział, ale wskazał mi ludzi, od których to słyszał.

Odnalazłem ich po paru miesiącach. Twierdzili, że płynąc rzeką natknęli się na toldo [1]) indyjskie, w którym zauważyli białą dziewczynkę. Gdy przybili do brzegu, żeby ją z bliska obejrzeć, Indianie porwali ją i uciekli.

Tyle dowiedziałem się od nich.

Od razu sobie pomyślałem, że to musiała być Daisy. Jak się tam dostała, mało mnie to interesowało. O zaginięciu jakiegoś innego dziecka na rzece nikt nie słyszał. Historia z albinosami mogła dotyczyć Afryki, ale nie Ameryki. Postanowiłem to zbadać. Przygotowałem dwie łodzie. Zabrałem sześciu swoich ludzi i ośmiu Indian; ruszyliśmy w górę rzeki. O swoich przypuszczeniach nie powiedziałem nikomu, nawet swojej załodze.

---

[1]) Wioska, osada koczowników.

Oficjalny cel wyprawy był prosty: jedziemy szukać nowych terenów kauczukowych. Tyle razy to robiłem i takie to było naturalne w tych czasach.

Przeszło miesiąc krążyliśmy po rozmaitych mniejszych dopływach w górze rzeki. W końcu moi towarzysze zaczęli się niecierpliwić. Musiałem zatrzymać się przy jakiejś plaży, skąd zaczęliśmy wrąbywać się w las. Po drodze udało mi się przyłączyć do ekspedycji dwóch miejscowych Indian, pierwszy raz stykających się z Europejczykami. Pomogli mi w tym moi Indianie, którzy chociaż pochodzili z nad Rio Negro, umieli porozumiewać się ze wszystkimi innymi plemionami językiem *tupý*, tak zwanym tu *lingua geral*. Dość, że zdobyliśmy dobrych przewodników i w dwa tygodnie zacechowaliśmy kilka pięknych seringali. Zacząłem już tracić nadzieję odkrycia tajemnicy, gdy przypadek naprowadził mnie znowu na ślad biednej Daisy. Nosiłem zawsze w pugilaresie sporą jej fotografię, którą dostałem jeszcze przed naszą tragiczną wycieczką. Wieczorami zasiadaliśmy do kolacji naokoło ogniska, żeby choć trochę zabezpieczyć się przed komarami.

Indianie tutejszym zwyczajem dotrzymywali nam towarzystwa. Poszukując jakiejś notatki otworzyłem pugilares i przysunąłem się z nim do ognia, zrobiłem to jednak tak niezręcznie, że część papierów wypadła na ziemię, a wraz z nimi fotografia maleńkiej. Któryś z moich ludzi usłużnie podniósł rozsypaną paczkę. Zobaczywszy fotografię od razu poznał Daisy. Inni również zaczęli ją oglądać. Z kolei i moi Indianie, którzy są niesłychanie ciekawi, też zbliżyli się, by ją obejrzeć. Dwaj nowi zainteresowali się także. Na pewno widzieli po raz pierwszy obrazek na papierze, nie wiedzieli, jak nań patrzeć; obracali fotografię bezradnie na wszystkie strony, aż jeden z moich ludzi ustawił im ją jak należy. Dzicy zaledwie zdali sobie sprawę z tego, co ona przedstawia, zaczęli gwałtownie gestykulować i coś do siebie swym gardłowym językiem szwargotać, aż zwróciło to moją uwagę. Kazałem jednemu ze swoich ludzi zapytać, co ich tak wzburzyło.

— Panie, oni mówią, że widzieli tę dziewczynkę.

— Gdzie widzieli i kiedy? — rzuciłem się gwałtownie.

— Panie, oni mówią, że dwa razy księżyc był w pełni od tego czasu, gdy widzieli jak sześć łodzi płynęło w górę dopływu Yapuna, o dzień drogi stąd. Na jednej z nich była ta dziewczynka.

— Zapytaj, czy znają tych Indian i czy mogliby mnie do nich zaprowadzić.

— Panie, oni mówią, że to są źli Indianie, że oni ich nie znają. Pewno Hivaros albo Omaguas. Oni polują na głowy ludzkie.

— Tu nie ma ani Hivaros, ani Omaguas, a zresztą Omaguas nie polują na głowy ludzkie. Powiedz im, że dostaną po strzelbie, jeśli mnie doprowadzą do tych Indian.

Po krótkiej rozmowie tłumacz oświadczył, że oni muszą najpierw sami popłynąć, by tamtych odnaleźć i przekonać się, czy można się do nich zbliżyć.

Zgodziłem się na wszystko. Gdybym miał więcej ludzi, osaczyłbym dzikich w nocy, odciął od lasu, a potem powystrzelał, ale z sześciu białymi, bo na Indian nie bardzo można było liczyć, byłoby to przedsięwzięcie chybione.

Stanęło na tym, że zaraz ruszą małą montarią w górę rzeki. Po pięciu minutach byli już na rzece.

Trzy dni przeżyłem jak w gorączce. Ostatnia wiadomość tak mię wzruszyła, że rady sobie dać nie mogłem. Nie wiem, czy o własną córkę więcej bym się niepokoił.

Trzeciego dnia w nocy zbudził mnie ruch w obozie.

Indianie wrócili. Odnaleźli dzikich, widzieli z daleka małą. Zastali około sześćdziesięciu ludzi i jedenaście łodzi.

Kazałem zapytać, czy są daleko.

O dzień drogi kanoą.

— Powiedz im, że jedziemy tam jutro z rana.

Dzicy zaczęli potrząsać głowami.

— Cóż znowu? zapytałem.

— Mówią, że tamci dzicy są niedobrzy. Motorami jechać nie można, usłyszą i uciekną.

— Po dłuższych naradach postanowiliśmy wysłać Indian po raz drugi, ale z zapasem towarów do wymiany. Albo wykupią

dziewczynę, albo ją ukradną. My postaramy się dotrzeć do ujścia dopływu, a jeśli woda pozwoli, posuniemy się dalej.

Nazajutrz kazałem wstawić do łodzi worek soli, skrzynkę paciorków i lusterek, tuzin noży, sztukę materiału na moskiteiry i wyprawiłem Indian znowu. Sami ruszyliśmy po południu, ażeby przed nocą być w ujściu.

Niestety woda opadła, ujście było silnie zaniesione piaskiem i nasze ciężkie łodzie nie mogły posunąć się dalej. Należało przekopać kanał; nie sposób było zrobić to w nocy. Musieliśmy czekać do rana. Płytkość ujścia miała jeszcze i tę niedogodność, że w razie niepomyślnej walki, odwrót byłby odcięty. Mieliśmy wprawdzie sześć winczenstrów, ale w nocy Indianie strzelaliby do nas z łuków jak do kaczek, podczas gdy celność naszych strzałów była wysoce problematyczna.

Na wszelki wypadek postawiłem dwa posterunki.

Już w nocy zbudzono mnie wiadomością, że płynie kanoa. Pobiegłem na brzeg plaży. Płynęła rzeczywiście środkiem nurtu, ale nie widać było w niej ludzi. Czyżby się urwała z uwięzi. Bardzo to pospolity wypadek, niemniej jednak wolałem to sprawdzić. Zresztą łódź była nieduża i mogła się nam przydać.

Doczekaliśmy, aż przeszła barrę [1]) i wypłynęła na Javarý. W trzy minuty potem nasza łódź była przy niej. Ledwie ją uchwycono, rozległy się przekleństwa i okrzyki przerażenia. Rozkazałem ludziom, żeby byli cicho i wracali prędzej. Gdy przybili do plaży, nie trudno było poznać naszą montarię, ale to, co wewnątrz ujrzałem, zmroziło mi krew w żyłach. Na dnie nogami do siebie zwróceni leżeli wysłani przeze mnie Indianie... bez głów. W piersi każdego z nich tkwił nóż wbity po rękojeść. Z towaru oczywiście ani śladu.

Indianie, jak pan widzi, okazali się rzeczywiście niedobrzy. Cóż było robić. Pochowałem biednych dzikich i postanowiłem wracać do Manaos. Za mało nas było, żeby coś przedsięwziąć. Po próbie, którą opłacili życiem moi wysłannicy, nie można było liczyć na pokojowe załatwienie sprawy.

---

[1]) Mielizny ujścia.

Moje odkrycie i opis ostatniego wypadku poruszyło całe Manaos. Zdecydowano zorganizować wyprawę. Znalazło się kilkudziesięciu ochotników. Nie brakło i takich, którzy nie mogąc jechać ofiarowywali znaczne sumy na koszt ekwipunku. O tym, żeby ktoś grosza zażądał za udział w wyprawie, nie było w ogóle mowy. Po dwu tygodniach ruszyliśmy w pięćdziesięciu chłopa wraz z trzydziestu Indianami w górę rzeki. Zabraliśmy pół tuzina większych łodzi i drugie pół tuzina małych, kilka motorów przyczepnych, zapas żywności i gazoliny. W ostatniej chwili ktoś poddał myśl zabrania ze sobą biednej matki. Nie było to ani potrzebne, ani mądre. Jednak jakoś nie umiałem się temu oprzeć. Konsul uznał to nawet za słuszne, dodał jej tylko do towarzystwa dawną nurse Daisy, która obecnie pełniła funkcje pielęgniarki przy naszej lady.

Wyjeżdżaliśmy pod złą wróżbą. Jeszcze w porcie jakiś niewidoczny pień drzewa dostał się w śrubę parowca i rozsadził ją w kawałki. Woda zaczęła znosić parowiec i mogłoby się skończyć katastrofą, bo prąd w Rio Negro był w tej chwili niezwykle silny, ale jeden z holowników portowych, który był pod parą, ruszył za nami, podał nam cumę i przyholował z powrotem do molo. Sześć godzin straciliśmy na reperację. Kazałem wziąć na wszelki wypadek cztery komplety śmig i wtedy dopiero ruszyliśmy znowu.

W drodze już daleko na Javarý zdarzył się nam znów wypadek, dość pospolity w dorzeczu Amazonki, który jednak tragicznie wpłynął na skutki naszej wyprawy. Parowce na Amazonce, diabli wiedzą po co, są wszystkie typu morskiego, tak zwane kilowe, o dość głębokim zanurzeniu i stosunkowo wąskie. Gdy taki parowiec siądzie na mieliźnie, a wody zacznie ubywać, z łatwością może się wywrócić, a wtedy woda go zaleje, piasek zaniesie i żadna siła ściągnąć go ani podnieść nie potrafi. Trzeba takiego pecha, że na dwa dni drogi przed plażą, gdzie mieliśmy ostatni postój w poprzedniej podróży i którą obrałem na bazę operacyjną, stanęliśmy dla nabrania drew przy brzegu. Już podczas przybijania czułem, że kil ociera się o piasek. Podczas ładowania łomot zrzucanych do ładowni

drew, bieganina ludzi itp. odwróciły uwagę tak kapitana i załogi jak i pasażerów od tego, że parowiec osiada coraz silniej. Dopiero w nocy po ukończeniu ładowania poczuliśmy, że dzieje się coś niezwykłego. Parowiec zaczął wyraźnie pochylać się na prawo. Wybiegłem na pokład, gdzie byli już kapitan i cała załoga. Wody ubywało gwałtownie, a w miarę tego parowiec nachylał się coraz bardziej; zrozumieliśmy, że jeszcze pół godziny, a położymy się zupełnie na bok. Postanowiliśmy rozładować statek.

Zagwizdano na alarm i wszyscy rzucili się do pomocy. Drwa wyrzucono za burtę, towary, gazolinę, motory itd. wyniesiono na brzeg, gdzie zaczęto budować szałas nad nimi. Bo wie pan zapewne, że taki gwałtowny spadek wody zwiastuje tu silne deszcze.

Dość, że nasz „Tirandentes" trochę się wyprostował, ale ani myślał płynąć. O dalszej na nim podróży nie można było marzyć. Podparliśmy go silnymi drągami ze wszystkich stron, jak to robią na stoczniach i postanowiliśmy zostawić go razem z załogą, a sami płynąć dalej łodziami.

Największy kłopot był z Angielką. Widząc ludzi ładujących się do łodzi, sama bez słowa przeniosła się do jednej z nich. Próbowałem razem z nurse odprowadzić ją na statek do kabiny, gdzie nic jej obecnie nie groziło, ale nie udawało się to. Wracała milcząc z jakimś dziwnym uporem, jak lunatyczka. W końcu trzeba było ją zabrać.

Wreszcie dobijamy do naszej plaży. Zostawiliśmy tam poprzednio kilka nieźle skleconych bud i sporo drzewa narąbanego na opał. Wszystko to znikło. U wejścia do seringalu w poprzek na dwóch widełkach leżała strzała. Miał to być znak, że dzicy nie życzą sobie naszych wizyt i że uważają ten teren za swój. Nieraz już spotykałem się z tymi dyplomatycznymi formami Indian, co nam nie przeszkadzało wrąbywać się coraz dalej i głębiej w lasy. Zdarzały się co prawda krwawe starcia, podstępne napady, ale kończyły się one nieodmiennie karnymi ekspedycjami, które odrzucały Indian coraz dalej, nie licząc tych, których zabito.

Gdyby nie dziecko w ręku tych diabłów, atakowalibyśmy ich bez wahania. Tu sprawa się komplikowała. Na razie potrzebny był wywiad. Najważniejsze było pytanie, czy dzicy są tam jeszcze i czy mała jest z nimi.

Zabrałem trzy mniejsze łodzie i po czterech ludzi do każdej z nich. Przed wieczorem jeszcze ukazało się ujście Japuny. Ku memu wielkiemu zdziwieniu z łatwością przepłynęliśmy barrę. Gdy się już ściemniło, można było, posługując się tanganami [1]), puścić się w górę rzeki. Po godzinie zamajaczyło przed nami ognisko. Trzeba było posuwać się ostrożnie i powoli, to też upłynęła znów godzina, nim dostaliśmy się w okolice tolda. Miałem mocną lornetkę i mogłem przyjrzeć się wszystkiemu, co się tam działo.

Całe toldo było widocznie poruszone. Przy paru ogniskach kobiety warzyły strawę. Z boku stał duży garnek prawdopodobnie z gotowym masato; jest to napój używany tutaj powszechnie. Około dziesięciu łodzi, wbrew zwyczajowi Indian, stało uwiązanych do palików; zwykle wyciągane bywają na brzeg. Najwidoczniej przygotowywano się do podróży. Ładowano na łodzie jakieś sprzęty, łuki, strzały. W porę przybyliśmy, — pomyślałem, — żeby tylko te diabły nie ruszyły w górę, bo jasne było, że teraz atakować ich nie mogłem. W zamieszaniu moglibyśmy postrzelić dziecko, zresztą nie ulegało wątpliwości, że zmuszeni do ucieczki, gotowi byliby zabić malutką. Zrozumieliby, że nie po co innego przybywamy. Dzicy nie znają litości. Potrafią nawet wyrżnąć starców ze swego plemienia, żeby im nie przeszkadzali w pochodach.

Daisy nie było widać, chociaż kilkoro mniejszych dzieci biegało po placyku między szałasami.

Trzeba się było uzbroić w cierpliwość. Dziwiło mnie trochę, że prócz kilku starszych kobiet przy ogniskach, nie było widać młodszych kobiet ani dziewcząt.

Raptem rozległ się głos bębenka i zza węgła wysunął się szereg postaci. Szły gęsiego, podnosząc zgięte w kolanach nogi

[1]) Drągi z miejscowej trzciny różniącej się od bambusu tym, że jest pełna.

WOJSKO POLSKIE

rytmicznym ruchem. Widocznie odjazd postanowiono uczcić uroczystością. Postacie posuwały się ku ogniskom. Teraz widać było wyraźnie, że są to kobiety. Były wszystkie wymalowane w wymyślne desenie, niektóre pręgowane jak tygrysy. Na przodzie szły starsze niewiasty, dalej najwidoczniej młodsze. Ostatnia szła Daisy również wymalowana, odbijała jednak od całego zespołu wiotką i jasną sylwetką.

Ścisnąłem karabin. Dwóch Indian, którzy byli w mojej łodzi, obdarzonych fenomenalnym wzrokiem, dojrzało dziewczynkę również mimo odległości. Jeden szarpnął mnie lekko za ubranie.

— Widzę, widzę — odpowiedziałem.

W szeregu zaczął się ruch; trzech Indian, stanowiących orkiestrę, towarzyszyło idącym z boku. Kobiety przy ogniskach odwróciły głowy. Mężczyźni przestali ładować łodzie. Jakieś dwie postacie zbliżyły się do garnka z masato i zaczęły z niego czerpać napój do mniejszych płaskich misek.

— Zaczyna się orgia — pomyślałem. Żeby to dziecko na tym nie ucierpiało.

Dusiłem się. Rozpiąłem kołnierz od koszuli; myślałem, że mnie krew zaleje. Przecież te diabły zawierają małżeństwa z dziesięcioletnimi dziećmi. Zaczyna się to od tańca i pijatyki. Trząsłem się ze zdenerwowania. Najgłupsze myśli przelatywały mi przez głowę. Oddałem lornetkę towarzyszowi i zmoczyłem sobie głowę wodą. Ledwie się opanowałem.

Postanowiłem czekać, by zobaczyć, co będą robili. Jedną łódź wyprawiłem do obozu, z rozkazem natychmiastowego przybycia i zajęcia stanowisk po obu stronach ujścia Japuny.

Dwie pozostałe posunąłem bliżej do tolda trzymając się zacienionej strony rzeczki. Mieliśmy je teraz jak na dłoni. Rozbrzmiewało dziką muzyką bębenków i piszczałek, okrzykami wojowników i rytmicznym tupotem stóp. Mężczyźni stworzyli otwarte koło posuwając się teraz to w jednym to w drugim kierunku, wywijając oszczepami i makanami [1]). Masato krą-

[1]) rodzaj długich, obosiecznych mieczów z twardego drzewa.

żyło coraz częściej, roznosiły je tańczącym dwie kobiety. Od czasu do czasu rozlegał się śmiech dziki, nieokiełznany, podobny do rżenia konia, aż ciarki człowieka przechodziły.

Kilku dzikich dość prędko się upiło; mają oni na ogół słabe głowy. Zwalili się na ziemię i leżeli tak tuż obok tańczących, ci zaś potrącali ich i deptali. Niektórych najwyraźniej wstrząsały konwulsje, czy też dławiła czkawka. Obraz był wstrętny. I pomyśleć, że pomiędzy tym plugastwem kręciła się biedna Daisy. Cud Boży, że wtedy nie zwariowałem. Sto razy brałem za karabin, ale strzelać teraz byłoby szaleństwem.

W końcu mężczyźni popadali na ziemię prawie wszyscy. Kobiety rozbiegły się a i Daisy gdzieś znikła.

Czekaliśmy świtu. Ledwie zajaśniała zorza i ukazały się pierwsze promienie słońca, zacząłem się cofać.

Z daleka placyk przed toldem wyglądał jak pobojowisko. Ludzie leżeli w nieprawdopodobnych pozach; powoli jednak przychodzili do siebie. Zaczął się ruch w osiedlu. Toteż postarałem się zniknąć z pola widzenia za pierwszym zakrętem rzeki.

Teraz dosłyszeliśmy tłumione odległością pykania motorów. Na szczęście dzikim w toldzie musiało porządnie jeszcze szumieć w głowach i zapewne uszło to ich uwagi.

Wreszcie i motory stanęły. Było to dowodem, że są już na stanowisku.

Popłynąłem więc do ujścia, ażeby porozumieć się z towarzyszami.

Ledwie ich znalazłem pod szuwarami. Ku memu przerażeniu Angielka siedziała w jednej z łodzi. Powiedziano mi, że za nic nie chciała zostać, że wreszcie nie wiadomo, gdzie byłoby bezpieczniej: czy tu, czy tam na plaży, gdzie tak samo dobrze mogli zjawić się Indianie. Wobec faktu dokonanego bezcelowe były spory, objąłem więc komendę jej łodzi; była największa i miała najsilniejszy motor.

Przy świetle dziennym znaleźliśmy w ujściu zatopiony pień drzewa najwyraźniej zrąbany kamiennymi siekierami. Leżał na ukos zmuszając wody Japuny do przepływania zwężonym korytem, co zwiększało prąd. Prąd wyrył już rodzaj kanału

w piasku; w ten sposób otwierało się przejście dla najgłębiej siedzących łodzi. Ten dowód znajomości hydrauliki potwierdził moje przypuszczenia, że dzicy zamierzają całą swoją flotyllą wypłynąć na rzekę. Zresztą był to czas lęgnięcia się żółwi i wyjazd ten miał uzasadnienie w zwyczajach tubylców. Jest to najlepsza chwila nie tylko do zbierania jaj, ale i do łapania żywych żółwi, które potem przez dłuższy czas stanowią ich pożywienie.

Plan ułożyliśmy wspólnie. Postanowiliśmy czekać w ukryciu na pojawienie się Indian. Gdy już wypłyną na Javarý, miałem zaatakować łódź, w której się będzie znajdować Daisy, reszta naszej flotylli rozproszy inne łodzie albo je zatopi. Zadanie moich towarzyszy było o tyle łatwiejsze, że nie potrzebowali zwracać uwagi na bezpieczeństwo dziecka, ani matki.

Niestety, cierpliwość nasza wystawiona była na ciężką próbę. Do południa Indianie się nie pokazali. Nie mogliśmy się ruszyć, ani wysłać wywiadowców. Na rzece dojrzano by ich natychmiast, Indianie umknęliby do lasu i wtedy wszystko byłoby stracone.

Ludzie siedzieli głodni, nie mogliśmy ani zapalić ogniska, żeby bodaj ugotować kawy, ani nawet palić papierosów. Wiedzieliśmy bowiem z doświadczenia, że dzicy wyczują najlżejszy zapach tytoniu, co ich ostrzeże, że gdzieś w pobliżu są biali.

Byliśmy u celu podróży i wszyscy rozumieli, że najmniejsza nieostrożność może zniweczyć nasze przedsięwzięcie bezpowrotnie. Dzień ciągnął się bez końca, zacząłem wreszcie przypuszczać, żeśmy się omylili.

Wtem ktoś usłyszał w oddali jakiś szmer, jakby odgłos uderzeń wioseł o wodę. Hałas zwiększał się stopniowo, wreszcie można go już było wyraźnie usłyszeć. To już nie parę wioseł wybijało swój rytmiczny takt, a kilkadziesiąt naraz i to w przyśpieszonym tempie. Dzicy swoim zwyczajem zaczęli się ścigać. To ich pasja. Mogli być zaledwie o pół kilometra od nas, gdy głosy nagle umilkły. Flotylla stanęła. Prawdopodobnie postanowili zrobić wywiad. To było najgorsze, wiedzieliśmy, że nic nie ujdzie ich uwagi, najmniejszy ślad na piasku, złamana

gałązka, zerwany niebacznie listek. Posiadają oni fenomenalne zdolności spostrzegawcze i niejednemu z nas cierpła skóra na myśl, że skończy się to fatalnie.

Ale głosy rozległy się znowu. Była to już wrzawa. Widocznie odbywano naradę. Jednym śpieszno było na rzekę i do żółwi, drudzy sprzeciwiali się doradzając ostrożność.

Tymczasem zaczęło się ściemniać.

Po chwili rozległ się znowu rytmiczny odgłos wioseł, teraz powolny i cichy. Łodzie musiały płynąć z przerwami.

Wreszcie ukazała się pierwsza; szła z prądem, Indianie nie wiosłowali. Byli tam sami mężczyźni, z dziesięciu ludzi. Dali się porwać nurtowi i wypłynęli prawie na środek rzeki. Po kilku minutach ukazała się druga, po dłuższej przerwie, trzecia. Wśród nas panowała najgłębsza cisza. Staraliśmy się nawet jak najlżej oddychać.

Ściemniało się coraz bardziej. Dusił mnie niepokój, że w ten sposób możemy przeoczyć łódź wiozącą Daisy, zresztą dzieci siedzących na dnie łodzi w ogóle nie mogliśmy widzieć. Dzicy może bezwiednie zastosowali taktykę, która dla nas, a właściwie dla Daisy, mogła skończyć się tragicznie. Nie mogliśmy podnieść alarmu, nim ostatnia łódź nie wypłynie z Japuny, bo nuż w niej właśnie będzie mała. Byłem w rozterce, żałowałem już, że nie zaatakowaliśmy tolda.

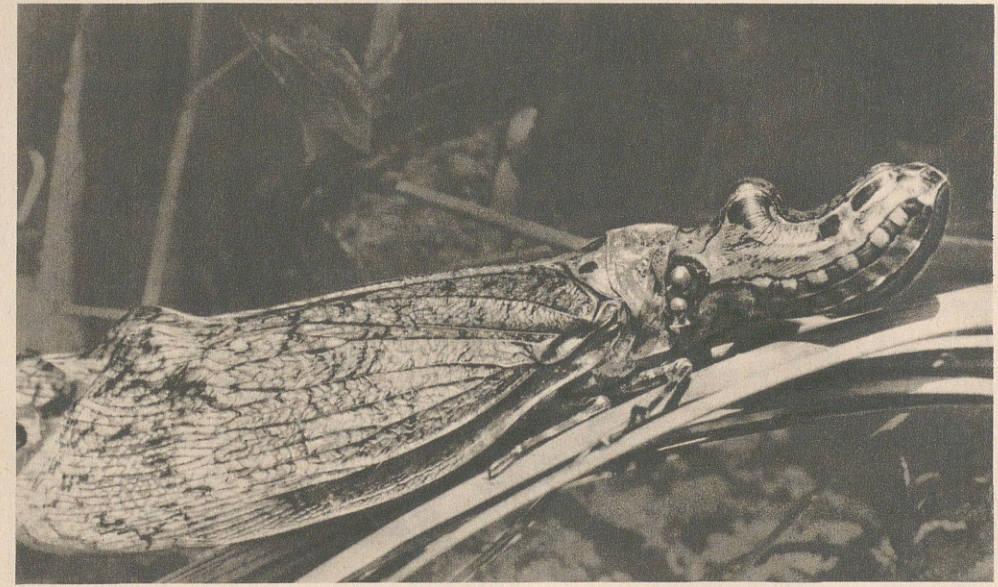
A tu łodzie wydostają się z ujścia oddalone jedna od drugiej blisko o sto kroków. Pierwsza znikła nam już z oczu. Dwie następne przepłynęły również, zaledwie o pięćdziesiąt kroków od nas, ale w zupełnej ciszy. Traciłem głowę do reszty gdy wtem zamarłem z przerażenia; za mną na łodzi rozległ się głośny okrzyk:

— Daisy! Daisy, moje dziecko!

Obejrzałem się. Angielka stała wyciągając ręce, jakby chciała się rzucić do wody. Ktoś chwycił ją wpół i przytrzymał.

— Mamo! mamo! — rozległ się krzyk na czwartej łodzi, stłumiony błyskawicznie dłonią jakiegoś Indianina.

Serce matki wyczuło to, czego my nie mogliśmy widzieć.



Latarnik — owad gorącej strefy brazylijskiej, ukazuje się tylko w nocy i budzi paniczny strach wśród ludności, która posądza go o jadowitość, gdy w rzeczywistości jest on najzupełniej nieszkodliwy

WOJSKO POLSKIE
1 Warszawski Pułk Zmotoryzowany
Pontonowo - Mostowy

Nr. .....

"_____ 194__



Gruchnąłem z winczestra na znak, że rozpoczynamy atak. Teraz byłem gotów pójść bodaj na noże z tymi diabłami, a myślę, że i reszta załogi również była zdecydowana na wszystko.

Ruszyliśmy wiosłami, bo w gąszczu niesposób było puścić motogodila. Krzyknąłem jeszcze na jedną z naszych łodzi, żeby szła za nami. Indianie rzucili się do wioseł. W Europie nikt nie uwierzy, jaką te dzikusy mogą rozwinąć szybkość. To nie wyścigi, tu gra idzie o życie. Posługując się swymi szerokimi i krótkimi wiosłami potrafią oni prześcignąć parowiec. Dość, że łódź Daisy ruszyła jak strzała. Nasz motor nie chce działać, jak zwykle bywa w pośpiechu. Odsadzili się od nas dobre pół kilometra i już traciliśmy ich z oczu, gdy wreszcie motor ruszył. Teraz zaczęliśmy nadrabiać straconą przestrzeń. Najwięcej obawiałem się, że wrzucą biedną Daisy do wody. To ich zwyczaj. A u nas w rzekach, jak panu wiadomo, pełno krokodyli. Więc zaczęliśmy sobie poza motorem pomagać wiosłami.

Dzicy spostrzegłszy, że nam nie umkną, skierowali swoją łódź do brzegu, z zamiarem ucieczki w las. Z tyłu za nami grzmiały strzały; to nasi rozprawiali się z pozostałymi, mszcząc się na nich za wszystkie czasy. Księżyca jeszcze nie było i tylko na lśniącej powierzchni rzeki odbijała się sylwetka ściganej łodzi. W pewnej chwili, już prawie przy brzegu, łódź stanęła gwałtownie. Musieli trafić na mieliznę. Dzicy spróbowali tanganami przysunąć swoją łódź bliżej do brzegu, a widząc, że nie dadzą sobie z nią rady, zaczęli wskakiwać do wody. Byliśmy może o sto kroków, gdy ujrzałem, że jeden z nich niesie Daisy. Rzucił ją na ziemię, a sam wskoczył do łodzi. Wydobył łuk i strzały i ruszył z powrotem na brzeg. Reszta zbroiła się również na gwałt. Daisy była poza linią obstrzału. Nie wahałem się teraz. Gruchnęła salwa. Kilku Indian potoczyło się w rzekę. Kilku rzuciło się ku brzegowi. Strzelaliśmy bez komendy. Każdy rozumiał, że nadeszła ostatnia chwila, żeby dziecko uratować od śmierci. Z załogi indyjskiej kilku w tej chwili unosiła woda, jeden leżał przy brzegu na mieliźnie, trzech walało się na piasku bez życia, dwóch pędem uciekało do lasu; ostatni zaś, najwyraźniej kuraka, bo miał wysokie pióra w otoku na głowie, raniony

w nogę klęczał o dziesięć kroków od Daisy leżącej bez ruchu, usiłując podnieść się, ale bezskutecznie.

Byliśmy tuż przy łodzi indyjskiej, najwyżej dwadzieścia kroków dzieliło nas od brzegu, gdy silny wstrząs zwalił nas wszystkich z nóg. Wpadliśmy całą siłą motoru na leżący na dnie pień drzewa, na którym i tamci utknęli. Ledwieśmy się zerwali i już mieliśmy skakać do wody, gdy ktoś zauważył że koło leżącego w wodzie Indianina kotłuje się woda.

— Piranie! — krzyknął.

Woda jakby się gotowała. Byliśmy odcięci od brzegu. By ściągnąć łódź z drzewa, trzeba było wejść w wodę, co groziło śmiercią. Wahano się. W tej chwili pierwszy promień księżyca oświetlił pobojowisko. Daisy ocknęła się z omdlenia i usiłowała rozpętać więzy, które krępowały jej nogi. Po chwili zerwała się i rzuciła do nas. Tego tylko brakowało. Krzyknęliśmy, żeby się zatrzymała, ale widocznie nas nie zrozumiała, gdyż pędziła wprost do wody, tuż obok leżącego kuraki. Ten zerwał się i chwycił ją za rękę. Upadła. Dziki wyrwał z za pasa nóż i próbował zamierzyć się na dziecko, które ostatnim wysiłkiem wyrywało mu się nieustannie. Strzał był niemożliwy. Celować po nocy do dwóch kotłujących się ciał byłoby szaleństwem.

W tej chwili nadpłynęła w całym pędzie jedna z naszych łodzi. Ostrzegliśmy ją, żeby mijała pień, który teraz w świetle księżyca wyraźnie zarysowywał się pod wodą. Jednym skokiem przedostaliśmy się do niej i zawróciliśmy ku brzegowi. W naszej łodzi pozostali Indianie z Angielką, która od chwili okrzyku małej, jakby się obudziła, pomagała wiosłować, podawała naboje, w końcu pochwyciła karabin. Krzyknęła nawet:

— Prędzej, na miły Bóg prędzej! o, moja biedna Daisy! moje biedne dziecko!

Łódź nasza pchnięta energicznie werżnęła się już w piasek. Poczęliśmy wyskakiwać na brzeg. W tej chwili Daisy wyrwała się dzikiemu, ale przy gwałtownym tym ruchu straciła równowagę i upadła na wznak. Dziki poderwał się na kolana, żeby się na nią ponownie rzucić, ale tej jednej sekundy wystarczyło, żeby

go wziąć na cel. Gruchnęły dwa strzały. Strzeliła i matka. Indianin zwalił się na małą, która wyczerpana szamotaniem nie zdołała się zerwać; noża nie wypuścił jednak z ręki i teraz podciągał się mozolnie, widocznie śmiertelnie raniony, żeby dosięgnąć jej gardła.

Mała próbowała oswobodzić nogi i wyciągała rączyny przed siebie, zasłaniając się przed ciosem.

— Mamo, mamo! krzyknęła.

W tej chwili stała się rzecz straszna, niestety, przez nas nie przewidziana. Angielka schwyciła za brzeg łodzi rękoma i skoczyła do wody... wprost w kłębowisko piranii. Rozległ się jej krzyk, rozdzierający, mrożący krew w żyłach, który obudziłby chyba umarłego. Jak podcięty kwiat runęła na wznak do wody. Przez chwilę konwulsyjne drgawki wskazywały, że jeszcze żyje, ale głosu wydobyć ze siebie już nie mogła; sparaliżowało ją.

Staliśmy jak przygwożdżeni.

Nasi Indianie na drugiej łodzi ruszyli w tej chwili w kierunku kotłujących się ryb i chwytając Angielkę za suknię, usiłowali wyciągnąć ją z wody.

Skoczyłem do Daisy. Ręka Indianina z nożem posuwała się powoli wzdłuż ciała małej. Jednym uderzeniem kolby rozwaliłem mu łeb, a kopnięciem nogi odrzuciłem ciało na bok. Daisy leżała bez zmysłów.

Veiga zasłonił oczy.

— Panie, nie mogę o tym myśleć.

Milczał chwilę.

— Niech pan sobie wyobrazi — podjął na nowo — że jednemu z Indian podczas ratowania Angielki piranie ucięły dwa palce, drugiemu wyrwały kilka kawałów mięsa na dłoni i na ramieniu.

Rozbiliśmy namiot. Przez parę godzin nie mogliśmy się Daisy docucić.

Była taka sama pogodna noc jak dziś, chmurki tak samo płynęły po niebie i księżyc świecił tak samo, błoga cisza panowała w naturze. Ale w nas nie było tej ciszy. Jedni siedzieli skonsternowani, drudzy klęli i złorzeczyli. Ja cierpiałem chyba

najgorzej. Przywiązałem się do tych ludzi i ich tragiczny los głęboko mnie dotknął. Jakiż splot niezwykłych wydarzeń, jakaż nieubłagana groza przeznaczenia, przeklęte fatum. Minuta jeszcze i krwawa ofiara matki nie byłaby już potrzebna. Minuta spóźnienia, proszę pomyśleć: minuta!

Za dnia sprawiliśmy matce Daisy pogrzeb. Dziewczynki nie można było oderwać od mogiły. Wracaliśmy w ponurym nastroju. Daisy siedziała cały czas w kąciku kabiny i płakała cichutko...

Zamilkł. Milczałem i ja. Cóż można było powiedzieć...

Rozstaliśmy się z Veigą serdecznie. Po jego odejściu jak zwykle, ten i ów miał mu szereg rzeczy do zarzucenia. Ludzie nabrali odwagi, która uprzednio była hamowana wystającym mu stale z za pasa Smithem i puginałem, wyglądającym spod lewej pachy. Ludzie są wszędzie ci sami. Zresztą absorbuje nas w tej chwili granica. Dopływamy do Tabatingi, granicznej forteczki brazylijskiej.

Wysoka szkarpa, schodki wykopane w ziemi i wyłożone drzewem. Na górze spore domostwo, w którym mieści się załoga, złożona z kilkunastu ludzi, domek na uboczu dla podchorążego, komendanta załogi, drugi dla celników, oba otoczone rozsypującym się okopem; kilkanaście domków rozrzuconych nieporządnie w rozmaitych kierunkach — to punkt graniczny Rzeczypospolitej Brazylijskiej. Wrażenie opuszczenia i beznadziejnej nudy. Przechodzą tędy parowce cztery, pięć razy na miesiąc. Rzeka ma tysiąc siedemset metrów szerokości; wysokość nad poziomem oceanu — 82 metry. Stąd do Iquitos, stolicy departamentu Loreto, ostatniego portu, do którego dochodzą parowce, jest około sześciuset kilometrów. Na miarę Amazonki, to już blisko. Formalności nie trwają długo. Władze i żołnierze otrzymują poczęstunek. Komisarz udziela im trochę zapasów dla pokrzepienia ciała i ducha i „Victoria" gwiżdżąc przeraźliwie opuszcza ostatnią ojczystą placówkę nad Amazonką.

GRANICA

Po kwadransie stajemy znowu. Leticja — punkt graniczny Peru, stacja telegrafu iskrowego, komora celna. Załoga niewielka. Znów przyjmujemy wizytę. Odbywa się przyjęcie władz, sprawdzanie paszportów, na parowiec wsiada urzędnik peruwiańskiej komory celnej, który będzie nas konwojował do Iquitos.

Personel Leticji robi lepsze wrażenie. Żołnierze są lepiej ubrani, oficerek ma buńczuczną minę i widocznie lepiej jest uposażony od swego brazylijskiego kolegi.

Bawimy tu krótko. Jesteśmy teraz rzekomo na wodach peruwiańskich, ale prawy brzeg Amazonki na przestrzeni 14 kilometrów aż do ujścia rzeki Javarý należy jeszcze do Brazylii. Doskonałe warunki dla przemytu.

Javarý — graniczna rzeka między Brazylią i Peru — słynie z bogactwa kauczuku, kakao i salsaparilli. W dawnych czasach odegrała poważną rolę w eksporcie kauczuku, obecnie handel upadł tu prawie zupełnie. O pięćdziesiąt kilometrów stąd rozciąga się niewielka osada peruwiańska Nazareth na wprost ujścia do niewielkiej rzeczki Ituhý, przy której leży ostatnie osiedle brazylijskie Remate de Males oficjalnie zwane Beniamin Constant. Dojeżdżamy tam w cztery godziny. Osada ciągnie się wzdłuż rzeki, tworzy jakby jedną ulicę. Naprzeciw przystani niewielki domek drewniany, zwrócony szczytem ku brzegowi, na szczycie umieszczone w trójkącie oko Opatrzności i napis „Firmeza e Amór" — loża masońska. Trudno zgadnąć, skąd się biorą do niej kandydaci, tym bardziej, że tuż w sąsiedztwie stoi drewniany kościołek, kryty falistą blachą i opatrzony wieżyczką obitą blachą z pudełek od nafty.

Wzdłuż brzegu chodnik z cegły; widać dbano tu kiedyś o komfort. Jest i latarnia naftowa na słupie, w oddali drugi słup, ale już bez latarni. Widocznie unikają tu przesady. Za to spotykamy coś, czego nie widzieliśmy dotychczas wcale: szereg tratewek przy brzegu z wyciętymi otworami pośrodku, z daszkami. Służą do kąpieli i do prania bielizny zarazem. Ktoś twierdził, że zostało to wprowadzone na skutek nieporozumień z krokodylami, które nabrały niezwykłego pociągu do nóżek kobiecych i trzeba się było w końcu zabezpieczyć przed natrętami. Zresztą nie jest powiedziane, że tratewki te nie mogą służyć i do czego innego. Wieża z blaszanek, loża masońska i kryte tratewki stanowią niewątpliwie rys oryginalności, może jedyny w całym dorzeczu Amazonki i mam nadzieję, że zostaną oznaczone gwiazdką w pierwszym wydaniu Bedaeckera „Po Amazonce", jako rzeczy godne widzenia. A prawda! Są i hale targowe — domeczek, czterometrowej wysokości i takiejże szerokości, wsparty na słupach z olbrzymim napisem „Mercado". Nie mogłem zbadać, czym tam handlują, bo gdy dostałem się aż na schodki, stwierdziłem, że wnętrze było puste, nie licząc jakiejś milusiej jaszczurki, która łowiła karaluchy i muchy na ladzie.

Dłuższy postój. Widocznie kapitan nie może oderwać się od ojczyzny, bo żadnego innego powodu nie ma. Podczas, gdy zwiedzałem „miasto" i jego osobliwości, Amerykanki zdołały nabyć kilka niezłych ananasów. Po powrocie na parowiec zastałem wcale pokaźną salaterkę pełną pociętych plastrów, posypanych cukrem. Przyszedłem więc w sam czas, ażeby otrzymać swoją porcję.

NA WODACH MONTANII [1]) PERUWIAŃSKIEJ

O pierwszej jesteśmy przy ujściu do kanału łączącego Amazonkę z jeziorem Cavallococha, gdzie leży osada tego imienia. Jest tam szkoła franciszkanów. „Victorii" nie opłaca się wchodzić do kanału, gwiżdże więc i czeka na rzece.

W niespełna godzinę ukazują się przy naszej burcie łodzie i dwie motorówki, które je przyholowały. Jedna od razu wraca, druga zostaje; ta druga jest własnością księży. Młody, sympatyczny, ruchliwy ksiądz jest na niej mechanikiem i dowódcą, paru chłopaków ze szkoły mu pomaga. Coś tam przywieźli na sprzedaż, potrzebują gazoliny. Odbywa się narada. W końcu ładują im dwie skrzynki „energiny" i trochę smaru. W tej chwili przybija do parowca kryta łódź, wiozącą jakiegoś zamożnego gospodarza, wiosłuje kilku Indian. Są prawie przystojni, o z lekka brązowej skórze. Jeden z nich wdrapuje się na parowiec, ażeby umocować cumy. Ma na sobie krótką do kolan spódniczkę z włókien palmowych, bardzo podobnych do rafii, z szyi zwisa naszyjnik, do którego przyczepiona jakby miotełka z tychże włókien; miotełka jest grubsza pośrodku, cieńsza na obu końcach i sięga mu prawie do pasa. Takie same ozdoby ma umocowane nad łokciami, są tylko trochę drobniejsze i krótsze; na włosach opaska. Całość wygląda malowniczo. Towarzysze jego ubrani tak samo, jeden ma zatknięte za opaską kilka piór *ary*, co jest oznaką władzy. Twarze bez śladu zarostu, nawet u starszego. Jest to szczep Amahuakas, jak mówią jedni; drudzy twierdzą, że Omaguas. Od Indian nie mogę niczego się dowiedzieć, mówią

[1]) Montaña w poprawnej hiszpańszczyźnie oznacza góry. W Peru nazywają tak całą lesistą dolinę dorzecza Amazonki i zalesione wschodnie stoki Andów. Źródłosłowem dla tej nazwy jest słowo monte, oznaczające po hiszpańsku zarośla, krzaki, chwasty, coś jak brousse po francusku.

jakimiś gardłowymi monosylabami, po hiszpańsku nie rozumieją ani słowa.

Temu to szczepowi zawdzięcza Amazonka swoją nazwę. Historia tej nazwy wiąże się z ekspedycją Gonzalo Pizarra, którego brat jego Francisco Pizarro, zdobywca Peru, wysłał z Quito, ażeby doliną rzeki Napo spróbował dotrzeć do legendarnego białego morza, nad którego brzegami miała rozciągnąć się nie mniej legendarna kraina El Dorado. Dno tego morza miało być ze złotego piasku i drogich kamieni, stolica zaś, słynna Manoa miała posiadać pałace całe ze srebra i złota.

Gonzalo Pizarro z trzystu Hiszpanami i kilku tysiącami Indian wyruszył w roku 1539, aby odkryć i zagarnąć ten bajeczny kraj. Po niesłychanych wysiłkach straciwszy połowę swych ludzi, wyczerpany głodem i chorobami, zdecydował się wysłać w dół rzeki rekonesans złożony z pięćdziesięciu ludzi na wielkiej łodzi, którą kazał zbudować. Dowództwo powierzył Orellanie. Po trzech dniach Orellana dotarł do wielkiej rzeki, którą oczywiście uważał za morze z legendy i ruszył nią w głąb nieznanego lądu. Gdy spróbował wylądować na jakimś brzegu, został napadnięty przez Indian, których twarze bez zarostu i strój upewniły go, że ma do czynienia z kobietami. Wziął ich więc za amazonki, tym bardziej, że walczyły mężnie i zadały mu poważną klęskę. Wrócić drogą przez Napo już nie mógł, gdyż ciężką łodzią nie potrafiłby pokonać silnego prądu. Może zresztą i nie próbował, przeświadczony, że jest na najlepszej drodze do odkrycia legendarnych bogactw. Puścił się więc z prądem do oceanu, gdzie dotarł w sierpniu 1541 roku, a stamtąd popłynął na wyspę Trinidad, skąd już się przedostał do Europy. Jego opowiadania o podróży i starciu z dzielnymi amazonkami przyczyniły się do nazwania rzeki Amazonką.

Nazwa Solimões wiąże się znowu z legendą znacznie starszą, według której dotarła niegdyś na Amazonkę flota Salomona[1]), by czerpać stąd złoto i drzewo na budowę świątyni jego imienia. Byli badacze, którzy w języku Quechua używanym przez Indian

[1]) Po arabsku Soliman.

płaskowzgórza peruwiańskiego jak również i mieszkańców doliny Amazonki znaleźli reminiscencje języka hebrajskiego, a nawet greckiego. Najwięcej podobieństwa dopatrywano się w nazwach rzek. Wynikałoby z tego, że znaczną część nazw nadali tym rzekom trzy tysiące lat temu Żydzi czy Fenicjanie, posługujący się również hebrajskim językiem.

Ile w tym prawdy, trudno dziś jeszcze stwierdzić bez specjalnych i głębszych studiów, nie ulega jednak kwestii, że zbieg okoliczności jest ciekawy i może budzić poważne refleksje.

Wdaję się w rozmowę z księdzem. Pełen jest wiary w swą pracę i pełen entuzjazmu. Gdyby tylko trochę środków. Bo walka o każdy grosz jest straszna. Mając pieniądze można by dokonać niejednej rzeczy. Myśli o jakimś przemyśle. Na przykład konserwy. Tyle ryb, a ileż ich tu sprowadzają w puszkach. Niestety, surowych nie da się daleko przewozić bez chłodni, a o chłodniach na parowcach nie można nawet jeszcze marzyć. Proponuje mi, abym zwiedził cochę [1]), która jest niedaleko, odbywa się tam w tej chwili połów. Mają sieci i harpuny. Kapitan daje mi cztery godziny czasu. Coś się zepsuło w pompie i mechanicy postanowili ją rozebrać. Mogę więc jechać. Ruszamy we dwóch z dwoma uczniami z zakładu, ażeby nie obciążać zbytnio motoróweczki. Przez kanał, który mamy przed sobą, wydostajemy się na rodzaj łachy, na której leży osada, a w niej kościół i zabudowania szkoły. Jest tu dwóch zakonników i trzech braciszków. Ponieważ niewiele mamy czasu, rezygnuję ze zwiedzania zakładu, w którym nic zresztą nie ma ciekawego. Mijamy przystań, szumnie nazywaną „portem". W odległości dwóch kilometrów wpływamy do wąskiej rzeczki, czy kanału, którędy docieramy do cochy. W oddali widać łodzie i ludzi na brzegu. Kierujemy się więc w ich stronę. Połów już ukończono. Na brzegu leży rząd pięknych ryb, o zupełnie nieznanej mi budowie. Są długie, blisko dwumetrowe, o niewielkiej głowie, z małą, prawie okrągłą paszczą. Ogon bez pletw, wygląda jak ucięty, zakończony jest kolisto. Pletwy boczne małe, ryba

[1]) Czytaj koczę; kocza — jezioro w języku Indian peruwiańskich.

okryta szeroką, wydatną łuską ciemnostalowego koloru, srebrzy się na bokach i brzuchu, upstrzona różowymi plamami, bardziej wyraźnymi koło ogona. Jest to nareszcie owa *Pirarucú* Brazylii [1]), w okolicach peruwiańskich nazywana *paiche* [2]).

Obok jakieś stworzenia przypominające foki, o gładkiej skórze, koloru szarego wpadającego w błękitny. Głowa wydaje się mała w stosunku do tułowia, z daleka można ją wziąć za ludzką, szczególnie z przodu. Stworzenie to ma coś w rodzaju pletw przednich znacznie mniej rozwiniętych niż u foki.

— *Manati* [3]) — mówi ksiądz.

Manatí-peixe boi po portugalsku — ryba wół, lub vaca marina po hiszpańsku — krowa morska, jest chyba najbardziej bezbronnym stworzeniem na świecie. Na ziemi nie może się ruszać zupełnie. W wodzie podobno porusza się z łatwością, ale żadnych obronnych narządów nie posiada. Była między nimi samica, o dwu wydatnych piersiach, bardzo przypominających kobiece. Wcale nie można się dziwić, że stworzenia te wydawały się pierwszym eksploratorom podobnymi do kobiet i że uważali je za legendarne syreny. Krowy morskie są trawożerne, mięso ich przypomina w smaku cielęcinę, a tłuszcz ma ustaloną sławę. Niedawno jeszcze odbywały się specjalne polowania na nie. Mięso pieczono, lub smażono i pakowano do garnków i puszek blaszanych, a następnie zalewano je własnym tłuszczem. Jeszcze w 1882 roku wywożono tego mięsa z Manaos 38.000 kilo. Dziś zajęcie to się już nie opłaca, produkcja zmniejszyła się do trzech, czterech tysięcy kilogramów.

Część rybaków zabrała się tymczasem do zdzierania skóry z *paiche*. Następnie rozkładali na niej rybę i odcinali z niej cienkie płaty, które potem soli się i suszy na słońcu. Suszone mięso *paiche* daje się przechowywać długo, jest bardzo pożywne i stanowi podstawowe pożywienie szerokich warstw ludności. Świeże mięso tej ryby przypomina jesiotra. *Paiche* ma długi język, którego część jest zrogowaciała i usiana drobniutkimi, ostrymi

[1]) *Sudis gigas.*

[2]) Czytaj pajcze.

[3]) *Manatus inunguis.*



Czaple królewskie dające egrety

naroślami. Język ten po wysuszeniu używany jest na całej Amazonce jako tarka.

Po dwóch godzinach wracamy na „Victorię". Mijamy na lewym brzegu Chimbote i stajemy w Bello Horizonte o kilka kilometrów dalej. Solidne budynki, spora plantacja, wyniosły las wokoło. Brzeg stromy i ścięty jakby ręką ludzką. Na gliniastej szkarpie czarne poziome pasy. Zwracam na to uwagę geologa. Oświadcza, że jest to węgiel z dużą domieszką smoły, zanieczyszczony gliną, bliżej zresztą niezbadany.

W tej chwili przesuwa się przed naszymi oczyma kilku prawie nagich Indian, o wybitnie czerwonej barwie skóry. Oniemiałem. Utrzymywałem dotychczas, że Indianie Ameryki Południowej nie mają nic wspólnego z czerwonoskórymi Stanów Zjednoczonych i Kanady. Przede wszystkim nie mają czerwonej skóry. Niektórzy, jak na przykład niedawno spotkani dzicy w Cavallococha, niewiele się różnili od Europejczyków. Reszta mniej jest ciemna od naszych cyganów, czerwonego odcienia skóry nie zauważyłem u nich nigdy, aż tu naraz... Co za porażka!

Decyduję się wysiąść. Muszę to z bliska obejrzeć.

Zabieram ze sobą celnika, z którym zdążyłem się zaprzyjaźnić, ale który nic nie wie o nurtujących mnie wątpliwościach, o dramacie, który przeżywam. Chętnie towarzyszy mi na górę, gdzie zaznajamia się z gospodynią czakry, gospodarz bowiem zajęty jest układami z naszym komisarzem. Proszę, by zawołał któregoś z Indian. Ukazuje się dziewczyna, jest jednak już ubrana po europejsku i cera jej nie budzi we mnie żadnych zastrzeżeń. Zwracam uwagę, że przed chwilą widziałem czerwonych. Peruwiańczycy się uśmiechają. Urzędnik komory bierze mnie pod ramię i prowadzi do ogrodu. Tuż przy furtce rosną dwa drzewka przypominające ulistwieniem nasze bzy, okryte jakby szypułkami brunatnego koloru. Zrywa jedną. Gęsto jest oblepiona czerwonawymi ziarnkami, ciemniejszymi od zewnątrz.

— Proszę rozetrzeć. Tylko ostrożnie, bo pan sam niedługo zamieni się w czerwonoskórego.

Nr. 6136 194__ r.

Jest to achiote [1]), jedna z licznych roślin farbiarskich, której ziarna biali używają do nadawania koloru niektórym potrawom, a Indianie zamiast szminki w dniach zabawy i obrzędów, jak również do malowania wioseł i innych sprzętów.

Byłem o krok od porażki. Oddycham.

Ponieważ jesteśmy w ogrodzie, oglądam rosnące tu drzewa. Uwagę moją zwracają owoce miedzianej barwy. Pytam o nazwę — *cocona*. Owoc wielkości sporego jabłka; nie nadaje się do jedzenia na surowo, używają go na konfitury. Zabieram kilka sztuk dla moich Amerykanek, owoców takiego koloru na pewno jeszcze nie widziały...

Tuż obok piękne drzewo o ciemnych, trochę pomarszczonych, olbrzymich, okrągłych liściach. *Sapote*. Owoce jeszcze niedojrzałe, ale celnik oświadcza, że nie potrzebuję się tym martwić, bo nie są specjalnie smaczne. Poleca mi za to jakieś inne ciemnozielone z odcieniem brązowym o twardej i szorstkiej skórze, wielkości średniej pomarańczy. Twierdzi, że rzadko się je spotyka, ale są smaczne i bardzo pożywne. Zabieram więc kilka, nie oglądając ich bliżej, gdyż „Victoria" przypomina już gwizdkiem, że trzeba wracać na pokład.

Nie zdążyliśmy jeszcze odbić od brzegu, gdy podbiegł jakiś chłopak niosący dwa spore, zielonkawe melony. Ponieważ już nie mógł dosięgnąć burty, szybko odwiązał stojącą przy brzegu łódkę i kilku uderzeniami wioseł podpłynął do cofającego się parowca. Któryś z marynarzy wychylił się i wziął od niego owoce. Stałem jeszcze na dolnym pokładzie przy otwartej burcie; chłopak wskazał mnie ręką.

— Dona Rosita le pide acceptar los tumbos. Son bien maduros [2]).

— Gracias. Hasta la vuelta [3]).

Chciałem czymś wynagrodzić chłopaka, ale w tej chwili „Victoria" ruszyła naprzód, a jego łódź porwał prąd w stronę rufy. Widzieliśmy tylko, jak chłopak powoli ją opanował i szybko skierował się ku brzegowi.

---

[1]) *Bixa orellana*.

[2]) Pani Rosita prosi, żeby pan przyjął te tumbos, są już dojrzałe. —

[3]) Dziękuję. Do widzenia.

Obładowany wszedłem na górę. *Coconas*, mimo że nie były jadalne, zrobiły największe wrażenie. Niezwykły ich kolor o metalicznym blasku odbijał od wszystkich znanych nam owoców; wszędzie budziłyby zachwyt. Ciemne jabłka o szorstkiej skórze zrobiły również sensację, po rozcięciu ukazało się wnętrze pięknego pomarańczowego koloru, w środku było kilka pestek przypominających drobne dzikie kasztany. Ktoś poszedł po cukier i łyżeczki. Miąższ po wymieszaniu z cukrem okazał się dość smaczny, zawierał tylko trochę zawiele mąki. Takimi owocami można najeść się z łatwością. Nazywają się one *lucma* [1]). Z kolei zabraliśmy się do melonów. Nie były to oczywiście melony, ale coś bardzo do nich zbliżonego. We środku były jakby wydrążone i tak jak melony zawierały trochę wodnistej cieczy, odrobinę włókien i trochę pestek podobnych do nasion ogórka. Miąższ był mało słodki; spróbowaliśmy go jeść z cukrem, okazał się wyśmienity.

Na drugi dzień z rana przybyliśmy do São Paulo — kolonii trędowatych. Parowiec przybija do brzegu o kilka kroków od ogrodzenia z kolczastego drutu, za którym przebywają chorzy. Budynki porządne, kilka oddzielnych domków dla chorych małżeństw. Ogród nieźle utrzymany, za ogrodem plantacje. Z boku, w drugim ogrodzeniu domy lekarza, kierownika zakładu i innych funkcjonariuszy. Część chorych wyległa przyglądać się parowcowi. Niektórzy noszą wyraźne znamiona choroby, ale są i tacy, których z wyglądu nie można by nawet o nią podejrzewać i gdyby nie to, że mieszkają w zakładzie, uważałbym ich za zupełnie zdrowych. Do zakładu sprowadza się trędowatych przemocą, o ile nie zgłoszą się dobrowolnie. Są na utrzymaniu państwa i prócz zamknięcia na ograniczonym terenie nie są obarczeni żadnymi zakazami. Jeśli chcą, pracują w ogrodzie lub w warsztacie, wyrabiając rozmaite przedmioty na użytek zakładu. Ucieczki zdarzają się bardzo rzadko. Zresztą uciekinierzy jak dotychczas, wracali zawsze dobrowolnie. Na wolności życie *chorego*, szczególnie jeśli

[1]) *Achras sapote.*

podlega widocznemu rozkładowi, jest niesłychanie ciężkie, chyba nie do zniesienia. Toteż przekonawszy się o tym, że sami żyć nie mogą, a inni ludzie odpędzają ich od siebie ze wstrętem, decydują się na mieszkanie w kolonii, gdzie mają dach nad głową, znośne utrzymanie, ubranie, a wreszcie opiekę lekarską. Było ich tam około czterdziestu. Pomimo złośliwych opowiadań, ilość tych nieszczęśliwych w całym kraju nie przewyższa prawdopodobnie tej liczby. U kilkunastu podejrzanych o trąd ludzi po zbadaniu okazało się, że są oni dotknięci inną chorobą. Najciekawsze, że ludzie miejscowi nieraz zupełnie dobrowolnie zjawiają się u lekarzy z prośbą o zbadanie, czy nie są czasami trędowaci. Pobudką do tego jest nurtująca ich wiecznie obawa nie tylko o siebie, ale i o swoje otoczenie. Toteż można mieć nadzieję, że jeśli przez dłuższy czas będzie się stosować przymusowe odosobnienie, to plagę tę uda się zupełnie wyplenić na terenie Montanii.

Wieczorem mijamy ujście rzeki Napo; jest ona dostępna dla parowców o małym zanurzeniu. Uchodzi za zdrową, tereny jej za urodzajne, toteż jest względnie gęsto zaludniona. Słyszałem, że jest wolna od moskitów.

IQUITOS, STOLICA LORETO

Nad ranem mijamy Nanay, gdzie znajduje się największy w tych stronach tartak parowy, własność kompanii amerykańskiej. Ujście i całe pobrzeże zawalone tratwami naładowanymi klocami cedru i mahoniu, przeznaczonymi do przeróbki. Parowce ze Stanów Zjednoczonych przychodzą regularnie co miesiąc po drzewo. Stąd widać Iquitos, miasto najdalej wysunięte na Amazonce. Mijamy niewielką stocznię, zakłady mechaniczne, gręplarnię bawełny, tartak położony już prawie w mieście i stajemy na kotwicy.

Przystań jest miniaturą przystani w Manaos. Zbudowana na olbrzymich żelaznych pływakach ze względu na znaczną różnicę poziomu wody w czasie przyboru; ładunki wyciąga się na górę po pochylni parowymi wciągami. W oddali wznosi się olbrzymia wieża telegrafu iskrowego. Bliżej widać spore hale targowe o żelaznej konstrukcji i szereg piętrowych domów na bulwarze nadbrzeżnym; między nimi hotel i ciężka budowla, siedziba administracji departamentu Loreto.

Bardzo stromymi schodami wydostajemy się na dwudziestometrową szkarpę. Ulica brukowana klinkierem. Są auta. Przybycie „Victorii" zgromadziło liczne rzesze publiczności. Mieszkańcy przyszli witać krewnych, znajomych, sprawdzić, czy nadszedł zamówiony towar i popatrzeć na przyjezdnych z dalekiego świata; niektórzy przybyli w celu bardziej utylitarnym: wypić butelkę doskonałego piwa brazylijskiego i zaopatrzyć się w kilka paczek papierosów brazylijskich, znacznie tańszych i o całe niebo lepszych od miejscowych. Uprzejmi urzędnicy komory celnej patrzą na to pobłażliwym okiem.

Zresztą wizyty takie będą się odbywały podczas całego pobytu „Victorii" w porcie.

Miasto porządnie rozplanowane, zabudowane przeważnie domami parterowymi. W śródmieściu i na głównej ulicy kilkanaście domów piętrowych. Wszystkie są zwrócone frontem do ulicy. Zwyczaj zakładania przed nimi ogródków, tak powszechny w Brazylii, nie jest tu stosowany. Sklepy porządne, niektóre nie tylko nie ustępują sklepom w Manaos, ale nawet je przewyższają. Wielu Japończyków i Chińczyków. Brak zupełnie kawiarni, które w Brazylii spotyka się na każdym kroku. Kawa nie zdobyła sobie tutaj tego powodzenia, co w Brazylii. Bodaj że mniej jest używana niż u nas. A przecież kraje te sąsiadują ze sobą na przestrzeni co najmniej dwóch tysięcy kilometrów. Hotel lepszy niż w Manaos. Restauracje mają wygląd skromniejszy, ale jedzenie dużo smaczniejsze.

Czystość ulic centralnych i placu bez zarzutu, boczne ulice porośnięte trawą, mają ścieki umieszczone pośrodku, co ze względu na silne deszcze jest niezbędne, ale nie powiem, żeby upiększało miasto. Kanalizacji nie ma, chociaż wszystkie domy nadbrzeżne mają kanalizację lokalną. Elektryczność jest zaprowadzona wszędzie i elektrownia nie żałuje prądu.

Miasto ma dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców. Alkalde — burmistrz tutejszy nie podaje zbyt ścisłej liczby. Są kluby. Obszerne, przewiewne, urządzone ze względnym komfortem. Kościół niewielki, ale doskonale utrzymany. Iquitos jest siedzibą biskupa, którego rezydencja nie daje wysokiego pojęcia o dochodach diecezji. Sam biskup wygląda na anachoretę, ale jest miły i uprzejmy. Na rogach niektórych ulic stoją policjanci ubrani jak z igły. Wieczorami i w dnie słotne mają granatowe płaszcze z pelerynami, podbitymi czerwonym suknem. Wygląda to imponująco, choć tchnie trochę anachronizmem.

W mieście widuje się sporo wojskowych. Iquitos jest siedzibą okręgu wojskowego, ośrodkiem floty rzecznej i bazą lotniczą. W Itai, niewielkiej, ale głębokiej rzeczce stanowiącej granicę miasta od zachodu, stoi na kotwicy kilka monitorów rzecznych i dwie kanonierki. Na bazie lotniczej cztery hydroplany. W mieście skoszarowane: pułk piechoty, dywizja arty-

lerii i batalion żandarmerii. Żołnierze dobrze ubrani i wyćwiczeni, oficerowie inteligentni i kulturalni, przynieśliby zaszczyt każdej armii.

Aut w mieście około czterdziestu. W dzień kilka ich stoi w okolicy klubów. Nie można powiedzieć, żeby ich często używano. Wieczorami za to odbywa się obowiązkowe corso. Temperatura spada i ludzie używają aut, żeby się pędem ich jeszcze bardziej ochłodzić. Kurs jest niewielki. Główna ulica, plac dokoła i z powrotem. Można pojechać i na dalszy spacer: szosą do jeziora za miastem, gdzie znajduje się jacht-klub, wzdłuż brzegu jeziora i z powrotem do miasta inną szosą. Ale tam nie ma oświetlenia, a południowiec lubi bawić się w pełni światła. Czasy gitary i smętnych piosenek już przeszły.

Zachodzę do fryzjera. Jest to miejsce, gdzie można się najwięcej dowiedzieć o ludziach i o polityce. Człowiek trzymający codziennie brzytwę na gardle ludzi zajmujących najwyższe stanowiska, a nieraz i samego prefekta, ma oczywiście okazję do wydobycia z nich niejednej tajemnicy. Już przez samą ostrożność każdy delikwent stara się dawać odpowiedzi wyczerpujące, a wiadomo, że koledzy Figara są z natury ciekawi.

W niespełna godzinę zostałem poinformowany o najważniejszych sprawach miejscowych, o zatargach, intrygach, wpływach, przeniesieniach, a nawet stosunkach rodzinnych. Taki Figaro trochę lekceważy wszystkich. Stałe obcowanie z możnymi tego świata i to nieraz we własnych ich sypialniach i w stroju niedbałym, wyrabia w nim pewność siebie i poczucie własnej wartości. Toteż z wielką swadą daje rady, wygłasza opinie, udziela informacyj.

— Nie poszukuje pan główek?

— Jakich główek?

— Ludzkich oczywiście, wyrabianych przez Indian znad Pastazy. Pan o tym nie wie?

— Słyszałem, ale zdawało mi się, że to są stare dzieje.

— U nas może pan wszystko dostać.

Po chwili wysłany posługacz przyniósł nam paczkę owiniętą w papier. Mój gospodarz wydobył zeń dwie zabalsamowane głowy ludzkie wielkości małej pięści zaledwie. Były ciemnokawowego koloru, twarze ginęły prawie w zawoju gęstych włosów, rysy twarzy, oraz stosunek nosa i uszu do całej głowy zachowane; od pierwszego rzutu oka w jednej z nich można było poznać głowę mężczyzny, w drugiej kobiety. Przyznaję, że przyglądałem się im z małym entuzjazmem. Ostatecznie były to trupie głowy i interesowało mnie nie to, jak były zakonserwowane, ale w jaki sposób zostały zdobyte.

Fryzjer z całą pewnością twierdził, że są to trofea myśliwskie. Indianie napadają na swych pobratymców z innych szczepów i zabijają ich przeważnie za pomocą pukany, to znaczy długiej tuby, z której wydmuchują malutkie strzały o ostrzach umaczanych przedtem w kurarze. Jedynym celem takich wypraw jest zdobycie głowy przeciwnika, którą następnie za pomocą rozmaitych zabiegów, podobno bardzo żmudnych, zmniejszają jak można najbardziej i zawieszają następnie w chatach, lub paradują z nimi na zabawach i uroczystościach tak, jak niegdyś czerwonoskórzy Ameryki Północnej ze zdobytymi skalpami.

Pytam o cenę. Czterdzieści funtów para i to tylko, jak twierdził, z powodu kryzysu. Posiada przyjaciela, który trudni się ich wyszukiwaniem, a właściwie sam poluje na tamtych myśliwych. Wymaga to pewnego ryzyka, wydatków, a nade wszystko czasu.

W tej chwili zagląda do „salonu" jakiś mężczyzna w granatowym overcoat'ie, o inteligentnym wyrazie twarzy.

— Viva Polonia — wita go gospodarz.

— Ty w dalszym ciągu handlujesz truposzami, że też cię jeszcze nie wsadzili za kratki. Doczekasz się tego.

— Iii, sam prefekt u mnie kupował te główki, przecież to dla celów naukowych.

— Idź, idź! Ładne mi cele naukowe. To ten Izidoro łajdak, zamawia u tych morderców towar. Jabym go przyłapał.

— E, nic mu nie będzie.

— Pan Polak? — wtrąciłem się do rozmowy.

— A pana co tu przyniosło? Kapitan Pawlikowski — przedstawił się.

Poszliśmy na śniadanie do restauracji Ambos Mundos — dwu światów.

Okazało się, że mój kapitan jest tu ze wszystkimi za pan brat. Jada w restauracji w zamian za dostarczone drwa, jaja, kury, a gdzie indziej też radzi sobie w podobny sposób. Siedzi tu już trzeci rok na gospodarstwie, nad Itayą, o kilkanaście kilometrów od miasta. Inteligentny, zdumiewająco pracowity, prosty w obejściu, uczynny. Idealny typ pioniera. Toteż lubiany jest ogólnie. Posiada duży kredyt u kupców i cieszy się poważaniem u wojskowych, a szczególnie u marynarzy.

Nazajutrz przysyła po mnie łódź indyjską z trzema wioślarzami; po upływie godziny jesteśmy na miejscu.

Duża chałupa na dwumetrowych palach, kryta palmowymi liśćmi, obok zagroda dla krów, chlew i duży kurnik dla ptactwa. Niewielki ogród warzywny wokoło.

Przeszło dwadzieścia krów i trochę cieląt pasie się pod lasem. Po dziedzińcu spaceruje stadko kur, kaczek i indyków. Wchodzimy po schodach do wnętrza. Kapitan urządził swoje mieszkanie w stylu miejscowym. Przez środek domostwa przechodzi szeroki przewiewny korytarz, który łączy się krytym mostkiem z kuchnią również na palach wybudowaną. Właśnie podają śniadanie. Próbujemy miejscowego samogonu, przyrządzanego na jakichś ziołach, coś w rodzaju żubrówki; mocny przeraźliwie.

Potrawy miejscowe. Pyszna aromatyczna kawa, do niej likier z pifualo, dorównywający w smaku chartreuzie, którą przypomina kolorem i aromatem.

Jedziemy obejrzeć resztę gospodarstwa, po drodze trzeba przepłynąć zalany las, co mi przypomina wycieczkę w Belém. Kapitan ma tu blisko siedemdziesiąt hektarów ziemi, z czego połowa podlega zalewom, ale są i wyżyny, gdzie woda nigdy nie dochodzi; jest tam niewielka plantacja. Cały wysiłek jednak skierowany jest na gospodarstwo mleczne i drób. Wyrąb lasu bardzo się właścicielowi opłaca. Oglądamy ogromną łódź,

świeżo wykończoną, która z łatwością zabiera do pięćdziesięciu metrów drzewa. Głównym odbiorcą jest elektrownia w Iquitos, poza tym pobliska cegielnia, restauracje i prywatni nabywcy.

Dojenie krów odbywa się w nocy, wtedy też odpływa łódź z mlekiem; na szóstą rano musi być u klientów. Praca ciężka, ale popłatna, butelkę świeżego mleka sprzedaje się w mieście za trzydzieści centów, co wynosi według ówczesnego kursu prawie złotówkę. Za jaja płaci się trzy złote za tuzin, restauracjom sprzedaje się je po dwa czterdzieści.

— Można wytrzymać — oświadcza kapitan. Największa trudność to dobór rasowego bydła, którego tu brak. Sprzedaje się je tutaj na wagę złota. Za krowę dającą dziesięć litrów mleka trzeba dać tysiąc złotych albo i więcej.

Kapitan czuje się dobrze, nie tęskni i wcale nie wybiera się z powrotem do Europy.

Nazajutrz zwiedziłem miejskie hale targowe. Czyste, przestronne, przewiewne, robią doskonałe wrażenie. Mogłem tam obejrzeć szereg ryb i nieznanych mi owoców. Ananasów, jak zapowiadał Veiga, było sporo, niektóre ważyły po pięć kilo. Pierwszy raz nad Amazonką spotykam kawony i melony, te ostatnie bardzo soczyste i pachnące, chociaż bynajmniej nie gatunkowe. Najbardziej zdziwiły mnie kartofle. Ciekawe, że nasze europejskie, które niegdyś zostały przywiezione z Peru do Europy, oczywiście z górskich okolic, tu w Montanii nie rosną i znane są jedynie jako towar przywożony z Anglii lub Portugalii. Sprzedaje się je w cukierniach razem z daktylami, figami i suszonymi śliwkami po bardzo wysokich cenach.

Miejscowa ludność zamiast kartofli używa korzeni manioku lub batatów. Niemniej istnieje i tu rodzaj kartofli o zupełnie osobliwym wyglądzie. Jedne podługowate, silnie zwężone w środku, nazywane są *papa doble*. Inne przypominające formą nerki, lub wątrobę, nazywane w zależności od wyglądu *papa riñon*, lub *papa higado*, są produktami liany, rosną w ziemi na korzeniach tej rośliny, znajdują się też i na zewnątrz na samych pędach i to nieraz wysoko. Istnieje jeszcze jeden gatunek, który wygląda jak ściśnięte ze sobą kostki liczydła. Wszystkie



Targ owocowy na przedmieściu Iquitos

tutejsze kartofle smakują raczej jak bulwa. Jedynie znajdywane w ziemi przy lianach od biedy mogłyby zastąpić kartofle, jak dotychczas nie są jednak jeszcze hodowane. Jest to jeszcze jednym dowodem tutejszych możliwości. Dobrze by było gdyby jakiś Bourbanks kalifornijski zajął się selekcją i hodowlą niezliczonych odmian i gatunków tutejszych roślin.

Można tu oglądać banany od drobniutkich jak duży palec, do olbrzymów długości czterdziestu centymetrów i tak grubych, że nie łatwo je ugryźć. Nie wszystkie jada się na surowo, niektóre są smaczne tylko pieczone lub smażone i zastępują słodką potrawę. To też jest zastanawiające, w jakim celu sklepy spożywcze i cukiernicze trzymają taką masę rozmaitych bakalii i suszonych i preparowanych owoców. Widziałem nawet ananasy kalifornijskie w puszkach i to w kraju, gdzie owoc ten rośnie dziko, a smakiem i soczystością przewyższa wszystkie inne gatunki na świecie.

Na placyku przy halach tłoczy się różnokolorowa ludność, przybyła z okolic z produktami wiejskimi. U stóp szkarpy na wodzie znajduje się również kilkadziesiąt łodzi zapełnionych towarem. Aprowizacja widocznie nie szwankuje. Zwracało uwagę pieczywo dobrze wyrośnięte i wypieczone. Pod tym względem Iquitos mogłoby współzawodniczyć z niejedną stolicą europejską.

Jest tu kilka szkół powszechnych, seminarium nauczycielskie i gimnazjum. Prócz tego zakład sióstr franciszkanek z internatem dla dziewcząt. W Peru istnieje przymus szkolny i szkolnictwo jest bardzo rozwinięte. Nawet niewielkie osady rozrzucone w głuchej puszczy mają szkoły; tam gdzie jest więcej dzieci, powstają dwie szkoły, jedna dla chłopców, a druga dla dziewcząt. W samym mieście, jak zgodnie stwierdzają i władze i mieszkający tu Europejczycy, nie ma dzieci, które by nie uczęszczały do szkoły. Jeśli są analfabeci, to tylko wśród starszego pokolenia, a i to dość rzadko.

W Iquitos wychodzą dwa codzienne pisma i parę drobnych czasopism periodycznych. Zakłada się obecnie bibliotekę publiczną; czytelnictwo książek jest jednak słabo rozwinięte. Ludzi pochłania polityka i każda poczta przywozi ze stolicy całe

paki gazet, które są tak dużych rozmiarów, że pochłaniają czas i uwagę całkowicie.

Najgorzej z roślinnością. Ulice poza placem nie są zadrzewione, nawet bulwar nadbrzeżny ma zaledwie kilkanaście drzew.

Specjalnie interesowały mnie orchidee. Myślałem, że znajdę tu kolekcjonerów, tak jak często spotykałem ich w Brazylii. Okazało się, że nawet najpospolitszych gatunków tego kwiatu nie znają tu wcale. Poznałem mnóstwo osób, które pierwszy raz spotkały się z takim pytaniem i nie umiały nic na ten temat powiedzieć. Mam wrażenie, że w ogóle nie słyszały o orchideach. Nawet legendarny dr Bassler, szef misji geologicznej Standart Oil miał ich zaledwie kilka w swoim ogrodzie. Obawiam się, że były to jedyne orchidee w mieście.

Dr Bassler, Niemiec z pochodzenia, ale urodzony w Stanach Zjednoczonych, od ośmiu lat prowadził badania geologiczne na całym prawie terytorium Montanii. Jako człowiek wysokiej kultury i dużej wiedzy, o ujmującym obejściu i niezwykłej skromności jest lubiany i ceniony przez ludność miejscową. Zgromadził olbrzymie zbiory z dziedziny geologii, paleontologii i fauny tutejszego kraju, której sporo okazów hoduje u siebie w ogrodzie. Najmniej może interesował się roślinnością, czemu nie można się dziwić, gdyż dzięki swemu ogromnemu bogactwu mogłaby pochłonąć czas, siły i energię człowieka przez całe życie.

Prywatna biblioteka Basslera obejmuje kilkanaście tysięcy tomów, dzieł prawie wyłącznie naukowych, wśród których spotyka się dużo białych kruków.

Poznał kraj, jego przyrodę i ludzi. Jest spostrzegawczy i wyrozumiały. Podczas każdej rozmowy z nim można się wielu nowych rzeczy nauczyć. Pisuje komunikaty i artykuły do prasy fachowej i gromadzi materiały, potrzebne mu przypuszczalnie do większej jakiejś pracy.

Poznaję drugiego naukowca dra Nakashima — meteorologa. Japończyk. Może ma i inne jakie zadania do spełnienia, na razie jednak zdobywa potrzebne mu dane meteorologiczne. Zastanowią one niejednego.

Zaprzyjaźniam się z dowódcą flotylli i kapitanem portu komandorem Carillą. Miły, uprzejmy, uczynny. Poznaję szereg kulturalnych i wykształconych ludzi, co już z góry usposabia mnie dobrze w stosunku do całego kraju.

Ale jesteśmy dopiero na cztery tysiące sześćsetnym kilometrze Amazonki licząc od ujścia i musimy wracać na rzekę.

Parowczyk miejscowej kompanii, miniatura naszej „Victorii", stoi przycumowany przy pływającym molo w oczekiwaniu sygnału. Jest wieczór. Niedawna nawałnica odświeżyła powietrze. Skupiamy się koło komina i wymieniamy ostatnie pożegnania z szeregiem nowo zdobytych przyjaciół.

Agent przynosi wreszcie jakieś ostatnie papiery. Rozdzierający gwizd głuszy słowa. Mocne uściski ręki i goście schodzą z pokładu.

Po chwili oświetlone molo jakby odsuwa się od nas. Błyskają światła na szkarpie, a w miarę oddalania się od brzegu ukazuje się ich coraz więcej w mieście. Oto i bulwar oświetlony kilku łukowymi lampami. Nasz „Malecon Palace" błyszczy wszystkimi oknami. Widać światło latarni na poprzecznej ulicy. A oto i druga, trzecia, czwarta, piąta, aż zlewa się wszystko w jedną linię drgających świateł. Po chwili tylko niewielka łuna pozostaje za nami na zachmurzonym dziś niebie. Przed nami noc, czarne wody Amazonki i nieprzebyta gęstwina puszczy leśnej, która ciągnąć się będzie aż po stoki Andów.

W nocy zatrzymujemy się. Będziemy ładować drwa, które oczywiście w lesie są tańsze. Wyjeżdżając z Iquitos parowiec miał na pokładzie zapas wystarczający zaledwie na parę godzin. Rzeka płynie w tym miejscu głębokim korytem, prąd jest dość silny. Toteż korzystamy z pierwszego kanału — *tipisca* jak tu mówią, żeby wyzyskać jego spokojne wody. Zresztą jest tu kilka osiedli, do których mamy odwieźć paru pasażerów i trochę towaru. Nad ranem wychodzimy z kanału, aby po chwili stanąć przy malowniczo rysującej się osadzie Paraizo, co znaczy w języku miejscowym raj. Ponieważ nie byliśmy nigdy w raju, więc korzystamy ze sposobności, ażeby go sobie z bliska obejrzeć.

Tartak, przy brzegu pełno niewielkich tratew złożonych z kloców pokaźnej grubości. Mało który ma mniej niż metr średnicy. Tu ludzie nie lubią zaprzątać sobie głowy drobnostkami. Na lewo przy tartaku płytka łacha, cała zawalona olbrzymimi kłodami mahoniu i cedru, które tu zwieziono podczas większego przyboru wody. Mierzę kilka bali, mają po sześć, osiem metrów długości i po półtora metra średnicy. Nie jest to nic wielkiego, w Nanay widziałem kłody o średnicy dwumetrowej.

Gospodarz, właściciel tartaku, jest uprzejmy i ruchliwy. Namawia nas na zwiedzenie całego gospodarstwa. Częstuje kawą, mlekiem, winem własnego wyrobu i gorącymi racuchami. Ponieważ zaglądam ciekawie do ogrodu, zaprasza mnie na przechadzkę. Mamy czas, gdyż na okręt będzie się ładować deski. Drzew w ogrodzie niewiele, ale jest wszystkiego po trochu. Nie raj zatem, ale taka sobie mała ogrodnicza arka Noego. Podziwiamy kapustę, której nie spodziewałem się tu spotkać; główki duże i twarde. Pytam gospodarza, skąd bierze nasienie.

— Nasienie tu nie wschodzi, nim do nas się dostanie, zwykle traci moc kiełkowania. Sami nie umiemy go wyprodukować. Widocznie słońce jest tu za silne, kwiaty schną i jeśli nawet dadzą trochę nasienia, to ono również nie kiełkuje.

— Więc jakże?

— Bardzo prosto, rozmnażamy z odrośli, jest ich pełno przy każdej główce. Niech pan patrzy. To jest najpewniejszy sposób. Cha, cha! — śmieje się — kto się tego nie domyśli, nie będzie jadł kapusty.

Dzielny chłop. Pokazuje mi piękne pomidory, sałatę, pietruszkę, która tu jest rośliną wiecznotrwałą itp. W końcu ogrodu ogromna pergola. Podchodzimy. Tumbo. Najwyraźniej, ale co za ilość; owoce wiszą tuż przy sobie, ogromne, lśniące, jeszcze piękniejsze i większe niż w Bello Horizonte. Nic dziwnego, jesteśmy przecież w raju.

Gospodarz uśmiecha się z zadowoleniem.

— Prawda — co za pnie. Tu tej rośliny nie doceniają, uważają ją prawie za chwast. Ale i my jemy jej owoce i świnki się tuczą. Jest to chyba najwydajniejsza roślina pod słońcem. Ten oto pień rozciąga się prawie na dziesięć metrów. Nie ważyłem zbiorów, ale myślę, że za rok da kilkaset kilo. I nie ginie, tak jak kawon lub melon. Mam ich tu tylko sześć, z tego dwa jeszcze nie owocowały. A co tego jest.

Było się czym zachwycać. Nie potrzebuję dodawać, że cały kosz owoców powędrował natychmiast na statek.

Zostajemy zaproszeni na śniadanie. Jest kapitan i paru pasażerów. Na stole wspaniała corbina, która mogłaby konkurować białością z naszym sandaczem, przewyższa go jednak delikatnością i smakiem. Na pieczyste sarenka. Jest i ryż własnej hodowli i fasola i maniok pieczony i osmażany, sałata z ogórków, których poprzednio nie zauważyłem w ogrodzie, prócz tego jeszcze jakieś mięsiwa, wreszcie marmolada z ananasów i c a j ú, który tu nazywają m a r a n o n, w końcu kawa; nie piję jej jednak, gdyż jest bardzo niesmaczna. Zadawalniam się pyszną soczystą pomarańczą.

Po paru godzinach nowy tartak — Puritania; o wiele większy niż poprzedni, ale drzewa ma znacznie mniej. Jest to olbrzymi murowany dom z pokaźną werandą obitą siatką drucianą, prowadzi do niego wyłożony cegłą chodnik mający co najmniej 200 kroków długości, przerywany od czasu do czasu schodkami.

Gdy podziwiam to urządzenie, kapitan wskazuje mi za tartakiem cegielnię. Teraz rozumiem.

Wnętrze domu dość proste ale solidne, czystość bez zarzutu. Gospodarzem jest skromny, poważny jegomość o sympatycznej powierzchowności. Zwraca moją uwagę jakiś znak masoński. Kapitan wyjaśnia, że właściciel jest mistrzem tutejszej masonerii.

A teraz największa niespodzianka. Wchodzą dwie panienki i zwracają się do mnie w poprawnej francuszczyźnie. Nie ukrywam zdumienia. Papa wyjaśnia, że przed paru miesiącami wróciły z Francji, gdzie się kształciły w jednym z klasztorów Sacré Coeur.

— Córki mistrza?

— Wydaje się to panu niekonsekwencją? My tu nie walczymy z Panem Bogiem.

Panienki bardzo polubiły Francję, ale tęskniły do domu, rodziny i kraju. Kraju Loreto [1]). Pojęcie ojczyzny utożsamiały z miejscem urodzenia. Inne było za rozległe i zbyt oderwane, tak samo jak dla owego tapuio z Belém, który mnie woził do swojej szakry.

Peruwianki są nie mniej dobrymi gospodyniami niż Brazylianki. Toteż musimy próbować bajecznych ciasteczek, konfitur, osmażanych owoców i różnych napojów. Oglądamy wyroby miejscowe. Któż by uwierzył, że z włókien banana można otrzymać niesłychanie mocne przędziwo, z którego robi się tu siatki, sznury i hamaki. Włókno przypomina konopie; dzięki temu, że jest tak mocne i trwałe, daje oszczędność na wadze i grubości. Spory hamak można bez mała zmieścić w kieszeni palta.

[1]) Nazwa departamentu obejmującego znaczną część Montanii peruwiańskiej na przestrzeni 600 tysięcy kilometrów kw.

Pan Otoniel Vela siedzi już tu dwadzieścia cztery lata. Pamięta dobre czasy. Przychodziły parowce wprost z Europy i Ameryki po drzewo. Twierdzi, że rzeka koło jego posiadłości ma przeszło czterdzieści metrów głębokości. W tej chwili tnie na zamówienie pięćdziesiąt tysięcy metrów cedru na trzy- i czterocalowe bale dla Liverpoolu. Pokazuje kolekcję rozmaitych drzew. Czerwone, fioletowe, żółte, zielonkawe, prawie białe, czarne, niektóre o pięknych, szlachetnej budowy słojach, inne plamiste, o dziwacznym rysunku, jeszcze inne pasiaste i o tak zwartej budowie, że trudno odgadnąć, w jakim kierunku rosły. Jedne miękkie, inne twarde jak kość, ciężkie lub lekkie, jak korek. Niektóre po oheblowaniu wyglądają jak polerowane. Bogactwo niesłychane. Zresztą widzimy tylko cząstkę tego wszystkiego, co tu istnieje.

Nad Amazonką odkryto dotychczas trzysta sześćdziesiąt gatunków drzew, a przecież nie zbadano jeszcze ani tysiącznej części kraju. Pytam o liany. Nikt się nimi nie zajmował; mieszkańcy nawet nie wiedzą, że mogą one dostarczyć pięknego materiału na forniry i inkrustację. W Brazylii południowej już się nimi zainteresowano. Świeże dają się ciąć jak burak, a po wyschnięciu stają się twarde jak kość i doskonale przyjmują politurę i lakier. Zapytuję o orchideje. Gospodarz ma parę krzewów, ale nie zna się na ich hodowli i nie docenia wartości. Teraz założył plantację agawy na wielką skalę. Podobno ma dawać niesłychane rezultaty.

Gwizdek „Melity" przerywa rozmowę. Skończono ładowanie. Parowiec wzywa kapitana i pasażerów do powrotu. Niosą za nami owoce. Ludzie, jak wszędzie w tym kraju, są grzeczni, uczynni i gościnni. Gość, nawet obcokrajowiec, jest mile widziany, nie tylko przerywa nudę monotonnego życia, ale może się stać sąsiadem lub współtowarzyszem pracy. Przestrzenie ogromne, ziemi przez nikogo nie uprawianej mnóstwo. Każdy przybysz — to wzrost pracy, obrotu, kapitału, to błogosławieństwo; to nie intruz natrętny, jak w starej Europie. Toteż witają go wszędzie z otwartymi rękoma i gotowością do niesienia pomocy.

SKĄD BIERZE POCZĄTEK AMAZONKA?

W trzy godziny potem jesteśmy u zbiegu Marañonu i Ucayali. Która z nich jest rzeką, a która dopływem? Peruwiańczycy rozstrzygnęli to w ten sposób, że uznali je obie za niezależne od siebie systemy wód, które po zlaniu się tworzą jedną rzekę zwaną Amazonką. Brazylianie uważają Maraño̧n za rzekę główną, Ucayali zaś za dopływ. Toteż aż do granicy w Tabatinga rzekę nazywają Maraño̧onem, dalej zaś Solimões, a Amazonką dopiero od połączenia się z Rio Negro.

Szerokość Maraño̧onu i Ucayali jest prawie równa. Ucayali jednak odrzuca wody Maraño̧onu pod lewy brzeg. Toteż na oko wody Ucayali mają przewagę; jest to tym bardziej widoczne, że wody jej są mętne i żółtawe, podczas gdy Maraño̧on jest ciemniejszy, jakby oliwkowego koloru i znacznie czystszy. Różnica siły wód występuje jeszcze wyraźniej podczas wielkich przyborów, dlatego też nie ma żadnych podstaw do uważania Ucayali za dopływ.

Poza tym Ucayali, licząc bieg rzeki Urubamby albo Apurimac, przewyższa o osiemset kilometrów długość Maraño̧onu; ta okoliczność przemawia również za tym, że Ucayali należałoby uważać za początek właściwej Amazonki. Sprawa będzie rozstrzygnięta, gdy zostaną przeprowadzone dokładne pomiary obu rzek i obliczona ich wydajność wody.

O parę kilometrów w górę od miejsca spotkania się obu rzek leży ostatnie większe miasteczko w tej okolicy na lewym brzegu Maraño̧onu — Nauta. Dalej spotykamy wyłącznie pojedyncze osiedla. Z tej strony Marañon przyjmuje cztery ważniejsze dopływy — Tigre, Pastaza, Morona i Santiago. Są to rzeki spławne, mało jednak zbadane, a wybrzeża jeszcze do dziś zamieszkane przez plemiona dzikich Indian, prowadzących

między sobą krwawe walki. Stąd właśnie pochodzą owe słynne na cały świat głowy ludzkie[1]).

Prawy brzeg Marañonu przecina w górze rzeki jeden tylko większy dopływ — Huallaga, przy nim leży jedno ze znaczniejszych miasteczek Montanii — Iurimaguas liczące 5 tysięcy mieszkańców, niegdyś punkt tranzytowy na jedynej drodze, łączącej Montanię z całym wybrzeżem Oceanu Spokojnego. Drogę tę przebył w roku 1880 nasz podróżnik i przyrodnik — Sztolcman. Były tu wówczas jedynie karkołomne ścieżki górskie, należało przebywać bystre potoki, fantastyczne rozpadliny i wysokie przełęcze. Toteż do ostatnich czasów wszyscy urzędnicy administracyjni, oficerowie marynarki rzecznej itp., odbywali swe podróże służbowe do Montanii drogą na... New York, skąd parowcem przedostawano się do ujścia Amazonki i dalej rzeką do Iquitos. Poważniejsi urzędnicy i oficerowie przyjeżdżali tu przez Paryż. Dziś po założeniu linii lotniczej z San Ramon w Andach do Iquitos, spacery te ustały, ale i droga na Iurimaguas straciła swą wyłączność, tym bardziej, że przeprowadzono o wiele wygodniejszą ścieżkę przez góry do Puerto Iesup nad Pichis, skąd można już przedostać się na Ucayali. Ciekawe, że już w roku 1880 Sztolcman znalazł w Iurimaguas kupca z Warszawy, Ludwika Lisley'a[2]) prowadzącego tu handel z całą Montanią peruwiańską i Brazylią i posiadającego poważne stosunki w Europie. Dziś pozostały po nim zaledwie wspomnienia i nieliczna zbiedniała rodzina.

Za ujściem Morony zaczyna się na Marañonie bardzo silny prąd uniemożliwiający ruch parowców, tak zwane P o n g o d e M a n s e r i c h e. W miejscu tym rzeka utworzyła gardziel długą na dziesięć kilometrów, otoczoną wysokimi, prostopadłymi skałami. Szerokość rzeki nie dochodzi tu miejscami nawet do stu metrów. Niewielkie tratwy przechodzą przez

[1]) W muzeum etnograficznym New Yorku znajduje się kolekcja przeszło trzydziestu głów; wśród tego dwa okazy całych postaci ludzkich; jeden z nich to człowiek biały — unikat w swoim rodzaju.

[2]) Właściwe nazwisko kupca — Dominik Meyer. Sztolcman nie wyjaśnia, dlaczego przybrał inne nazwisko.

gardziel bez wielkiego trudu o każdej porze roku. Indianie umieją na swoich łodziach przedostawać się tędy nawet pod prąd podczas niskiego poziomu wody. Powyżej Pongo rzeka staje się znów dogodna do żeglugi na przestrzeni dwustu kilometrów. Dalej nabiera charakteru wybitnie górskiego i dostępna jest tylko dla specjalnych tratewek wiązanych z trzciny; dzięki swej elastyczności przechodzą one bezpiecznie między kamieniami.

Marañon wypływa z jeziora Lauricocha położonego na wysokości 5.000 metrów nad poziomem morza i pierwsze osiemset kilometrów płynie w głębokim kanionie. Na znacznej przestrzeni przepływa przez złoża złotonośnego kwarcu, którego eksploatacja była tu prowadzona jeszcze w epoce Inkasów, o czym świadczą liczne wyrwy i tunele. Sam Marañon uchodzi w swej górskiej części za rzekę obfitującą w złoto. Toteż przed dziesięciu laty pewne przedsiębiorstwo amerykańskie ofiarowywało rządowi Peru spłatę całego długu publicznego państwa w zamian za koncesję na wyłączną eksploatację złota z rzeki. Tranzakcja nie doszła do skutku, ponieważ inżynierowie peruwiańscy oceniali zawartość złota w Marañonie na sumę o wiele większą. Państwo godziło się wydać koncesję, ale zastrzegło sobie prawo kontroli i udziału w zyskach, na co Amerykanie się nie zgodzili.

Ucayali jest jedną z najbardziej zaludnionych rzek Montanii. Długość jej wynosi około 1.200 kilometrów, licząc zaś z Apurimae lub z Umbambą — 2.000. Klimat ma o wiele łagodniejszy niż wszystkie inne tutejsze rzeki; temperatura w cieniu nie przekracza nigdy 35 stopni Celsjusza, średnia 28°.

Wieczorami wieją tu stałe wiatry, przeważnie z południowego zachodu od wysokiego płaskowzgórza Andów; powoduje to znaczny spadek temperatury, szczególnie w miesiącach zimowych, to jest wtedy, gdy u nas jest lato. W górze rzeki znajdują się spore osiedla Indian, zamieszkuje tu między innymi najliczniejszy ze wszystkich szczepów Montanii, szczep Kampa. Część Indian należy do tak zwanych civilizados, to znaczy, że wyzbyła się niektórych swoich obyczajów i skłonności, a nawet

częściowo przyjęła strój na pół europejski. Jedynie na pampa do Sacramento, na Gran Pachonal i w dorzeczu Sepahua i Mishahua są jeszcze Indianie infieles, jak ich nazywają — niewierni, którzy uważają się za właścicieli tego kraju i bronią się przeciwko wkraczaniu w głąb ich terytoriów. Rzeka Ucayali jest spławna do miejsca zlania się Tambo i Urubamby. Podczas suchego lata parowce dochodzą tylko do Bolognesi o sto kilometrów bliżej niż normalnie. Ucayali posiada mało kauczuku, za to znaczne ilości mahoniu i cedru, prócz tego doskonale się tu rozwija rolnictwo, oraz hodowla bydła i nierogacizny.

W kierunku Ucayali od strony Limy budowano do niedawna kolej. Aby przyśpieszyć roboty, rozpoczęto nawet układanie toru od strony rzeki w Pucalpie. Niestety utknięto na jedenastym kilometrze z braku środków. Droga jednak jest już wyznaczona i w górach kolej przechodzi obecnie przez najgorsze odcinki. Znaczenie jej jest bardziej strategiczne, niż gospodarcze.

Nad Ucayali w roku 1928 bawiła polska ekspedycja naukowa; miała ona na celu zbadanie użyteczności kraju dla kolonizacji polskiej. Próba kolonizacji odbyła się następnie w latach 1930—31. Z braku środków z powodu bardzo lichego doboru kandydatów na osadników próba nie udała się, nie mniej jednak stwierdzono na zasadzie szeregu raportów dyrekcji, lekarza i księdza, jak i poszczególnych osadników, że klimat nie wzbudza żadnych zastrzeżeń, zdrowotność była dobra, bezpieczeństwo zupełne, warunki hodowli znakomite, a rolnictwo rokowało jak najlepsze nadzieje.

UCAYALI

W nocy parowczyk nasz wygląda jak pobojowisko. Sześć malutkich kabin, jakimi rozporządzamy, mieści z trudem dwanaście osób, reszta układa się do snu na pokładzie. Jedni uwiązują hamaki, gdzie się da, inni rozkładają łóżka polowe opatrzone rozpiętymi na tyczkach moskiterami, jeszcze inni wyciągają toboły z materacami i umieszczają się na podłodze. Rodziny urządzają legowiska zbiorowe. Przejść między tą gęstwą hamaków, łóżek i porozkładanej pościeli prawie niepodobna, trzeba deptać po nogach, przeskakiwać przez leżących, przełazić na czworakach pod hamakami, co przy świetle jednego słabego kaganka ukrytego w oszklonej latarni nie jest ani łatwym, ani przyjemnym zajęciem.

W dzień ludzie rozłażą się po kątach, schodzą na dół do maszyn, na szkutę, obsiadają parapet na skrzynkach i tobołach, uprzywilejowani uciekają na przedni mostek, gdzie jest stanowisko pilota; w ten sposób życie się jakoś układa. Szczęściem na każdym postoju ubywa ludzi. Gdy wpływamy na wody Ucayali, pozostają już tylko: ksiądz franciszkanin, dwie zakonnice z Requeny, komendant posterunku z Contamany, Amerykanin inżynier z Pucalpy z jakimś podwładnym, paru kupców podróżujących i kilku wojskowych i urzędników udających się służbowo przez Pachiteję, Pichis i Puerto Yesup drogą lądową do Limy. Słowem elita.

Rano przy kawie rozmowa toczy się na temat stosunków miejscowych. Amerykanin wymyśla tutejszym mieszkańcom od leniów i niedołęgów żaląc się, że nie może dobrać personelu do pracy przy budowie kolei, mimo że płaci gotówką. Ksiądz Hiszpan, który od trzydziestu lat tu przebywa, staje w obronie ludności.

— Zapłać pan dwa sole, to będziesz miał ludzi. Za jednego sola nie pójdą do pracy.

— Nikt tu więcej nie płaci, więc dlaczego mielibyśmy podnosić cenę. Przecież nie będą pracowali ani lepiej ani dłużej niż gdzie indziej.

Ksiądz tłumaczy, że praca u miejscowych rolników czy przedsiębiorców to zupełnie co innego. Po pierwsze nie mogą oni więcej płacić, po drugie ludzie pracują u nich jak chcą, bez dozoru i pośpiechu, a na kolei nad każdą dziesiątką robotników stoi dozorca, który podobno nie pozwala nawet papierosa zapalić.

Amerykanin denerwuje się coraz bardziej.

— Jeśli nie ustąpią, sprowadzimy Chińczyków.

— Ładnie pan będzie wtedy wyglądać. Wyda pan na ich sprowadzenie tyle, że, jak to mówią, skórka nie stanie za wyprawę. A czy jest pan pewien, że za jednego sola tak bardzo rwać się będą do roboty?

— Już ja ich potrafię utrzymać w garści. Pracowałem z nimi całe lata — uśmiechnął się.

— Może, z naszymi tak łatwo nie pójdzie. Nie są zbyt odważni, buntu nie urządzą, ale uciekną i tyle będzie pan ich widział.

— To niech zdychają.

O to nie ma obawy. Jedzenia tu nie brak, dadzą sobie radę. Ale pan kolei nie wybuduje.

Czekałem, aż wmiesza się któryś z oficerów, czy urzędników, ale ci dziwnie oportunistycznie przyjmowali wylewy złości Amerykanina; jeden z nich potwierdził nawet zdanie inżyniera.

— Kraj niedołęgów. Natura pracuje za ludzi. — Zaczął przytaczać przykłady. Nie podobna znaleźć służącej. Żądają po dwadzieścia soli miesięcznie i Bóg wie jakie stawiają wymagania.

— Widzę, że i panu przydaliby się Chińczycy — wtrąciłem swoje trzy grosze.

— Niech mi pan nic nie mówi o Chińczykach. Oni tu nas zjedzą. Oni i Japończycy. Przecie tu co drugi sklep jest

chiński, albo japoński, zadomowili się już na Ucayali. Tu nie ma innego handlu. Z nimi nikt nie wytrzyma.

Wydają na życie połowę tego, co każdy Peruwiańczyk, albo i mniej, a pracują za trzech — odezwał się Amerykanin, — bardzo proste.

— Najważniejsze, że są solidarni i pomagają swoim rodakom, jak mogą — wtrącił ksiądz. — Tego by trzeba nauczyć naszych.

— To tak jak u nas — pomyślałem. — Nic nowego.

Opuściłem towarzystwo i poszedłem na pomost kapitański. Zastałem komendanta na leżaku przeglądającego paczkę pism. Były to pisma angielskie: Tygodniowy Times, Daily News, Graphic, kilka magazynów. Komendant był obywatelem angielskim, chociaż nazywał się Majer. Oczywiście jako cudzoziemiec nie mógł dowodzić parowcem, toteż miał bosmana, który oficjalnie figurował jako komendant. Pan Majer był dawniej poważnym kupcem. Zarobiwszy sporo pieniędzy na kauczuku wrócił do Europy i jak większość ludzi z Ameryki, stracił tam zarobione pieniądze i teraz na nowo się dorabiał. Człowiek kulturalny, energiczny i lubiany „na rzece", chociaż cokolwiek twardy i nieustępliwy w interesach. Znał doskonale całe dorzecze Amazonki peruwiańskiej, tak samo jak i jej ludność. Przebyłem z nim blisko tysiąc kilometrów rzeką Ucayali i nie pamiętam, żebyśmy spotkali po drodze jakąś bodaj najmniejszą osadę, której nazwy by nie znał, lub nie pamiętał imienia i nazwiska właściciela. Więcej nawet, bo wiedział jeszcze, ile, komu i gdzie ów właściciel jest winien. Miał tu kilkudziesięciu własnych dłużników, z którymi jednak obchodził się po ludzku.

Nie był wymagający. Nie można od człowieka wymagać więcej niż dać może. Nie ma pieniędzy? Głupstwo. Jest kura, kaczka, tuzin jaj, ostatecznie pół tuzina też się przyda. Zawsze to lepsze, niż nic. W ten sposób oczywiście może Majer jeździć jeszcze ze sto lat, o ile... nie zajdzie jakaś zmiana w koniunkturze na lepsze. Wtedy przyjdzie dzień Majera. Wyzyska tę chwilę napewno; ma doświadczenie, zna swoich ludzi, rzuci się w wir interesów z całą energią. I myślę, że jednak doczeka się mo-



Osiedle polskiego osadnika w okolicy Iquitos

mentu odpowiedniego. Ameryka i cały świat przeżywały niejeden kryzys, więc i ten, jak się kiedyś zaczął, tak kiedyś musi się skończyć. Cierpliwości. Obecnie dla zabicia czasu Majer sprowadza dobre pisma, lubi filozofować, gotów jest nawet zagrać w brydża.

Tuż za stanowiskiem sternika zauważyłem na frontowej ścianie kabiny blachę mosiężną z nazwą stoczni. Wyczytałem, że parowczyk wykonany został w Glasgow w Anglii. Pytam Majera, w jaki sposób przewiózł go na Amazonkę, chyba musiał go rozebrać na poszczególne części.

— Gdzieżtam, przyszedł tak, jak go pan teraz widzi. Tylko że na tym pokładzie miał jedynie kabinę kapitańską. Resztę nadbudówki wykonano w Manaos.

Parowczyk ma 280 ton. Obito go naokoło trzycalowymi tarcicami ustawionymi na sztorc, chroniącymi od zalewu fali. Ładownie i znaczną część dolnego pokładu naładowano węglem, zabrano zapasy wody, konserwów i wysłano pod dowództwem specjalisty od takich transportów. Majer zna go doskonale, przeprowadził on przez Atlantyk przeszło sto małych parowców. W Iquitos spotyka się parowczyki daleko mniejsze niż nasz, które były również dostarczone do Belém przez tego człowieka. Jest to najtańszy sposób przewozu. Dawniej holowały je duże parowce, ale kończyło się to nieraz tragicznie. Przy większej fali kable pękały i trzeba było zostawiać parowczyk na oceanie. Podobne wypadki podnosiły koszty asekuracji, wreszcie parowiec, który się podejmował holowania, obdzierał klienta w niemiłosierny sposób. Stąd powstał i rozwinął się tamten zawód. Cóż może się zdarzyć na oceanie, jeśli tylko nie zabraknie węgla i wody? W tej strefie nie ma ani raf, ani mielizn, a burze w pasie równikowym na Atlantyku są rzadkie.

— Ile dni szedł ten oto parowiec? — spytałem.

— Nasz jechał 26 dni. Były wypadki, że niektóre przychodziły w dwadzieścia. Jeden szedł 40, ale przyczyną tego opóźnienia była awaria w maszynie.

Ileż to kosztowało?

— Człowiek ów miał taksę. — Tysiąc funtów. Jego ludzie i opał. Za większe parowce brał drożej.

— A nie było wypadku, że zabrakło węgla?

— Prawie zawsze sprzedawał jeszcze węgiel po przybyciu do Belém. Miał załogę wyszkoloną i sam znał się na rzeczy. Teraz już się wycofał, zarobił ładny majątek i już tylko czasami, specjalnie uproszony, poprowadzi jakąś nową dostawę. Ma do tego zamiłowanie. Towarzystwa asekuracyjne stosowały przy tym zwykłą taryfę, ale tę już płacił kupiec. Nie miał chłop w życiu ani jednego wypadku.

Lubi pan żółwie jaja? — zagadnął po chwili.

— Tak sobie; próbowałem w Belém; były bardzo ciężkie; może nie umiano ich przyrządzać.

— Będziemy niedługo mijali plażę, gdzie żółwie chętnie się niosą. Każę poszukać.

W ciągu godziny byliśmy przy plaży. Jeden z marynarzy wyruszył uzbrojony w żelazny pręt, drugi niósł koszyk i szuflę z kotłowni. Poszedłem z nimi. Po krótkiej chwili znaleźli ślady świeżo udeptanej ziemi wyglądającej tak, jakby ktoś zdartą miotłą pociągnął po piasku. To ślady żółwi. Marynarze zaczęli próbować prętem.

— Jest. Jeden z nich szukał prętem dalej, drugi zabrał się do odkopywania. Na głębokości kilkunastu centymetrów ukazały się jaja, leżały tuż obok siebie. Kolor miały żółtawy, były trochę większe od gołębich; skorupa wyglądała jak pergamin. Pręt naruszył parę z nich, żółtko było bardziej gęste od kurzego i było go stosunkowo więcej, białko natomiast rzadsze. Naliczyliśmy osiemdziesiąt sztuk. W drugim dołku było pięćdziesiąt, w trzecim sto piętnaście. Bylibyśmy szukali dalej, ale Majer gwizdnął parę razy, więc musieliśmy wracać.

— Co to znaczy osiemdziesiąt, a nawet sto jaj. Dawniej znajdywałem po dwieście i więcej; nieraz widywałem całe setki samych gniazd. Za tłuszcz płacili drogo; wtedy wielu ludzi żywiło się tymi jajami. Jak zaczęli je wybierać, tak teraz ani żółwi, ani jaj.

— A widział pan jak żółwie znoszą jaja? — zagadnął ktoś inny.

— Skądże, pierwszy raz widzę te gniazda.

— Wyłażą w nocy gromadą, bo lubią to robić w towarzystwie. Kopią dołki tylnymi nogami, a potem włażą tam tyłem i kręcą się powoli w kółko, jakby świdrowały piasek.

Gdy dołki już są dość głębokie, wtedy unoszą się trochę w górę trzymając się piasku przednimi łapami i w tej pozycji od razu wypuszczają jaja. Potem zaczynają dołek zasypywać, a wreszcie wygładzają ziemię dookoła nachylając się jednym bokiem. Bardzo to śmiesznie wygląda. My nie czekaliśmy zwykle do końca i wyskakiwaliśmy z ukrycia. Żółwie oczywiście w nogi, bo są bardzo płochliwe. Ładowaliśmy nieraz całą łódź po brzegi.

Toż z tych jaj robiła się jajecznica, gdyście na nich siedzieli.

— I tak musieliśmy je potem deptać i ugniatać. Kto by je tam rozbijał po jednym, przecież zbieraliśmy ich tysiące.

Przyznaję, że nie bardzo z początku rozumiałem. Kazałem to sobie wytłumaczyć.

Z jaj żółwich wydobywano tłuszcz; głównie w tym celu je zbierano. Trochę odkładano do zjedzenia, a resztę tłuczono i zalewano wodą często mieszając. W dzień, gdy słońce silnie przygrzało, spływała z nich warstwa tłuszczu, który zbierano, a resztę wyrzucano do wody. Kto miał gospodarstwo w pobliżu, wyrzucał odpadki na brzeg, jadły je chętnie świnie, ptactwo, a nawet psy. Z jednej łodzi jaj otrzymywano parę blaszanek tłuszczu. Płacono dobrze.

Obecnie żółwie pozostają pod ochroną państwa i są teoretycznie zabezpieczane od tych barbarzyńskich praktyk, ale ponieważ komendant posterunku, który z nami jechał, był ich amatorem, więc za jego łaskawym pozwoleniem skosztowaliśmy tego przysmaku. Muszę przyznać, że nawet przyrządzone pod kierunkiem Majera, nic nie zyskały na smaku. Są ciężkie i o wiele gorsze od kurzych. Ciekawe, że białko się nie ścina, część tylko galarecieje, reszta pozostaje płynna.

— Nic to, pocieszał mnie Majer. Mamy tam na dole kilka c h a r a p a s, żółwi ziemnych, każę zrobić z nich na wieczór potrawkę. Zobaczy pan, jakie to pyszne.

Kto lubi cielęce nóżki, kostki i tym podobne rzeczy, ten oczywiście będzie lubić i żółwie. Ale dla mnie za dużo w nich chrząstek, a za mało uczciwego mięsa.

Mówiąc o mięsie trudno nie wspomnieć o dziwnej skłonności mieszkańców strefy podzwrotnikowej do tego pokarmu. Zdawało by się, że mając ryby, owoce, jarzyny, najmniej tam będą używać mięsa, tymczasem jest przeciwnie. Toteż nasz parowczyk wiezie parę sztuk bydła, które od czasu do czasu szlachtują. Podczas dalszej drogi komendant kupuje je u osadników. Po zabiciu wiesza się poćwiartowane połcie na przodzie dolnego pokładu, gdzie jest największy przewiew. Mięso obsycha, pokrywa się jakby cieniutką skórką pergaminową i może tak wisieć kilka dni. U nas byłoby to w lecie niemożliwe. Mięso nie psuje się tu z dwóch powodów. Po pierwsze chroni je ta skórka, która powstaje podczas suszenia, a po drugie nie ma tu zupełnie much, naszych zwyczajnych much. Tak, istnieje taki kraj na świecie, najbogatszy pod względem ilości i różnorodności latających i pełzających stworzeń, w którym nie ma jednak pospolitych much. Tym krajem jest Amazonia. Nie służy im klimat tutejszy, podobnie jak niektórym naszym podróżnikom i pionierom. Zdarzyło mi się kilkakrotnie zwrócić uwagę przebywających tam rodaków na ten poważny szczegół. Przyznawali się, że tego w ogóle nie zauważyli. Są tam wprawdzie drobne muszki podobne do naszych muszek, są w małych ilościach olbrzymie zielonkawe muchy latające jak opętane z niesłychanym bzykiem, jakie i u nas spotykamy. Ale zwyczajnej muchy — tego utrapienia naszych wsi i miast, stajen, podwórzy i mieszkań — która atakuje wszystko i wszystkich, siada na wszelkich słodyczach, mięsie i owocach — uprzykrzona, bezczelna, złośliwa, kąsająca i zakażająca wszystko — tej muchy tu nie ma. Stanowi to wielką ulgę dla mieszkańców. Szkoda tylko, że ludzie mają tak krótką pamięć.

W Monte Carmelo idziemy obejrzeć gospodarstwo, leżące o pół kilometra od brzegu. Duży dom. Za duży niewątpliwie i widocznie dlatego nie wykończony. Gorzelnia, przy niej specjalne urządzenia do wyrobu surowego cukru, warsztat

mechaniczny i stolarski. Obejście ogrodzone, za nim plantacje. Czystość i ład rzucają się w oczy. Kulturalny jegomość przyjmuje nas ze swobodą światowca. Gospodyni inteligentna i poważna robi ujmujące wrażenie. Kilkoro dobrze ułożonych dzieci zachowujących się wzorowo. Podają kawę, ciastka, słodycze, likier własnego wyrobu i owoce. Przyjęcie zorganizowane jest sprawnie, służba wyćwiczona, powiedziałbym, po wojskowemu. Nie dziw, gospodarz służył kiedyś w kawalerii, a potem był komendantem parowca. Widać, że umie rozkazywać. Interesy jego idą nieświetnie, ale na kryzys nie wynaleziono tu jeszcze lekarstwa.

Można tylko podziwiać, czego dokonał ten człowiek pracą własnych rąk. Rozum i energia biją mu z oczu.

Szczęśliwym trafem wybiera się z nami w górę rzeki. Zna tu wszystko i wszystkich. Przypomina trochę wszechwiedzącego Veigę, ale posiada większy niż tamten polot, ambicję i większą kulturę. Przypadamy sobie od razu do serca. Typ inteligentnego pioniera. Ten nie będzie się roztkliwiał nad sobą, ani zatruwał innym życia drobiazgami. Wszystko umie i chce sam zrobić. Pełen jest pomysłowości, potrafi sobie radzić w życiu. Na pewno nie będzie płakał nad rzeką, że nie ma co jeść, tylko nałowi ryb, a w lesie upoluje zwierzyny, lub nazbiera owoców; nie mając palnej broni użyje łuku, procy, kamienia, pałki, ale nie będzie oczekiwał zmiłowania Boskiego i czyjejkolwiek pomocy. W potrzebie zrobi łódź, lub tratwę. Nie położy się na ziemi, ani nie będzie spał pod gołym niebem. Potrafi zrobić szałas i urządzi się w nim możliwie z największym komfortem. Energię łączy z cierpliwością. Za największe nieszczęście będzie uważał bezczynność. Praca go nie męczy i ma jej zawsze pełne ręce.

Idziemy obejrzeć mieszkania Indian, których pracuje u niego około pięćdziesięciu. Uderza mnie czystość, ład i porządek. Zjawia się k u r a k a-naczelnik. Dyscyplina żołnierska. Gospodarz wprowadził wśród nich to, co u nas nazywamy przysposobieniem wojskowym. Z początku szło trudno. Bawiły ich ćwiczenia, ale nie można było stosować rygoru wojskowego. Po kil-

kunastu dniach, gdy nauczyli się stawać w szeregu i wykonywać najprostsze ćwiczenia, spróbował komendy wojskowej. Szereg znieruchomiał. Jeden z Indian położył swój drewniany karabin na ziemi, podszedł do kapitana i dotykając palcem jego piersi zapytał:

Dlaczego na nas krzyczysz? Czy myślisz, że jesteśmy głusi? — i najspokojniej wrócił do szeregu.

Trzeba było zmienić ton głosu i wydawać rozkazy częściowo za pomocą gwizdka.

Osiedle indyjskie u p. Urresti miało charakter obozu. Zaprojektował je i rozplanował sam. Swe zadanie cywilizacyjne rozumiał jako obowiązek zrobienia z Indian obywateli peruwiańskich, przyzwyczajania ich do cywilizowanego życia, wykorzenienia zwyczajów i praktyk leśnych ludzi. Dla dzieci założył szkołę, w której uczył czytać i pisać po hiszpańsku. Każdy dzień rozpoczynano niezmiennie pobudką i wciągnięciem na maszt bandery wobec stojących w szeregu dzikich. W ten sam sposób kończyło się pracę. Taką scenę pokazano nam i dziś przed udaniem się na parowiec.

Tym bardziej zapragnąłem obejrzeć prawdziwe osiedle indyjskie.

Zrobić przeszło 5 tysięcy kilometrów w głąb równiny amazońskiej i nie zajrzeć pod strzechy autochtonów, niedawnych władców tego dziewiczego kraju, byłoby grzechem nie do darowania. Znalazłbym tam jeszcze na pewno uratowane przed zachłanną cywilizacją europejską szczątki kultury pierwotnej, ostatnie przejawy prymitywnego życia.

Jakżeż ciekawe mogą być te dzieci natury, wśród której wzrosły, od której nauczyły się wiele rzeczy, z którą stanowią jakby nierozłączną całość.

Urresti obiecuje mi to ułatwić, chociaż nie ukrywa zdziwienia wywołanego tym, że szukam prymitywów, podczas gdy on wolałby mi pokazać wpływy kultury, które w człowieku przejętym tak jak on misją cywilizacyjną budzić muszą więcej zadowolenia i ciekawości. Stykał się z Indianami od dawna, przez jakiś czas w mniej odległej okolicy, gdzie początkowo się

osiedlił. Musiał z nimi walczyć. I te prymitywy, te naturalne przejawy pierwotnego życia miały dlań inne znaczenie, inne budziły uczucia. Stracił w walkach z dzikimi kilku bliskich ludzi i ma z nimi krwawe porachunki.

Prawda, bywają okrutni, ale czyż natura również nie jest okrutna? Są mściwi, ale czyż przejawy życia nie mogą w nich budzić gniewu? Są nieufni, ale czyż nie zrobiliśmy wszystkiego, aby im tę nieufność zaszczepić?

Żyli bez troski i bez obaw. Biały człowiek pozbawił ich ziemi, spokoju i bezpieczeństwa, przyniósł im okrutne choroby, nauczył pijaństwa, kłamstwa i kradzieży.

Łagodny klimat, bogactwo przyrody, liczne płody, których puszcza dostarcza, obfitość zwierzyny i ryb, zapewniały im środki utrzymania, usypiały raczej, niż rozwijały instynkt gromadzenia i przewidywania.

Olbrzymie obszary, niezajęte i niezaludnione mało dawały sposobności do spotkań i walk, nie było potrzeby skupiania się w celu obrony lub napaści. Temu zapewne należy przypisać słabą więź społeczną, jaka ich łączyła.

Toteż nie wytworzyli żadnej siły, którą by mogli przeciwstawić napadom białych najeźdźców. Rozbici są na liczne szczepy, niejednokrotnie obejmujące kilka niewielkich osiedli. Większość trzyma się biegu rzek, dwa tylko szczepy Kaszibowie i Kampa zajmują znaczniejsze terytoria, inne ludy są pomieszane ze sobą, tym bardziej, że większość z nich prowadzi życie koczownicze.

Jedynym wyrazem instynktu społecznego jest stworzenie czegoś w rodzaju gminy, której przewodzi k u r a k a. Częstokroć składa się taka gmina z jednego osiedla, rzadko obejmuje kilka wiosek. Urząd kuraki jest dziedziczny, zdarzają się jednak obieralni rządcy gminy. Nie ma on charakteru władcy, nie trzyma w swym ręku życia i śmierci swych poddanych; jest przewodnikiem; często zwołuje zgromadzenia ogólne. Prymitywna ta organizacja działa wzorowo; panuje tu zgoda i jednomyślność, jakie u nas trudno byłoby zaprowadzić nawet w rodzinie; swary i kłótnie są rzadkie. W rodzinie rządzi ojciec.

Jego rozkazy wykonywane są bez szemrania dzięki wrodzonemu poczuciu posłuszeństwa. Bardzo rzadko dochodzi do kar i bicia.

Okazja takiej wizyty w osiedlu miała się zdarzyć dopiero za kilka dni, tymczasem musieliśmy się zadowalać poznawaniem życia osadników pochodzenia europejskiego i Indian rzekomo cywilizowanych.

Skończono wreszcie ładowanie drew i trzeba było wracać na parowiec.

Nasz gospodarz wpadł tu od razu w objęcia księdza i zakonnic. Ksiądz potrzebował jego rad przy instalacji światła elektrycznego, które właśnie zaprowadzano w zakładzie i miasteczku, coś tam trzeba było obtoczyć, coś dopasować i potrzebowano pomocy jego warsztatu, naturalnie „za Bóg zapłać". Gospodarz od razu się zgodził, więc umówiono się, kiedy i kto ma przywieźć uszkodzone części maszynerii do naprawy. Synowi, który go odprowadzał, wydał polecenie ułatwienia wszystkiego wysłannikowi księdza i uprzedzenia o jego przybyciu matki, która zostawała na gospodarstwie. Z zakonnicami łączyła go inna sprawa, kształciły się u nich bowiem jego córki; przed paru tygodniami odebrał je z jakiegoś powodu i to dało okazję do gorącej dyskusji prowadzonej tak przyjacielsko i taktownie przez obie strony, iż trudno było się domyśleć, że chodzi im o jakieś zasadnicze rzeczy. Une guerre en dentelles, powiedzieliby Francuzi. Ten poprawny stosunek towarzyski spotyka się tu na każdym kroku. Pomimo gorących temperamentów ludzie są powściągliwi; nawet mniej wykształceni dbają o formy, co w wysokim stopniu ułatwia i upraszcza życie.

Matka przełożona, Hiszpanka, robiła wrażenie osoby pochodzącej z wyższego towarzystwa. Rozumna, wykształcona, nosiła swój welon zakonny z prawdziwym wdziękiem. Dotrzymywała jej towarzystwa Francuzka z Kanady. Obie pełne ognia i temperamentu, uważały swoją pracę za posłannictwo, ale ujmowały ją nadzwyczaj życiowo. Nie widać było w ich postępowaniu ani bigoterii, ani tym bardziej śladów sztucznego ascetyzmu.

Rozmawiały chętnie i interesująco o wszystkich przejawach życia. Reguła, zakon, były środkami do ułatwienia i usystematyzowania pracy, a nie celem, jak to się często zdarza. Umiały być użyteczne i budziły szacunek. Podziwiałem zachowanie się wobec nich Majera i pasażerów. Wszyscy bezwiednie ulegali ich urokowi. Ksiądz, gaduła, wesoły i towarzyski odznaczał się wybitną tolerancją. Robił, jak to mówią, cuda. Wybudował duży zakład i kształcił w nim dwieście dzieci, miał już cegielnię, młyn, łuszczarnię ryżu, kino, teraz zakładał w miasteczku elektryczność i projektował tartak; posiadał własną motorówkę, którą robił dalsze wycieczki. Wojował po trochu z władzami, wydawał jakieś pisemko, miał oczywiście drukarnię. Nic ludzkiego nie było mu obce. Bynajmniej nie zasklepiał się w sobie, ani nie pogrążał się bez reszty w brewiarzu. Pracował rzetelnie i z dużym nakładem energii. Był przodownikiem. Gdy go nazajutrz odwiedziłem w Requenie, zaszedłem do jego celi. Prosty stół, dwa krzesła, stołek, na którym stała miednica i łóżko z prostych desek, bez materaca; za kołdrę służył mu cieniutki, wyświechtany kocyk. Nie było nawet moskitery. Nie przeszkadzało mu to dowcipkować i zanosić się przy rozmaitych okazjach szczerym i radosnym śmiechem.

Zostawiłem u niego Urrestiego na wielkiej naradzie dotyczącej wyboru odpowiedniego miejsca na motor i poszedłem odwiedzić siostry.

Skromny, ale przyzwoity salonik, weranda ozdobiona powojami i kwiatami w doniczkach, czyste przestronne sale sypialne, w tej chwili puste, jak zawsze podczas wakacji, ale łóżka zasłane i okryte moskiterami. Kilka sal szkolnych, dość obficie zaopatrzonych w mapy, tablice, globusy i inne pomoce naukowe. Budowla wzniesiona hiszpańską modą w kształcie kwadratu; po środku patio całe zasadzone kwiatami. Za zakładem spory dziedziniec, dalej ogród nieźle rozplanowany, pełen drzew owocowych i grządek warzywnych. Z boku rozpoczęto budowę nowego gmachu z cegły. Stary drewniany budynek może pomieścić zaledwie dwieście dziewcząt, a ciągle zgłaszają się nowe kandydatki. Kilkanaście pensjonarek nie wyjechało na

wakacje do domów, rodzice mieszkają za daleko, przeszło o tysiąc kilometrów stąd. Bawią się więc, pomagają zakonnicom w pracy, niektóre uczą się muzyki. Dziewczęta dobrze ułożone, śmiałe, inteligentne, nieźle ubrane; wszystkie mają obcięte włosy; kilka blondynek. Któż by powiedział, że o paręset kroków od zakładu szumi puszcza odwieczna, spaceruje zwierz dziki, a w wodach krążą krokodyle.

Miasteczko liczy sześciuset mieszkańców, za miesiąc będzie posiadało oświetlenie elektryczne. Fakt ten jest trochę sprzeczny z naszymi pojęciami o warunkach życia w tym kraju.

W kilka godzin po odejściu od Requeny wjeżdżamy do kanału Puinahuas. Leży on na lewym brzegu Ucayali, ma około 200 kilometrów długości i pozwala na skrócenie podróży, gdyż zdążając nim, omija się tak zwaną „Madre", czyli właściwy nurt Ucayali na przestrzeni blisko stu kilometrów. Wejście wygląda jak prawdziwy kanał; szerokość osiemdziesiąt metrów; miejscami trochę większa. Prąd słaby, podczas gdy należało by przypuszczać, że będzie wręcz przeciwnie; brzegi nie podlegają zalewom, dobrze zarysowane, okryte lasem. Z rzadka spotykamy pojedyncze osiedla okolone niewielkimi plantacjami. Płyniemy jak w parku.

Wychodzimy z kanału nad ranem. Świta. Na jasnym tle nieba nieoczekiwany widok — góry. Są daleko, pokryte roślinnością, ale to już nie wzgórza Amazonki.

— Czyżby Andy?

Te są odległe od nas o sto pięćdziesiąt kilometrów w prostej linii. Skądżeby Andy. A jednak góry, wyraźnie góry. Przecieram oczy. Niestety, mapa oficjalna nic o ich istnieniu nie mówi. Na kilku innych skandalicznie białe plamy w tym miejscu. Ale wszystko wiedzący Urresti jest w pobliżu. Uśmiecha się.

— Cerros de Cushiabatay. *Divortium aquarum* z Huallagą, która zbliża się tu blisko na pięćdziesiąt kilometrów do Ucayali, zboczami można się do niej dostać, jest jednak i łatwiejsze połączenie rzeką Cataliną, później parę kilometrów trzeba przebyć pieszo i dalej znowu rzeką Chipurana. Indianie wędrują tą drogą po sól nad Huallagę, gdzie są jej złoża.

Dr Bassler zna te góry, jak później sprawdziłem. Ustalił ich wysokość — przeszło tysiąc siedemset metrów, a więc prawdziwe góry.

Rzeka posiada tu wyjątkowo dużo zakrętów. W pewnej chwili wydaje mi się, że góry się jakby zniżyły. Czyżby złudzenie optyczne? Zwierzam się swemu nowemu przyjacielowi.

— To inne pasmo — cerros de Canshahuayo, na prawym brzegu Ucayali; niższe oczywiście, odnoga cerros de Contamana. Ciągnie się na przestrzeni paruset kilometrów wzdłuż Ucayli.

— Gdzież u diabła jest nizina Amazonki? Płynąc nią widziałem naokoło wzgórza, a tu płyniemy bez mała jakąś doliną górską.

— To nie wszystko, od Requeny rozciąga się z daleka widoczne pasmo wzdłuż rzek Tapiche i Rio Blanco, łączy się na pewno z górami Canshahuayo; za parę dni ukażą się nam na lewym brzegu góry Sira, za nimi pasmo Iparia, dalej płaskowyż, na którym leży Gran Pajonal [1]). Na prawym brzegu mamy wzgórza oddzielające wody Ucayali od Jurús. Tylko że tego wszystkiego nikt dotąd nie badał i nikt nie zna. Tu przydałby się jeszcze z tuzin geografów, inaczej będziemy ciągle błądzić w ciemnościach.

Stajemy w kilku osiedlach, gdzie bosman w zastępstwie kapitana załatwia drobne interesy handlowe i zostawia pocztę. W Mahuiso zwiedzamy dwie szkoły, męską i żeńską. Na nauczycielkę tej ostatniej musimy przez chwilę czekać. Ukazuje się wreszcie ubrana jak z igły; nowiusieńkie lakierowane pantofelki, jedwabne pończoszki, doskonale uszyta sukienka, kapelusik, parasolka. Po siedemdziesięcioro dzieci w każdej szkole, na ogół są one dość inteligentne. Chłopcy mają boisko do piłki nożnej, dziewczęta uczą się szycia i robótek. Wszyscy mieszkańcy umieją czytać i pisać.

Pytam, czy co czytają. Niestety książek, prócz podręczników i jakichś wypisów, nie ma. Ludzie czytają wyłącznie pisma z Iquitos i z rzadka z Limy. Stanowi to duży kontrast z tym, co

[1]) czyt. pachonal.



Ryba, nazywana w części Amazonki brazylijskiej Pirarucú, peruwiańskiej Paicze

widniejących zabudowań. Opuszczona cukrownia i gorzelnia, spory dom piętrowy, wszystko częściowo w ruinie. Sporo drzew owocowych wokoło. Ani śladu człowieka. Właściciel zbankrutował i umarł. Sukcesorzy nie mając pieniędzy na uruchomienie fabryczki, porzucili ją, gdyż wolą mieszkać w Orellanie. Robiono tu próby założenia zakładu leczniczego, w okolicy znajduje się bowiem kilka źródeł, jedno siarczane i dwa żelazne. Idziemy je obejrzeć. Wspinamy się na wysokość przeszło stu metrów, aby dotrzeć do pierwszego z nich. O pięćdziesiąt metrów wyżej leżą dwa następne. Jedno bije silnie, woda gorąca, nie sposób utrzymać w niej ręki; podobno temperatura przewyższa 60 stopni. W innych źródłach woda prawie się gotuje. Okazały się one skuteczne; przez jakiś czas przyjeżdżali tu chorzy nawet z bardziej cywilizowanych okolic, ale warunki życia, oraz zupełny brak jakichkolwiek wygód powoli zniechęcały wszystkich. Pan Urresti nie traci jednak nadziei.

— Zobaczy pan, że miejsce to jeszcze zasłynie, będą tu przyjeżdżali ludzie z całej Ameryki.

— Dziwne wy macie wyobrażenie o tej Ameryce — odzywa się Amerykanin. — Ależ w samych Stanach Zjednoczonych są dziesiątki takich źródeł, a ile milionów wydano na ich urządzenie.

— Goddam, — irytował się potem na stronie, — że też ludzie nie umieją nigdy ocenić, ani wyzyskać tego, co przedstawia rzeczywistą wartość, a snują zawsze jakieś fantastyczne plany i to tym więcej, im są trudniejsze do zrealizowania.

Kapitan zatrzymał się tu oczywiście nie dla zbadania użyteczności źródeł. Po dłuższym gwizdaniu doczekał się wreszcie łodzi wiozącej z pobliskiej *cochy* ładunek *paiche*; zabrał go na pokład i ruszyliśmy dalej.

Płyniemy mając raz z jednej, to znów z drugiej strony zbliżającą się, to znów oddalającą się panoramę gór. Rzeka robi fantastyczne zakręty, aż wreszcie na prostej drodze przed nami wyrasta urwisko na przestrzeni przeszło stu metrów pokryte lasem. U stóp urwiska miasteczko Contamana. Rzeka zwęża się nieznacznie i płynie głębokim, dość wartkim nurtem.

Brzeg wysoki. Wzdłuż niego szeroki bulwar, obsadzony pięknie wyrośniętymi mangowcami. Ten bulwar przyniósłby zaszczyt miejscowości najbardziej kulturalnej. Miasteczka prawie nie widać, tak jest zasłonięte drzewami. Wreszcie wśród gałęzi prześwieca plac. Na szkarpie parę słupów do przycumowywania parowców. Przybijamy.

Rozpoczyna się maleńka groteska. Okazuje się, że port jest pierwszej klasy, według klasyfikacji administracyjnej. Musimy więc czekać na władze. Trwa to z pół godziny. Nareszcie ukazuje się podprefekt, za nim sierżant, dowódca posterunku, urzędnik skarbowy i sekretarz, wreszcie ajent pocztowy; jednym słowem — visita, jak w porcie morskim. Majer i bosman czekają przy kładce. Wzajemna prezentacja. Władze idą do kabiny komendanta. Sprawdzanie listy pasażerów, towarów, zapytania o zdrowotność itp.

Podprefekt wstaje i daje znak bosmanowi. Ruch ręką i „Melita" krótkim rykiem syreny ogłasza koniec urzędowej wizyty, oraz l i v r e p r a c t i c a, to znaczy, że można już przystąpić do czynności handlowych. Podprefekt uchyla się od poczęstunku. Reszta władz zasiada do stołu. Pasażerowie ruszają na brzeg. Z brzegu również tłoczą się ludzie. Straciliśmy przeszło godzinę czasu, ale zwyczajom stało się zadość.

Majer oznajmia, że właściwie przepisów nakazujących tego rodzaju formalności tu nie ma. Ale... trzeba czasem uwzględnić ludzkie ambicje i próżność.

Wychodzimy na bulwar, który rozciąga się na przestrzeni pół kilometra. Cztery rzędy drzew, ale jakich — jak w najpiękniejszym parku. Obwieszone owocami. Majer już wysłał dwóch ludzi z workami. Tu nie ma żadnych zakazów zabraniających ludziom używania tego, co Bóg dał. Będziemy mieli na kilka dni owoców.

Na bulwarze czysto, plac nieźle utrzymany, są nawet ławki. Dozorca z koszem i miotłą przy robocie. Tu władza czuwa nie tylko nad swoimi urojonymi prerogatywami.

Handel w ręku Japończyków. Ruchliwi, uprzejmi, przedsiębiorczy. Wszędzie pełno konserw: angielskie, północnoamerykańskie, portugalskie. Mąka amerykańska, ryż indyjski, cukier, sól i masło angielskie. Materiały łokciowe rozmaitego pochodzenia, większość jednak angielska, tak samo herbata a nawet cukierki.

Wdaję się w rozmowę z Japończykiem. Kupuje towary u hurtowników w Iquitos i mało się troszczy o ich pochodzenie. Byle by niedrogo zapłacił i mógł korzystać choć z niewielkiego kredytu; zresztą przeważnie trudni się handlem wymiennym, tak samo z klientelą, jak i ze swymi dostawcami.

Po dwugodzinnym postoju odpływamy. Wyjeżdża z nami poborca Izby Skarbowej. Rejon jego obejmuje całe Ucayali od miejsca spotkania się Tambo i Urubamby, aż po ujście. Należy do niego pobieranie podatków od handlu i od gospodarstw rolnych, coś w rodzaju podymnego; płaci się niewiele — pięć soli rocznie; zajmuje się także sprzedażą banderoli na wódkę, co zdaje się ma raczej znaczenie symboliczne. Większość malutkich gorzelni teoretycznie jest nieczynna, pozornie nawet rozebrana, ale cóż prostszego, jak je uruchomić. W ciągu trzech godzin alembik jest wmurowany. Sok z trzciny cukrowej po dwóch dniach zaczyna fermentować. Nie potrzeba żadnych kadzi, wystarczy niezdatna już do użytku łódź miejscowa, która nie koniecznie musi kłuć w oczy swą obecnością w szopie, może przecież bezpiecznie stać sobie o kilkanaście kroków w krzakach. Kupującym sprzedaje się na wszelki wypadek arkusz banderoli, zawsze jest czas je nalepić w odpowiednim momencie. Zresztą podatek jest niewysoki, ale czyż nie przyjemnie jest wyprowadzić urzędnika w pole. Tak mało ma się przyjemności w życiu. Zresztą poborca może wyjechać w teren najwyżej dwa razy na rok. Poczta pantoflowa działa tu sprawniej niż u nas, wieść o przybyciu władzy dosięgnie zainteresowanych dość wcześnie. Nie ma mowy o niespodziankach. Parowiec słychać nieraz już na dwa dni przed przybyciem, a to z powodu fantastycznych zakrętów rzeki, a wreszcie od czegoż Pan Bóg dał rozmaite furos, canos, tipichcas i vara-

deros[1]). Zresztą nawet dziecko pozna z daleka na rzece łódź *cobradora*[2]), tak jak u nas poznawało się kwestarza.

Taki *cobrador* jest w dodatku człowiekiem niepozbawionym serca, jak wszyscy tutaj. Wcale się nie upiera przy gotówce i ma dużo wyrozumiałości dla ludzkiej biedy.

Bierze, kiedy się da i co się da. My niedawno dopiero doszliśmy do pobierania podatków w naturze, gdyż uważaliśmy to w swej pysze europejskiej za coś poniżającego, obrażającego pojęcie o kulturze i cywilizacji, niemoralnego nawet. Okazuje się, że i pod tym względem prześcignięto nas o sto lat.

Toteż łódź poborcy jest duża, szeroka i głęboka: posiada piękne pamacari, coś w rodzaju szałasu zbudowanego na rufie z liści palmowych, załoga składa się zwykle z trzech ludzi; za mało ich jest, żeby móc wiosłować pod prąd, ale od czegóż są parowce. Gdy płyną w górę rzeki, przymocowuje się do nich łódź, a potem już tylko pozostaje chimbar (czimbar), jak tam mówią, z jednego brzegu na drugi, wypatrywanie osiedli i wiosłowanie z prądem bez wielkiego trudu, aż do swojej siedziby. Czego tam na tę łódź się nie ładuje. Kury, kaczki, jaja, cukier, wódkę, obanderolowaną naturalnie, bolos kauczuku, kręgi żywicy copal; ostatecznie ryż, fasolę, suszoną rybę, a nawet świnki. Wszystko to stanowi pieniądz, w najgorszym razie można przecież zjeść. Poborca nie otrzymuje uposażenia, pracuje za pięćdziesiąt procent pobranych podatków; jeśli się zna na rzeczy, ani on, ani skarb nie poniosą uszczerbku. Gdy łódź się wypełni, cóż prostszego jak wynająć, lub wypożyczyć drugą; ludzie są uczynni i wyrozumiali.

Taką łódź mamy i dziś u boku parowca. Majer jest człowiekiem ludzkim i robi to przez zwykłą uprzejmość. Może nawet mają między sobą jakieś rachunki, zresztą jeden pasażer

---

[1]) Furos — kanały przerywane podczas przyborów; canos — stałe kanały łączące wody jezior z rzeką; tipichca — kanał łączący górną część rzeki z dolną i skracający przeważnie przestrzeń, varadero — przejście lądem między dwoma rzekami, lub zakrętami rzeki.

[2]) cobrador — poborca.

wykształcony i dobrze wychowany nie obciąży tak dalece parowca. Życie składa się z kompromisów i usług wzajemnych.

Ktoś zwraca uwagę na plażę na lewo, która wygląda, jakby była pokryta śniegiem.

— *Garças* — słyszę — czaple.

Zbliżamy się na dwieście metrów. Spory zakręt przed nami. Cały kolisty cypel gęsto usiany ptakami. Większość, jak można sprawdzić przez lornetki, to g a r s a r e a l — dające egrety. Oddzielnie stoją olbrzymie t u t u y o [1]). Mają spłaszczone, śmiesznie zagięte do góry dzioby. Tułów marabuta, długie niezgrabne nogi. Trochę dalej rodzaj bociana amazońskiego zwany *manchaco* [2]). Ptak ten ma czarne nogi i takiż dziób, trochę zagięty w dół. Jest ich ze sto pięćdziesiąt sztuk. Czapli za to tysiące. Trochę dalej jakaś różowa plama; zbiły się tam w gromadkę *spatule* [3]), duże czaple o różowym upierzeniu, wpadającym w odcień czerwony na skrzydłach. Dziób płaski i rozszerzony w kształcie łyżki.

Ptaki zaczęły się niepokoić. Pierwsze próbują zerwać się olbrzymie *Mycteriae*. Robią to w komiczny sposób rozkraczając szeroko nogi i podskakując zupełnie jak człowiek.

Ktoś niepotrzebnie strzela z rewolweru. Ptactwo zrywa się jak porwane uderzeniem wichru. Bociany ciężkim lotem odleciały w stronę lasu, czaple wzbiły się białą i różową chmurą i zakołowały w powietrzu przesłaniając słońce. Aż huczy od uderzeń skrzydłami. Zawróciły okrążając parowiec i wyciągnęły się szeroką ławą w nie kończący się sznur, by osiąść o parę kilometrów dalej. Teraz spotykamy je coraz częściej. Widok fantastyczny.

W Javinacocha zatrzymujemy się na dłuższy postój. Jakieś skomplikowane rachunki. Mamy brać drwa, cukier w postaci zwitków melasy, partię świń, które dopiero mają sprowadzić z lasu i zboże.

---

[1]) *Tutuyo* — nazywane w Brazylii *Jabirú mole que* — *Mycteria americana*.

[2]) *Manchaco* — *Tantalus loculator*.

[3]) *Spatula* — *Platalea ajaja*.

O sześć kilometrów jest tu olbrzymia *cocha*, można by płynąć kanałem, ale podobno za mało jest w nim wody. Zabieramy dwóch Indian i z panem Urrestim robimy wycieczkę nad jezioro. *Trocza* (ścieżka) prowadzi w malowniczych skrętach do jego brzegów. Tam odnajdujemy ukrytą w szuwarach łódź i przeprawiamy się na drugi brzeg. Szerokość jeziora wynosi przeszło kilometr, długość obliczają na dwadzieścia kilometrów. Woda czysta, dno przy brzegu piaszczyste, głębokość przeszło pięć metrów, podobno są nawet miejsca głębsze. Ryb widzi się mnóstwo. Są i krokodyle, ale nieliczne, gdyż zwierzęta te mają specjalne uprzedzenie do tych okolic. Urresti tłumaczy to tym, że woda jeziora jest dla nich za zimna, co przypisuje istnieniu źródeł.

Na zachodnim brzegu jeziora znajduje się osiedle Indian, nietknięte przez cywilizację, takie, jakie chciałem zobaczyć. Z daleka, z poza nadbrzeżnych krzaków widać dachy, przy brzegu kilka łodzi. Ludzi ani śladu.

Dobijamy. Pusto. Plaża niewielka, szkarpa ukośna dość wysoko zarośnięta trawą i krzakami. W górę prowadzi szeroko wydeptana ścieżka. O sto kroków od brzegu rozległy wyręb obejmujący więcej niż mórg niezalesionej przestrzeni. Ziemia tu wyrównana i jakby ubita. Pośrodku jakiś budynek wyglądający jak duża stodoła bez ścian. Z jednej strony domek na palach, z drugiej parę mniejszych szop. Dokoła panuje czystość, jakby tu ludzie zupełnie nie mieszkali. Ani jednego źdźbła, listka, czy skórki owocu.

Czyżby ludzie uciekli? Wysyłamy przodem naszych wioślarzy. Wydają oni jakieś gardłowe okrzyki, ale nikt się nie pokazuje. W końcu w jednej z mniejszych szop znajdują dwie stare, bezzębne kobiety. W drugiej starego Indianina. Spotykamy jednak i inne ślady życia. W dużej szopie widnieje przy samym wejściu ognisko, trzy długie szczapy ułożone w gwiazdę, zbliżone do siebie końcami; tlą się silnie. Pomiędzy nimi kupka żarzącego się węgla i garnek ze strawą, obok kilka różnej wielkości naczyń, trochę manioku, oraz oparta o słup kiść grubych, na pół dojrzałych bananów. Takie same ogniska widać pod

mniejszymi szopami. Kilka papug siedzi na żerdzi koło szopy, obok parę kur i trzy wspaniałe, o lśniącym czarnym upierzeniu *mutum* [1]). Spomiędzy szop wycofuje się w kierunku zarośli sznur brunatnych kaczek, są to *guanány*. Widocznie rzadko widują tu Europejczyków.

Wokoło cisza. Urresti posyła swoich ludzi, by uspokoili i sprowadzili resztę mieszkańców. Tymczasem rozdaję jakieś drobnostki znalezionym tu starcom.

Indianie często tak postępują. Jedni w ogóle nie lubią stykać się z Europejczykami, inni obawiają się, że będą ich zmuszać do służenia w marynarce; zdarzały się takie wypadki. Teoretycznie i Indianie są obowiązani do służby w wojsku. Ponieważ ochotników jest zwykle pod dostatkiem, więc władze nie potrzebują przeprowadzać przymusowych poborów. Próbowano brać Indian w nadziei, że będzie to doskonały sposób do zetknięcia ich z życiem cywilizowanym i osiągnięcia wpływu na ich środowisko. Ale nie dało to żadnych rezultatów. Jedni po prostu zostawali w Iquitos i zrywali stosunki ze swymi szczepami, inni uciekali do lasu i tam pozbywali się czym prędzej wszelkich znamion cywilizacji.

Nie bardzo się temu dziwiłem.

Tu w swoich osiedlach mogą się czuć panami, nikt ich nie potrąca i nikt im nie wydaje rozkazów. W miastach zaliczają się do proletariatu. Dyskwalifikuje to ich podwójnie. W lesie są wolni i niezależni. W świecie cywilizowanym drżeć muszą co chwila o swoją skórę, w dodatku podlegają tam reglamentacji zawodowej, która przyznając szereg teoretycznych korzyści, praktycznie uniemożliwia im wszelką inicjatywę. Stają się więc podwójnie niewolnikami. Toteż nie tęsknią do cywilizacji, a przeciwnie, wolą od niej uciekać.

— Rozumiem, że uciekli mężczyźni — zwróciłem się do mego cicerone — ale dlaczego znikły kobiety i dzieci?

— To przykra sprawa. Widzi pan, w dawnych czasach, a nawet jeszcze podczas handlu kauczukiem, ludność biała, która nie rekrutowała się przecież spośród pustelników ani

[1]) *Hocco*.

szarytek, stosowała jedyny w swym rozumieniu sposób zdobywania bezpłatnej i posłusznej służby. Ponieważ zmuszanie do pracy dorosłych Indian nie zawsze się udawało, gdyż łatwo ratowali się ucieczką, wymyślono inny sposób — rabowano dzieci. Nazywało się to *correria*. Starszych mordowano, jeśli się bronili, lub pozwalano im uciekać. Dzieci do dwunastu lat zabierano. Wychowywane w domach, przy rodzinach ludzi białych, zatracały całkowicie związek z życiem leśnym, a nawet z biegiem czasu przywiązywały się do swych opiekunów. Uchodziły za wychowanków, chociaż były w rzeczywistości niewolnikami. Obchodzono się z nimi nienajgorzej, ale oczywiście ani im nie płacono, ani nie wyposażano. Przyzwyczajano je tylko do pracy i posłuszeństwa. W ten sposób rozwiązano tu kwestię robocizny.

Wspomnienia tych *correrias* tkwią jeszcze w pamięci Indian. Na pół cywilizowani nauczyli się już bronić przed nadużyciami. Tacy, jak ci tutaj, szukają ocalenia w ucieczce, chociaż nic im już dzisiaj nie grozi, bo tego rodzaju przewinienia są surowo tępione i karane.

Nie mogąc doczekać się właścicieli, zaczęliśmy oglądać gospodarstwo. W dużej szopie o szerokości blisko dwunastu metrów i przeszło dwudziestu długości mieszkało sześć rodzin, sądząc z ilości szerokich kwadratowych pryczy, które zajmowały całą prawą stronę szopy. Budynek zbudowany był z okrąglaków; zauważyłem między nimi sporo drzewa palmowego. To, co my nazywamy wiązaniem, było wykonane dosłownie za pomocą łyka. Poszycie z liści palmowych *yariny*, byliśmy bowiem w miejscowości, gdzie jest jej bardzo dużo, zrobione było nadzwyczaj kunsztownie. Prycze wzniesione na słupkach około 60 centymetrów wysokości. Na wierzchu maty z liści palmowych. Z boków, pod samym dachem, zawieszone były półki z listew rozmaitej szerokości. Pełno tam było najrozmaitszych przedmiotów: garnki, łyżki, kopystki, tarki, koszyki, fajki, wachlarze do rozniecania ognia, miotełki, a nawet plecione z łyka talerze. Na ziemi tu i ówdzie stały miniaturowe stołki, wysokości dziesięciu do piętnastu centymetrów.

Zza krokwi w dachu wyglądały łuki i strzały. Na wystającej żerdzi wisiała *macana* — miecz drewniany, pięknie rzeźbiony i malowany. W jednym kącie stał olbrzymi garnek z gliny wysokości stołu, a pojemności około stu litrów. Zadziwiające, jak potrafili dzicy ulepić coś tak wielkiego, a ponadto wypalić, nie mając żadnych narzędzi i nie znając pieców garncarskich. Urresti twierdzi, że spotykał i większe garnki. Ten tutaj był cienki jak porcelana i ozdobiony pięknym czerwonym ornamentem.

W przejściu pomiędzy główną szopą i mniejszym szałasem stały dwie stępy drewniane. Były jeszcze pełne kukurydzy; tłuczki porzucono obok. Widocznie spłoszyliśmy kobiety w trakcie pracy. W mniejszym szałasie prócz pryczy znaleźliśmy warsztat tkacki bardzo pomysłowy i prosty. Zastanowiło mnie niezwykle długie czółenko. Spory kawał gotowej tkaniny pozwalał ocenić zdolności pracownicy. Wyrób ścisły, równy, zakończony bez zarzutu. Materiał gruby, ale miękki, ma kolorowe o dyskretnej barwie szlaki. Obok na słupie — motowidła nici. Szpulki rzeźbione, upiększone ornamentem. Na półce kawał podobnego materiału, wymalowany w deseń z łamanych linii: jedne grubsze w brunatnym kolorze i wijące się pomiędzy nimi cieńsze, prawie czarne. Przepiękna rzecz.

W tej chwili przybywają nasi wysłannicy, wiodąc kilku Indian i grupę kobiet. Rozdaję kilka paczek papierosów i zapałek. Wydaje mi się, że największy zachwyt budzą zapałki, szczególnie u płci żeńskiej. Mam również w pogotowiu igły, haczyki na ryby i lusterka. Przyjaźń zawarta, niestety mamy jeszcze tylko godzinę czasu.

Zwiedzamy osiedle. Razem z Indianami powróciły psy i małpy. Jest ich kilkanaście sztuk. Psy nieufnie obwąchują powietrze. Gdy zbliżamy się, warczą z cicha, ale nie zdradzają żadnych wrogich zamiarów, są zresztą małe i wychudzone. Indianie nie robią sobie z nimi ceremonii, co chwila ktoś je kopie. Nie wiadomo, po co je trzymają. Jakiś badacz, zdaje się Tessmann, twierdzi, że robią to dla zaspokojenia swych skłonności sadystycznych, ot tak — żeby było się nad kim znęcać.

Z małpami wiąże ich coś innego. Niejednokrotnie później spotykałem kobiety indyjskie obładowane maniokiem, kukurydzą, lub bananami i dźwigające prócz tego na ramionach, lub na czubku niesionego toboła spore małpy.

Ponieważ zainteresowałem się ceramiką, jakiś starszy Indianin prowadzi nas w róg osiedla przy samym brzegu. Widzimy niewielki szałas. Na ziemi kilkanaście naczyń. Szałas ma powałę, której inne nie posiadają, prowadzi na nią rodzaj schodów wyrąbanych w pochyłym pniu. Ryzykuję wejście na górę. Jest ona częściowo zastawiona garnkami, widocznie świeżo wyrobionymi, pomiędzy nimi stoi już kilka wymalowanych i wypalonych. Prawdziwa więc fabryka. Wracamy do głównej szopy. Kilka kobiet już się porozsiadało na pryczach i przeglądają się w lusterkach. Na nasz widok chowają je i robią poważny wyraz twarzy. Starsze kobiety są dziwnie szpetne, włosy mają rozczochrane — istne czarownice.

Przypominam sobie, że w kieszeni mam sporą paczkę czerwonych paciorków. Zabrałem je z Iquitos w nadziei, że wzbudzą sensację. Wydobywam je więc i ofiarowuję damom, a później mężczyznom, ale nikt jakoś się do nich nie kwapi, podczas gdy po igły i lusterka wyciągali ręce dość łapczywie. Wsypuję je jednej z kobiet do podołka, wyrywa się i zaczyna chichotać, to samo robią inni; zataczają się prawie ze śmiechu, niektórzy aż przysiedli na ziemi i rechoczą trzymając się za brzuchy.

Okazuje się, że popełniłem ogromny nietakt. Nie mam gustu. Któż widział ofiarowywać czerwone paciorki. Ludzie dystyngowani używają wyłącznie czarnych, lub ostatecznie białych. Ale czerwone paciorki — cóż znowu!

Rumienię się. Cóż mi pozostaje. Już nigdy nie kupię czerwonych paciorków. Sznurek trzymany w ręku wyrzucam w krzaki.

Wracajmy. Czuję, że zbłaźniłem się. Na pewno nie obiorą mnie tu na kurakę.

Tymczasem grozi mi coś gorszego. Zbliża się starsza kobieta z dużym garnkiem i czymś w rodzaju czerpaka. Massato! wielki Boże! Nigdy! Urresti wtrąca się:

— Nie można odmówić.

— To nic, niech pan powie, że jestem chory. Zresztą najwyżej zarżną mnie, lub rozwalą mi czaszkę *makaną*; tu pala tortur nie znają. Przecież żuły to przez dwa dni te straszydła.

— To cóż, że żuły — próbuje uspokoić mnie Urresti. — Teraz to już sfermentowało; alkohol, jak pan wie, posiada własności dezynfekcyjne.

— Chociażby nawet tak było, dziękuję. Nie i nie.

Mój cicerone nachylił się jednak do garnka i pozwolił wlać sobie do gardła parę łyków cieczy szarego koloru.

Nasi dwaj Indianie nie dali się prosić. Ze znawstwem napili się tego płynu. Jeden, widocznie bywalec, odsunął czerpak i zaczął dłonią nabierać massato.

Jest to wyraz uprzejmości.

Czym prędzej wycofałem się i usiadłem na samym końcu łodzi. Miałem już dość prymitywów.

Mój towarzysz uśmiecha się trochę złośliwie.

Z trudem odwołujemy naszych wioślarzy.

Jeszcze parę łyków i jeszcze. Nie ukrywają niezadowolenia, że muszą odejść.

Cała gromada odprowadza nas do łodzi. Nie wiadomo, skąd nabrało się ich tylu, ośmielili się; ukazały się nawet dzieci; chowają się jednak z daleka między krzakami.

Kilku Indian wchodzi do wody. Spychają łódź, która pchnięta energicznie jak strzała wypływa na głębię. Ktoś z czeredy irytuje się, wykrzykuje coś gardłowym głosem, inni się śmieją. Mój brak wyrobienia towarzyskiego widocznie źle został przyjęty. Ale jesteśmy nareszcie na jeziorze. Mniejsza. Nie kandyduję tu na posła, ani na *kurakę*. Wątpię, czy się spotkamy.

Pozostawiwszy wioślarzom kłopot wyciągnięcia łodzi i schowania jej w krzakach, sami ruszamy spiesznym marszem z powrotem. Już niedaleko czakry gubimy ścieżkę i wychodzimy na środek niewielkiej plantacji bawełny. Gatunek *See island*. Urresti nazywa ją *Ceylan*. Oczywiście nieporozumienie. Po angielsku brzmi to — sie ajland. Mieszkańcom wydała się ta

nazwa podobna do Ceylonu i zostało Ceylan. Przyjęła się ona nawet w handlu. I teraz nikt im nie wytłumaczy, że takiego gatunku nie ma. Zresztą słusznie można by sądzić, że jest to jakiś nowy gatunek. W Stanach bawełna nie wyrasta ponad osiemdziesiąt centymetrów, tu dochodzi do trzech metrów wysokości i wygląda jak spore drzewko. Tam jest to roślina jednoroczna, a tu wytrzymuje kilka lat. Nie ma się czemu dziwić; tak zwana *Rough Perú*, ceniona wysoko na rynku angielskim, owocuje przez dwadzieścia lat z rzędu. Płacą za nią o pięćdziesiąt procent drożej.

Za bawełną plantacja trzciny cukrowej. Urresti twierdzi, że zna ją co najmniej od piętnastu lat, rodzi bez przerwy i wcale nie widać wycieńczenia, podczas gdy nawet na Kubie plantacja nie może istnieć dłużej niż trzy lata na jednym miejscu. Pięcioletnie plantacje są rzadkością, mimo że stosuje się tam specjalne nawożenie ziemi, a uprawa roli zdobyła sobie pierwsze miejsce na świecie.

Silny zapach fuzlu ostrzega nas, że gdzieś w pobliżu odbywa się, lub odbywała jakaś fabrykacja. Urresti łapie się porozumiewawczo za nos. Po chwili między drzewami spostrzegamy szopę. Ale oto i pierwsze opłotki, sad, zabudowania. Za pięć minut będziemy na „Melicie".

Rano jesteśmy w Pucalpie, końcowej stacji budowanej obecnie kolei. Niewielka parowozownia. Stoją w niej dwie lokomotywy, ze czterdzieści lorek, leżą zwały szyn, stosy powiązanych drutami łączników, skrzynie ze śrubami, posztablowane podkłady. Tuż obok parę domków dla kierownictwa budowy i personelu technicznego.

Strajk. Ludzie nie pracują. Na brzegu około pięciuset robotników. Władze. Pojawia się ksiądz franciszkanin. Dwie zakonnice. Oczekują jakichś przesyłek i poczty.

Przy brzegu silny prąd. Z trudem przybijamy i rzucamy cumy.

Amerykanin wściekły. Liczył trochę na to, że jego nieobecność uspokoi ludzi i pozwoli zarządowi ująć ich w karby.

— Do wszystkich diabłów! Rozpędzę to tałałajstwo i *capatarów* [1]). Niedołęgi. Można tu co zrobić!

Jesteśmy już spóźnieni, nie możemy długo się zatrzymywać. Wyruszamy o dziewiątej w dalszą drogę. Po godzinie jesteśmy przy Bauhanisio.

Na wyciętej polanie zarosłej soczystą trawą widnieją gdzieniegdzie potężne palmy *chapaja* (babassú w Bryzylii). Pozostawiono je tam ze względu na owoce i oleiste jądra pestek. Pomiędzy nimi pasie się trzysta sztuk bydła, kilkanaście owiec i świń. W niewielkim ogrodzie, między szeregami znanych już nam roślin, nowa niespodzianka — drzewko dające groch jadalny, okryte strąkami. Dostajemy tę potrawę podczas śniadania, jest zupełnie niezła; podobno ziarna groszku bez strąków są smaczniejsze, lecz obecnie jeszcze niedojrzałe.

Idziemy obejrzeć z bliska bydło. Jest niezwykle łaskawe, podchodzi samo do ludzi, pozwala się głaskać. Trudno się domyśleć, jakiej jest rasy, ale ma cienką kość, delikatną skórę, drobne rogi i dość rozwinięte wymiona. Jest nie bardzo mleczne, ale stanowi doskonałą podstawę do selekcji, lub krzyżowania.

Stąd mamy jeszcze sześć godzin drogi parowcem do Masissei, o ile nie będziemy się nigdzie zatrzymywać. Istnieje jednak podobno *varadero* [2]). Urresti proponuje spróbować. Powinniśmy w ciągu godziny wydostać się znów nad Ucayali, ale trochę powyżej Masissei. Płynąc z prądem powinniśmy tam przybyć w godzinę. Przyjmuję propozycję z zachwytem. Gospodarz twierdzi, że *trocza* — ścieżka — jest widoczna. Przyłącza się do nas jeszcze dwóch pasażerów i ruszamy. Ścieżka zarośnięta, ale rzeczywiście widoczna. Po drodze przeszkoda — niewielka rzeczka, przez którą przerzucono pień palmy. Jakieś dziesięć metrów zaledwie. Moi towarzysze bez namysłu zrzucają buty i prawie biegiem biorą przeszkodę. Palma się ugina i muszą trochę tańczyć na kładce, twierdzą jednak, że właśnie dobrze, gdyż dodaje to krokom elastyczności.

---

[1]) Dozorców.

[2]) Przejście lądem od jednego zakrętu rzeki do drugiego.

Mam pewne wątpliwości co do swoich uzdolnień akrobatycznych. Woda ciemna, głęboka i są w niej jacyś gospodarze. Kto wie, jak przyjmą moją wizytę. Ale od czegóż się jest jeźdźcem. Siadam okrakiem na kładce i trochę wolniej oczywiście, niż inni dostaję się i ja na drugi brzeg. W połowie drogi rzucam okiem na wodę. Zgadłem. O kilka kroków od palmy zarysowuje się wyraźnie sylwetka krokodyla. Udaje martwego. A jakże. Ale co za cierpliwe stworzenie. Gospodarz twierdził przed chwilą, że dwa tygodnie temu w tym właśnie miejscu krokodyl zjadł rocznego cielaka. Nie mam wyrzutów sumienia, jeśli tym razem zawiodłem oczekiwania wodnego myśliwca. Niech czeka na następną zdobycz.

Po godzinie i dziesięciu minutach ujrzeliśmy rzekę. O pół kilometra w bok widać czakrę. Po drodze płytkie jeziorko. Natrafiamy na szereg pni, które tu zwalono dla ułatwienia przejścia.

Moi towarzysze ruszają gęsiego. Ja wolę obejść wokoło, choć muszę nadłożyć w ten sposób drugie tyle drogi. Między krzakami i w trawie coś się rusza. Słychać głośne chrząkanie. Chyba świnie. Zbliżam się dość nieopatrznie i na chwilę martwieję. Dziki. Jest ich kilkanaście. Poczuły mnie. Stłaczają się raptownie, podniósłszy ryje. Sięgam po rewolwer, choć wiem, że on i tak na nic się nie przyda. Żebyż choć jedno drzewko, albo bodaj pień wywrócony. Trawa i niskie krzaki. Ale zacne stworzenia przeraziły się nie mniej ode mnie. Z głośnym jazgotem ruszają kupą do ucieczki na szczęście w bok. Ochłonąłem. Nie wiem, czy miałem w tej przygodzie pecha, czy raczej szczęście. Ale wyciągam nogi i w kilka chwil jestem już przy opłotkach. Towarzysze nawet nie zauważyli tego wypadku, tak byli zajęci utrzymywaniem równowagi i skakaniem po prowizorycznych kładkach; kto wie, czy usłyszeliby nawet strzał.

Po chwili zasiadamy na przewiewnej werandzie u jakiejś gościnnej damy. Mąż wyjechał do Iquitos. Są przy niej tylko dwie córki. *Capataz*[1]) szykuje już dla nas łódź. Tymczasem czekamy na kawę i słodycze.

[1]) Capataz — u nas karbowy.

Prócz nas są i inni goście — misjonarz metodysta z żoną i bratem przyjechali przed chwilą łodzią. Mówią łamaną hiszpańszczyzną. Mieszkają niedaleko stąd, o dzień drogi zaledwie. Ale mają się gdzieś przenosić. Wszyscy troje są wzorem naiwności i niezaradności. Mimo to jakoś egzystują. Kobieta wygląda mizernie. Męczą ją tutejsze warunki życia. Mężczyźni drobni i szczupli, nikt by ich nie uznał za Amerykanów. Przejęci swym posłannictwem, opowiadają o swych sukcesach, wygląda to jednak na dziecinadę. Skarżą się, że przeszkadzają im ewangelicy, którzy rozporządzają większymi środkami.

W węzełku mają kilka biblii, sprzedają je, a w ostateczności rozdają. Mają jakieś książeczki, oraz kartki z psalmami. Kogo to może zainteresować lub wzruszyć? Przecież nie Indian. Biali tutejsi? Nie są oni skłonni do mistycyzmu i kontemplacji.

Tej niezaradnej trójcy nie można podejrzewać o jakieś plany uboczne. Dość spojrzeć im w oczy. Mało mają wspólnego z życiem. Spojrzenia ich są jakieś mętne, przebija w nich raczej rozczarowanie i rezygnacja, niż ekstaza. Jakaż różnica w porównaniu z franciszkanami z Requeny lub z tymi, pełnymi werwy i życia zakonnicami. Kto i po co wyrzuca na takich misjonarzy pieniądze; obaj są przecież na opłacanych stanowiskach.

Mój przyjaciel trochę z nich podrwiwa. Jest on zdaje się masonem, jak i tamten z tartaku, ale posiada zdrowy rozum, nieomylny instynkt i zna się na ludziach.

Po wypiciu kawy i spożyciu ciastek i konfitur ruszamy do łodzi, gościnnie zapraszani, by częściej tu wstępować.

Z daleka ukazują się nam trzy żelazne wieże telegrafu iskrowego. Wysoka na dwadzieścia metrów szkarpa. Niewielki hangar na samoloty, obok nowoczesne *bungalow* dla lotników i kilkadziesiąt domków rozrzuconych dość nieporządnie w oddali.

Wyprzedziliśmy „Melitę" o pięć godzin, pomimo straty czasu na czakrze.

Jest to dzień przylotu samolotów z San Ramon od strony Limy i wodnopłatowców z Iquitos. Personel jest już na stanowiskach. Dwa spore kurzyska wskazują kierunek. Pierwszy

ukazuje się hydroplan, zatacza koła nad rzeką i po chwili burzy już jej spokojne wody. Olbrzymia fala migocąc w promieniach słońca idzie za nim.

Zawraca. Teraz w zwolnionym tempie przybija do brzegu. Rzuca cumę. Złowiona. Za chwilę wysiada lotnik, za nim podróżny.

Jest to mały aparacik obserwacyjny, który może zabrać tylko dwie osoby.

Ale już słychać i drugi. Ten ma przed sobą trudniejsze zadanie. Lotnisko ma zaledwie trzysta metrów długości i półtorasta szerokości. Z jednej strony rozpadlina, z drugiej budynki, z obu pozostałych las. Trzeba dobrze wymierzyć.

Leci na wysokości siedmiuset metrów. Zatacza koła zniżając lot. Coś mu się nie podoba, więc znowu podrywa się i leci w górę. Jeszcze jedno koło, ale już szersze. Zniża się na większą odległość i wreszcie ląduje. Teraz toczy się w kierunku hangaru, przy którym przytrzymują go marynarze.

Samolot jak i tamten jest otwarty. Przywiózł dwóch pasażerów.

Na lotnisku znajduje się gospodarz, telegrafista i poczciarz w jednej osobie, komendant posterunku i kilkunastu ciekawych z osady.

Idziemy do bungalow. Urzędnik pocztowy zamienia worki, odbiera meldunki.

Jest już za późno na odlot samolotu z powrotem do San Ramon. Będzie więc tutaj nocował. Wodnopłatowiec odlatuje za godzinę. Przenocuje w Contamanie.

Ponieważ jest w nim wolne miejsce, decyduję się na lot do Limy. Gospodarz lotniska zaprasza mnie do siebie, tym bardziej, że i lotnicy zdążają tam na posiłek. Są mili, weseli i kulturalni. Wieczór spędzamy na pogawędce.

Tym razem nie pojadę dalej rzeką Ucayali. Do zlewu Tambo i Urubamby jest jeszcze około pięciuset kilometrów.

Tę drogę przebywali w dwa lata później pierwsi polscy koloniści. Niestety wiotkie mieli mięśnie i słabe serca. Poza kilkoma wyjątkami nie wiadomo, po co tu przyszli. Niektórzy w tydzień

po przyjeździe zwinęli manatki i wyjechali. Inni wytrzymali niespełna dwa miesiące. Część rozproszyła się jeszcze po drodze. Złożyli egzamin niedołęstwa i złej woli. Większość nawet nie spróbowała pracować. Niektórzy nie zajrzeli do lasu. A trzeba pamiętać, że żadna kolonia polska w Brazylii nie powstawała w tak pomyślnych warunkach. Był tu i dach nad głową, była żywność, o jakiej się nie śniło w Paranie, i ksiądz i lekarz i tartak itd., itd., a wreszcie wielu inteligentów. Oni to właśnie rozbili zapoczątkowane z trudem i olbrzymim wysiłkiem dzieło, gdyż zawiedli się w swych chorobliwych ambicjach czy marzeniach. Jedni zawiedli się, bo nie otrzymali spodziewanych posad; drudzy, bo nie było kartofli, masła i bułek; inni, bo nie znaleźli złota; jeszcze innych odstręczyło twarde drzewo, konieczność pracy i odpowiedzialności za własny los. Przestraszyli słabych, wzburzyli silnych, namówili niezdecydowanych i uciekli nie spróbowawszy uderzyć siekierą ani zasiać pierwszego ziarna.

Podnieśli lament, zasypali władze i redakcje skargami i poszli w świat, aby się przekonać, że nie ma takiego miejsca, gdzieby nie trzeba było pracować, gdzieby zdobycze przychodziły bez ofiar i gdzieby rozkosz posiadania można było osiągnąć bez wysiłku.

Zawiść, głupota i niedołęstwo podały sobie ręce. Zamiast postawić mocno nogę w tym dziewiczym kraju, zamiast otworzyć szerokie horyzonty dla polskiej myśli, stworzyć przemysłowi rynek, bezrobotnym dać pracę, bezrolnym ziemię, przedstawialiśmy sobą obraz zdziczałej i zbolszewizowanej gromady ludzkiej, bez żadnej myśli przewodniej, bez żadnych moralnych hamulców.

Nie wzięliśmy ziemi bezpłatnie, a teraz biedzimy się, gdzie ją kupić za pieniądze. Nie potrzebowaliśmy martwić się o pozwolenie wyjazdu, teraz targować się musimy o każdą wizę. Witano nas jako roznosicieli kultury, a teraz musimy się wpraszać, nieomal żebrać o pracę i kawałek ziemi.

Ale dość wspomnień i gorzkich rozmyślań.

Olbrzymi kraj stoi jeszcze otworem dla dzielnych i pracowitych ludzi. Jest tu miejsce dla całej ludności Europy. Prawda,

ślizgawki nie urządzimy na Ucayali, ale też nie będziemy chuchać w ręce podczas tutejszej zimy. Nie ma tu bogactw w postaci złota i brylantów, ale jest ziemia bogata i wdzięczna, są niezmierzone lasy, zdolne dostarczyć materiału budowlanego dla milionów ludzi, wyżywić miliony nierogacizny i bydła; są rzeki rybne, będące najtańszym środkiem komunikacji. Jest wreszcie to słońce, które swymi życiodajnymi promieniami budzi niemal każdą roślinę do życia i tworzy cuda w rolnictwie.

Nazajutrz rano płatowiec poderwał się lekko z murawy lotniska. Zatoczył ogromne koło, jakby chciał mi pozwolić raz jeszcze objąć wzrokiem te niezmierzone przestrzenie ziemi — bez ludzi, którą zrządzenie Opatrzności jakby chowało w rezerwie dla przyszłych pokoleń.

W górze, w promieniach wschodzącego słońca rozbłysła olbrzymia równina, pocięta pasmami wzgórz i srebrzącymi się wstęgami rzek i jezior. We mgle oddalenia majaczyły tak niedawno jeszcze niedostępne, niebotyczne szczyty Andów.

Płatowiec wyrównał lot i ruszył..... na zachód.

WOJSKO POLSKIE
1 Warszawski Pułk Zmotoryzowany
Pontonowo - Mostowy
Nr: .....
" ..... 194— r.
PRZYJACIÓŁ ŻOŁNIERZA
we Włocławku



Indianie szczepu Czama nad Ucayali

TREŚĆ

Od autora 5

1. W ujściu królowej rzek 7

2. Belém 12

3. Osiedle w puszczy 22

4. W drodze do Manaos 35

5. Madeira 43

6. Manaos 50

7. Na „dzikiej" Amazonce 59

8. Opowieść Veigi 93

9. Granica 115

10. Na wodach Montanii Peruwiańskiej 117

11. Iquitos, stolica Loreto 125

12. Na wodach Maranñonu 134

13. Skąd bierze początek Amazonka? 138

14. Ucayali 142

WOJSKOWE
JEDNOSTKA
Nr. 3108
194—

273



WOJSKO POLSKIE
BIBLIOTEKA WOJSKOWA
Nr. 8103

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP
31771/2

